



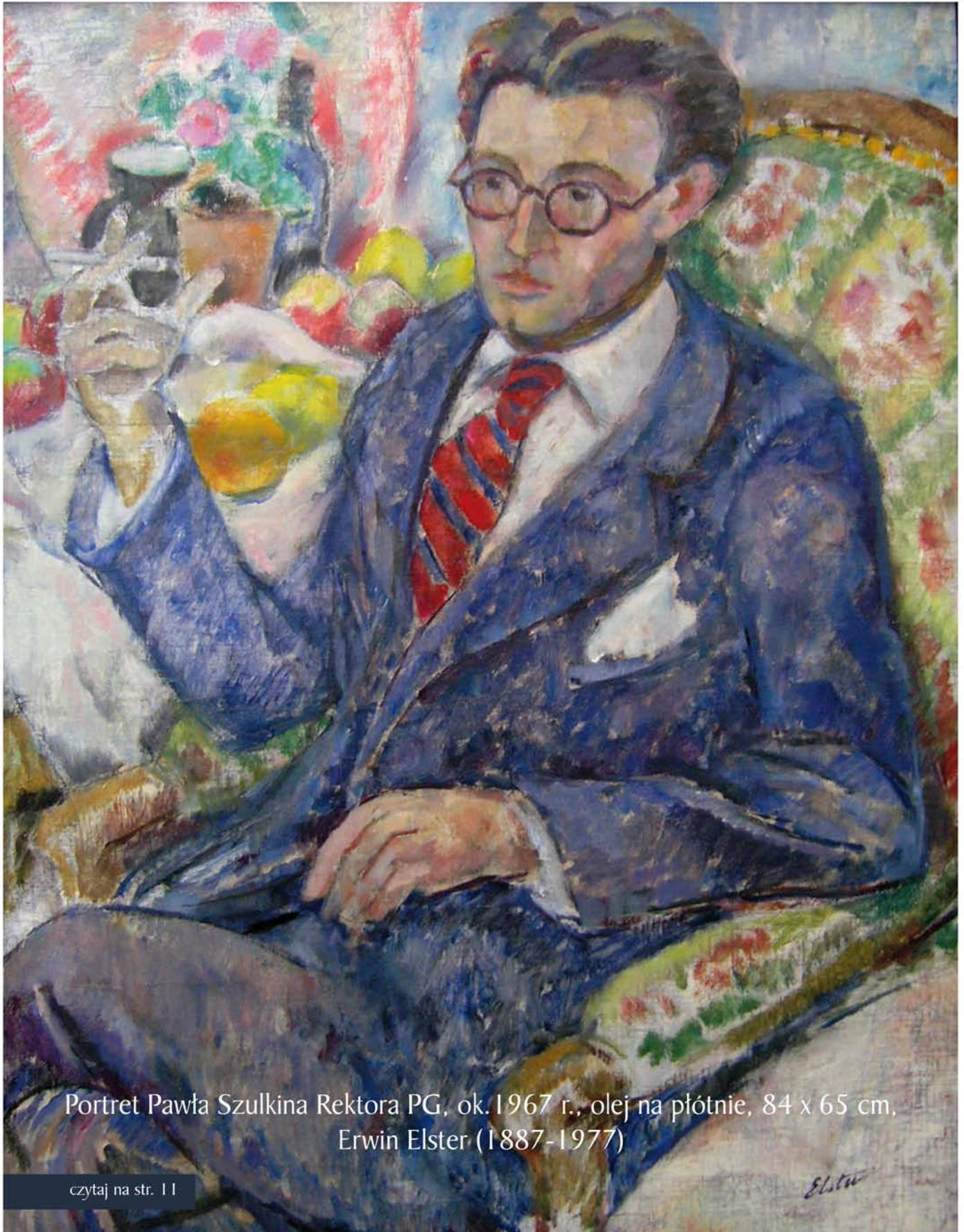
# PISMO PG

Pismo Pracowników, Studentów i Absolwentów Politechniki Gdańskiej

MARZEC 2011

ISSN 1429-4494

NR 3 (162)/11 ROK XIX



Portret Pawła Szulkina Rektora PG, ok. 1967 r., olej na płótnie, 84 x 65 cm,  
Erwin Elster (1887-1977)





➔ [www.pg.gda.pl/pismo/](http://www.pg.gda.pl/pismo/)

„Pismo PG” wydaje Politechnika Gdańska za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej Zespołu Redakcyjnego. Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów oraz akceptują jednocześnie ukazanie się artykułów na łamach „Pisma PG” i w Internecie.

Wszelkie prawa zastrzeżone

#### Adres Redakcji

Politechnika Gdańska  
Biblioteka Główna  
Redakcja „Pisma PG”  
ul. G. Narutowicza 11/12,  
80-233 Gdańsk, Gmach B, pok. 406,  
tel. (+48) 58 347 23 20

#### Zespół Redakcyjny

Waldemar Affelt (redaktor naczelny),  
Adam Barylski,  
Jerzy Sawicki,  
Ewa Jurkiewicz-Sękiewicz,  
Jakub Szczepkowski,  
Waldemar Wardencki

#### Skład i opracowanie okładek:

Wioleta Lipska-Kamińska  
Redakcja „Pisma PG”,  
e-mail: [wkam@pg.gda.pl](mailto:wkam@pg.gda.pl)

#### Fot. na okładkach:

okł. 1 i 4 Krzysztof Granatowicz  
okł. 2 i 3 Krzysztof Krzempek

#### Korekta

Jan Sobczak

#### Druk

Drukarnia „Expol” z Włocławka

Numer zamknięto 4 marca 2011 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany, skracania i adiacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub Kierownictwa Uczelni.

## Spis treści

<b>Już prawie mamy nowe prawo o szkolnictwie wyższym...</b>	
<i>Edmund Wittbrodt</i> .....	4
<b>Jubileusz 80-lecia urodzin profesora Zdzisława Edmunda Sikorskiego</b>	
<i>Ilona Kołodziejska i Maria Sadowska</i> .....	6
<b>My w nauce. Wielorodzinna architektura mieszkaniowa w Polsce okresu transformacji</b>	
<i>Antoni Taraszkiewicz</i> .....	8
<b>Z teki poezji. Zamieszałaś w moim życiu</b>	
<i>Stefan Zabieglik</i> .....	10
<b>Profesor Erwin Elster – nie tylko nauczyciel</b>	
<i>Ewa Granatowicz</i> .....	11
<b>Erwina Elstera miejsce w historii polskiej sztuki XX wieku</b>	
<i>Wojciech Zmorzyński</i> .....	12
<b>Autentyzm czasów przeszłych</b>	
<i>Ewa Cofalik-Dobosz</i> .....	14
<b>O profesorze Erwinie Elsterze</b>	
<i>Andrzej Baranowski</i> .....	17
<b>Politechnika otwarta. Miasto niezwykle. Polacy i Niemcy w Wolnym Mieście Gdańsku (1920-1939)</b>	
<i>Andrzej Drzycimski</i> .....	18
<b>Korporacja Akademicka „Wisła” wczoraj i dzisiaj</b>	
<i>Krzysztof Fudziński</i> .....	24
<b>Uwaga! felieton... Czapie nowe</b>	
<i>Jerzy M. Sawicki</i> .....	28
<b>Wyciąg z historii</b>	
<i>Anna Rynkowska</i> .....	29
<b>Książka dla Ciebie</b>	
<i>Joanna Kotowicz</i> .....	30
<b>Historia we współczesności. Produkcja zabytków jako problem Gdańska</b>	
<i>Grzegorz Bukal</i> .....	31
<b>Wrzesień 1939 – Byłem pilotem „KARASIA”</b>	
<i>Tadeusz Siczek</i> .....	35
<b>Wartość historyczna mostu tczewskiego. Argumenty historyka przemawiające za odbudową.</b>	
<i>Kazimierz Ickiewicz</i> .....	37
<b>Refleksje emerytowanego profesora. PKP</b>	
<i>Zbigniew Cywiński</i> .....	38
<b>Chór PG świętuje 45 lat</b>	
<i>Jarosław Suchocki</i> .....	41
<b>Chojnickie Centrum Kultury w roli głównej</b>	
<i>Ewa Kuczkowska</i> .....	43
<b>Jachtem przez Pacyfik – wystawa</b>	
<i>Ewa Kuczkowska</i> .....	43
<b>105 lat Związku Nauczycielstwa Polskiego. Od korzeni po współczesność (1905–2010)</b>	
<i>Jerzy Szmytka</i> .....	44
<b>Zabytkowe przyrządy naukowe oraz inne unikalne przyrządy znajdujące się na Wydziale Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej.</b>	
<b>Część II: Unikalne przyrządy wykorzystywane podczas demonstracji wykładowych z dynamiki bryły sztywnej</b>	
<i>Andrzej Kuczkowski</i> .....	45
<b>Cztery algorytmy które wstrząsnęły światem.</b>	
<b>Część III: Sprzęt czy oprogramowanie</b>	
<i>Marek Kubale</i> .....	49
<b>Wycieczka do rezerwatu przyrody „Zamkowa Góra”</b>	
<i>Marcin S. Wilga – „Borsuk”</i> .....	51
<b>Przebieg komentarza. Estetyka niekontrolowana, czyli kontrowersje i nowe odczytania</b>	
<i>Krystyna Pokrzywnicka</i> .....	53

W lutowym wydaniu „Pisma PG” na str. 18 omyłkowo podano nazwisko autorki, które powinno brzmieć *Aleksandra Parteka*; podobnie na str. 21 – *Joanna Pniewska*

## Już prawie mamy nowe prawo o szkolnictwie wyższym...

**W** środowisku akademickim toczy się dyskusja na temat zmian ustawy – Prawo o szkolnictwie wyższym, ustawy o stopniach i tytule naukowym oraz o stopniach naukowych i tytule w zakresie sztuki, a także o zmianie niektórych innych ustaw. Projektem rządowym, poprawionym przez Sejm, zajmował się w dniach 2-3 marca br. Senat Rzeczypospolitej Polskiej. Wszystko wskazuje na to, że zmienione ustawy zaczną obowiązywać wkrótce, od roku akademickiego 2011/2012.

Ustawa proponuje wiele zmian dobrych, wiele idących w dobrym kierunku, ale też i takie, które budzą wątpliwości. Do zalet nowych regulacji, moim zdaniem, można zaliczyć przede wszystkim znaczące zwiększenie autonomii uczelni, szczególnie w zakresie programów i form kształcenia, ich uelastycznienia (np. prowadzenie indywidualnych studiów międzyobszarowych), ale też z drugiej strony zwiększenie odpowiedzialności uczelni. Symbolem zwiększenia tej odpowiedzialności jest wprowadzenie dyplomu uczelnianego (nie państwowego, jak dotąd), na którego markę uczelnia musi sama zapracować (protestowały uczelnie niepubliczne). Rektor odpowiadać będzie między innymi za opracowanie strategii rozwoju oraz wdrożenie systemu jakości (nie jak dotąd za całość). Kwestie jakości stają się kluczowe. Najlepsze jednostki uczelni (nieliczne) uzyskają status Krajowych Naukowych Ośrodków Wiodących (KNOW), co premiowane będzie finansowo. Możliwe będzie tworzenie związków uczelni, jednostek międzywydziałowych i wspólnych, a także międzyuczelnianych centrów naukowych. Kompetencje absolwentów określane będą „na wyjściu”, z uwzględnieniem standardów europejskich i światowych. Krajowe Ramy Kwalifikacji dla Szkolnictwa Wyższego zawierać będą opis poprzez określenie efektów kształcenia, kwalifikacji zdobytych w systemie szkolnictwa wyższego. Znacząco zwiększy się przejrzystość uczelni i całego systemu poprzez uruchomienie Systemu Informacji o Szkolnictwie Wyższym. Oceny i opinie dotyczące postępowań o nadanie uprawnień czy też stopni i tytułów naukowych będą dostępne na stronach internetowych.

Dla sprostania odpowiedzialności, rektor wyposażony zostaje w ważne instrumenty. Zatrudnienie nauczyciela poza uczelnią wymagać będzie zgody rektora, co powinno podnieść jakość kształcenia i rozwoju kadr w macierzystej uczelni (ważne szczególnie na uniwersytetach). Większość kadry zatrudniona będzie na czas określony (umożliwi to większą rotację, a tym samym dobór najlepszych), a mianowanie ograniczone zostanie do profesorów tytularnych.

Ponadto ocena osiągnięć odbywać się będzie co dwa lata (dotąd co cztery). Będzie ona uwzględniała również opinie studentów. Przy dwóch ocenach negatywnych bądź niesprostaniu niemal sztywnym wymogom terminowym w realizacji doktoratu lub habilitacji nastąpi zwolnienie. Możliwe też będzie zatrudnienie na stanowisku profesora osoby z doktoratem, mającej znaczące doświadczenie zawodowe zdobyte poza uczelnią w dziedzinie związanej z kierunkiem studiów (także zdobyte za granicą).

Niektóre nowe regulacje budzą też wątpliwości, stanowią ogromne wyzwanie. Dotyczą one w szczególności postępowania związanego z nadawaniem stopnia doktora habilitowanego. Procedurę uruchamia się poprzez Centralną Komisję, do której wniosek wraz z autoreferatem kieruje osoba ubiegająca się o nadanie stopnia doktora habilitowanego, wskazując jednocześnie radę wydziału (naukową) do przeprowadzenia postępowania. Centralna Komisja powołuje siedmioosobową Komisję habilitacyjną, do której wyznacza czterech „swoich” przedstawicieli (w tym przewodniczącego i dwóch recenzentów), zaś trzech wyznacza rada (w tym sekretarza i jednego recenzenta). Po przeprowadzeniu postępowania członkowie Komisji, w głosowaniu jawnym, podejmują uchwałę zawierającą opinię, na podstawie której rada podejmuje decyzję ostateczną. Czy taka Komisja nie będzie traktowana przez radę jako „ciało obce”, narzucające decyzję radzie? Określone zostają przy tym bardzo krótkie terminy realizacji poszczególnych etapów postępowania. Nie wiadomo czy realne, ze względu na bardzo dużą liczbę postępowań prowadzonych centralnie przez Centralną Komisję. Recenzent powołany w tym postępowaniu podpisuje umowę, w której określone są nawet kary za niewywiązanie się z terminu (może to skutkować odmowami). Czy sprzyjać to będzie jakości? Ponadto, czy taka procedura ułatwi, czy też utrudni uzyskanie stopnia naukowego? Wątpliwa jest także propozycja jawnego głosowania w Komisji, w sprawie przecież osobowej.

Poważne wątpliwości budzi umożliwienie zwolnienia osoby mianowanej (profesora tytularnego) już po jednej negatywnej ocenie, a w szczególnych przypadkach („z innych ważnych przyczyn” – jakich?) pracę wypowiedzieć może rektor jedynie po zasięgnięciu opinii (bez zgody) organu kolegialnego. Te zmiany są niezrozumiałe, szczególnie w sytuacji, gdy zwolnienie pracowników niemianowanych ma miejsce po dwukrotnej negatywnej ocenie.

W sprawach płacowych nie nastąpią żadne zmiany, choć takie wnioski składano. Nie miały one szans na przegłosowanie ze względu na sytuację budżetu, a także zapowiedź ministra nauki i szkolnictwa wyższego, że przygotowuje własny projekt. Nie mam wątpliwości, iż ta sprawa jest bardzo ważna. Do dziś obowiązuje system, który sam – jako minister edukacji narodowej – wprowadzałem w 2001 roku. Jest on nadal dobry. Uwzględnia motywujące zróżnicowanie wynagrodzeń na poszczególnych stanowiskach (3:2:1), ale ma jedną wadę – jest „podwieszony” pod kwotę bazową, którą corocznie w ustawie budżetowej określa minister finansów. Wprowadzając system, zakładaliśmy, że kwota bazowa będzie corocznie ustalana tak, aby asystent otrzymywał wynagrodzenie na poziomie średniej krajowej w gospodarce narodowej. Niestety, w kolejnych latach nie była ona zmieniana (poza waloryzacją inflacyjną). Jedną z przyczyn było to, że z kwotą tą związane są również wynagrodzenia całej sfery budżetowej (poza wydzieloną ostatnio oświatą). Jej podwyższanie pociągałoby znaczne koszty. W efekcie średnie wynagrodzenia w gospodarce narodowej i w szkolnictwie wyższym zaczęły się rozwarstwiać. Dziś średnie wynagrodzenie w szkolnictwie wyższym kształtuje się na poziomie 60-70 proc. średniego w gospodarce narodowej.

Wystarczyłoby więc, przy obecnych zapisach w Prawie o szkolnictwie wyższym, odwołać się do kwoty bazowej określonej oddzielnie dla szkolnictwa wyższego. Aby osiągnąć oczekiwania, zaakceptowane przez wszystkich w 2001 roku za rządu premiera Jerzego Buzka, wystarczyłoby zmieniać odpowiednio tylko tę kwotę. W tej sprawie

zapropnowałem odpowiednią poprawkę, nie oczekując, aby kwota ta była obecnie podniesiona, jednakowoż otwierałaby ona taką możliwość na przyszłość. Niestety, poprawka ta, przy sprzeciwie ministra nauki, nie została przez Senat przyjęta. Również inne poprawki zgłoszone wspólnie z kilkoma senatorami, w tym z prof. Januszem Rachoniem, nie zostały przyjęte. Poprawki te dotyczyły między innymi możliwości zwolnienia pracownika mianowanego dopiero po dwóch negatywnych ocenach (tak jak pozostałych), a także w przypadku szczególnym, na wniosek rektora, ale dopiero po uzyskaniu zgody organu kolegialnego. Niezrozumiałym dla mnie jest, dlaczego niektórzy senatorowie – profesorowie głosowali przeciwko tym poprawkom? To prawda, że nie popierał ich minister nauki, ale bez żadnych istotnych argumentów merytorycznych. Proponowaliśmy również wprowadzić zapis włączający organizacje absolwentów do procesu monitorowania losów absolwentów i rynku pracy.

Zdecydowaną większość wprowadzanych zmian oceniam pozytywnie. Niektóre wątpliwości pozostały. Ostateczna weryfikacja wprowadzanych zmian nastąpi dopiero w praktyce stosowania ustawy.

Ustawa z poprawkami przyjętymi przez Senat (były one liczne i dotyczyły głównie tzw. błędów legislacyjnych) wróciła do Sejmu pod głosowanie 18 marca, a teraz czeka na podpis Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

*Prof. dr hab. inż. Edmund Wittbrodt, prof. zw. PG  
Senator RP od 1997 roku*



*Prof. Edmund Wittbrodt przemawia w Senacie RP*

*Fot. archiwum autora*

# Jubileusz 80-lecia urodzin profesora Zdzisława Edmunda Sikorskiego

## Lata szkolne

Zdzisław Sikorski, „Skorpion”, urodził się w Wilnie w 1930 roku, w rodzinie st. ogniomistrza W.P. pochodzącego z Pomorza. Od 1933 roku mieszkał w Toruniu, gdzie w latach szkolnych głównie działał w harcerstwie, jako drużynowy i zastępca hufcowego, grał w siatkówkę oraz pływał po Wiśle w klubie wioślarskim. Czasami w bibliotece UMK przygotowywał referaty na lekcje historii prowadzone przez wymagającego profesora Mateusza Puciatę albo na lekcje biologii w Liceum im. Mikołaja Kopernika, wywodzącym się z gimnazjum akademickiego utworzonego już w roku 1594. Maturę zdał w roku 1950, uzyskując dyplom uprawniający do przyjęcia na wyższe uczelnie bez egzaminu wstępnego.

## Zdobywanie wiedzy

### i doświadczenia zawodowego

Chcąc mieszkać w Gdańsku, Zdzisław Sikorski wybrał Wydział Agrotechniczny Politechniki Gdańskiej, a po jego rozwiązaniu studiował na Wydziale Chemicznym (1951-1956). W roku 1954 uzyskał asystenturę u profesora Damazego J. Tilgnera w Katedrze Technologii Zwierzęcych Produktów Spożywczych. W tym czasie nieomal cały zespół katedry zajmował się wędzarnictwem. Uświadomionosobiewówczas zagrożenia wynikające z obecności rakotwórczych węglowodorów w dymie oraz konieczność unowocześnienia wędzenia, zarówno technologii jak i urządzeń. Młodzi asystenci prof. Tilgnera nauczyli się sporo od bardziej doświadczonego, starszego kolegi Michała Pietrzyka, rolnika z wykształcenia, absolwenta UJ. Ówczesny młody zespół stanowili: Nina Barytko-Pikielna, później współtwórczyni polskiej szkoły analizy sensorycznej, Henryk Daun, obecnie profesor w Rutgers University w USA, Antoni Makowiecki, późniejszy wieloletni dyrektor Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego w Gdańsku, Kazimierz Miler, później dyrektor Instytutu Przemysłu Mięsnego w Warszawie i docent w Akademii Rolniczej w Szczecinie, Zenon Ziemba, który stał się autorytetem w zakresie technologii konserw, autorem pierwszego, polskiego podręcznika akademickiego do tego przedmiotu oraz Halina Zimińska, która stworzyła podstawy racjonalnego wykorzystania surowców ubocznych przemysłu rybnego.

W tym zespole Zdzisław Sikorski uzyskał w roku 1956 tytuł mgr inż. chemii, stopień doktora nauk technicznych, mając lat 30, docenta habilitowanego po pięciu latach, a tytuł profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego nauk technicznych odpowiednio w roku 1973 i 1980. Profesor Tilgner, który ze swoimi asystentami często rozmawiał w katedrze po angielsku lub niemiecku, wyznawał zasadę „Nach den Lehrjahren kommen die Wanderjahre” zgodnie z tekstem ludowej piosenki „Das Wandern is des Müllers Lust. Es muss ein schlechter Müller sein, dem niemals fällt das Wandern ein”. Zgodnie z tą zasadą swojego Szefa Zdzisław Sikorski uzupełniał swoją wiedzę z zakresu technologii żywności praktykami w browarach w Okocimiu i Dortmundzie, w przemyśle rybnym w Szczecinie, Gdyni, Hamburgu-Altonie i na trawlerze rybackim na Morzu Północnym, w zakładach mięsnych w Gdańsku i w zamrażalni owoców i warzyw w Wiesloch koło Heidelberga. Temu samemu celowi służyły również krótkotrwałe staże w Universität Rostock i Technische Universität Dresden, Leningradzkim Technologicznym Instytucie Przemysłu Chłodniczego, Odesskim Instytucie Technologicznym oraz Astrachańskim Technologicznym Instytucie Przemysłu Rybnego, w firmie Laitram w Marblehead, Mass. USA, w Bundesforschungsanstalt für Ernährung, Karlsruhe i Bundesanstalt für Fleischforschung, Kulmbach. W czasie półrocznych i rocznych pobytów zagranicznych Profesor Sikorski pracował w: Ohio State University w Columbus (Ohio, USA), CSIRO w Hobart (Australia), w Mount Albert Research Centre w Auckland (Nowa Zelandia) i w National Taiwan Ocean University w Keelung, (Taiwan).

## Badania naukowe

Profesor Zdzisław Sikorski powiedział “Pomimo, że do chemii i technologii żywności trafiłem przypadkowo, zainteresowałem się tą dziedziną dzięki dobrej książce (Matuszewski: Mikrobiologia rolnicza), ciekawie prowadzonym wykładom i ważnej tematyce badawczej. Natomiast sukces zawodowy stanowiący podstawę satysfakcji z pracy zawdzięczam w dużej mierze kontaktom i współpracy z mądrymi ludźmi o dużej kulturze i aktywności twórczej”.



Prof. Zdzisław Edmund Sikorskiego

Fot. archiwum autora

Początkowo Zdzisław Sikorski opracował pod kierunkiem D. J. Tilgnera technologię oraz urządzenia w skali przemysłowej do elektrostatycznego wędzenia oraz uczestniczył w badaniach składu i przeciwutleniających właściwości dymu wędzarniczego, stosując m.in. nową wówczas technikę - chromatografię gazową; uzyskane w tej dziedzinie doświadczenie spożytkował pisząc dwie pierwsze, polskie książki dot. chromatografii gazowej.

W Katedrze Biochemii Rolniczej w Uniwersytecie Stanowym Ohio w USA Zdzisław Sikorski pracował z prof. F. E. Deatherage nad biochemicznymi przemianami w mięsie. Później, w PG opracował ze swoim zespołem modyfikacje technologii wytwarzania rybnych preparatów białkowych, elementy technologii przetwarzania kryła oraz otrzymywania chityny i chitozanu, metody osadzania enzymów na nośniku chitynowym, modyfikowanie reologicznych właściwości preparatów kolagenowych i farszów mięsnych oraz odzyskiwanie białek z odcieków produkcyjnych i z mniej wartościowych surowców mięsnych; wyjaśnił niektóre przyczyny zamrażalniczej denaturacji białek ryb i zaproponował sposoby zapobiegania im. Zbadał możliwości wykorzystania surowców pochodzenia morskiego do wytwarzania preparatów enzymatycznych i hydrolizatów do celów biotechnologicznych. W ramach tej tematyki kilkanaście osób uzyskało pod promotorstwem Profesora Sikorskiego doktorat, w tym obecni profesorowie: Piotr Bykowski, Ilona Kołodziejska, Marian Naczek, Krystyna Palka, Maria Sadowska i Józef Synowiecki.

W dorobku naukowym Profesora Sikorskiego jest około 210 artykułów, które opublikował w większości ze swymi współpracownikami, m. in. w *J. of Food Science*, *J. of Food Biochemistry*, *J. of Texture Studies*, *Food Chemistry*, *Biotechnology and Bioengineering* i w *Critical Reviews in Food Science and Nutrition*.

### Książki

Profesor Zdzisław Sikorski jest autorem wielu podręczników akademickich, w tym inicjatorem, współautorem i redaktorem „*Chemii żywności*” (Z. Sikorski, B. Drozdowski, B. Samotus i M. Pałasiński, PWN 1988) oraz podręcznika „*Chemia żywności*”, WNT, 5 wydań. Duży oddźwięk w Polsce zdobyła „*Technologia żywności pochodzenia morskiego*” (WNT, 3 wydania) przetłumaczona na rosyjski, która do dzisiaj jest „biblią” dla wielu już pokoleń technologów w polskim przemyśle rybnym i w znakomity sposób przyczyniła się do osiągnięcia przez ten przemysł obecnego, wysokiego poziomu. Od lat Profesor Sikorski współpracuje z amerykańskim wydawnictwem CRC, w którym w roku 1990 opublikował książkę „*Seafood: Resources, Nutritional Composition, and Preservation*”, przetłumaczoną po czterech latach na hiszpański, a później zainicjował i redaguje serię „*Chemical and Functional Properties of Food Components*”, w której ukazało się 11 tytułów, niektóre w kilku wydaniach. W redagowaniu książek z tej serii uczestniczyło kilku pracowników polskich uczelni, a wśród autorów rozdziałów jest ich kilkudziesięciu. Najnowsze dwie pozycje w tej serii, z roku 2010 to *Chemical, Biological, and Functional Aspects of Food Lipids*, eds. Z. E. Sikorski, Anna Kołakowska, oraz *Environmental Effects on Seafood Availability, Safety, and Quality*, eds. E. G. Daczkowska-Kozon, Bonnie Sun Pan. Praca nad tą serią książek jest dla Profesora Sikorskiego źródłem dużej satysfakcji zawodowej, m. in. dzięki kontaktom z wieloma wybitnymi współautorami z kilku kontynentów, ale bywa też przyczyną frustracji, gdy niektórzy, czołowi specjaliści, głównie polscy, podejmują zaproszenie do współpracy, a po miesiącach lub latach wspólnego przygotowywania projektu się wycofują. Ogółem Profesor Sikorski opublikował do roku 2010 jako autor lub redaktor naukowy 18 książek i 13 rozdziałów w książkach innych redaktorów.

### Rola w Politechnice Gdańskiej

W r. 1965 Zdzisław Sikorski został kierownikiem Katedry Technologii Ryb,

a od r. 1969 do 2001 był kierownikiem Zakładu Technologii Utrwalania Żywności i Mikrobiologii Technicznej, przemianowanego następnie na Katedrę Technologii Utrwalania Żywności, później na Katedrę Chemii i Technologii Żywności. Pracował też jako prodziekan (1966-1969) i dziekan Wydziału Chemicznego (1973-75, 1978-1981) oraz uczestniczył w licznych komisjach wydziałowych i uczelnianych. Był współinicjatorem powołania na Wydziale Chemicznym kierunku studiów Biotechnologia, organizatorem i kierownikiem kierunku dyplomowania „Technologia utrwalania żywności” na studiach magisterskich oraz kierunku „Technologia i analiza żywności” na studiach inżynierskich; autorem licznych ramowych programów oraz wykładowcą kilku przedmiotów. Wiedzę i doświadczenie przekazywał Profesor kilku pokoleniom studentów i młodym pracownikom nauki. Potrafił zainspirować młodzież do samodzielnej nauki, do rozwiązywania problemów zarówno naukowych, jak i praktycznych. Jego działalność, wyróżniająca się zawsze najwyższym poziomem merytorycznym oraz rzetelnością i odpowiedzialnością sprawiła, że zyskał zasłużone uznanie wśród współpracowników i wychowanków. Są wśród nich profesorowie, pracownicy instytutów naukowych, kierownicy laboratoriów, organów kontrolnych. Pracują w szkolnictwie i w różnych gałęziach przemysłu żywnościowego.

### Rola w środowisku naukowym chemii i technologii żywności

Profesor Zdzisław Sikorski miał duży wpływ na rozwój środowiska technologów żywności w Polsce, pracując od 1969 w Komitecie Technologii i Chemii Żywności PAN (przewodniczący 1996-2003), w Polskim Towarzystwie Technologów Żywności - był członkiem-założycielem, wiceprezesa Zarządu Głównego (1991-1994), prezesem Zarządu Gdańskiego Oddziału (1994-1997), od 2003 jest członkiem honorowym. Jest także członkiem Polskiego Towarzystwa Chemicznego. Uczestniczył w radach naukowych kilku instytutów, w tym Instytutu Przemysłu Mięsnego oraz Morskiego Instytutu Rybackiego (1971-2003), gdzie przez trzy kadencje był przewodniczącym Rady. W okresie 1977-1988 był członkiem Rady Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego, m. in. członkiem Prezydium. Profesor Sikorski uczestniczył też w pracach krajowych i zagranicznych rad programowych czasopism związanych z nauką o żywności.

### Wyróżnienia

Z inicjatywy prof. Edwarda Kołakowskiego został Pan Profesor Zdzisław Sikorski w roku 1997 uhonorowany przez Akademię Rolniczą w Szczecinie tytułem i godnością doktora honoris causa, a w 2003 roku, na wniosek prof. Antoniego Rutkowskiego, został wybrany do International Academy of Food Science and Technology, a na wniosek Rady Wydziału Chemicznego został odznaczony Krzyżem Kawalerskim, Oficerskim i Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Morski Instytut Rybacki wyróżnił Go medalem im. Profesora Kazimierza Demela.

### Rodzina

Rodzina Profesora to żona Krystyna ze Stołyhów, trzy córki: Ewa Kowalska (mgr inż. inżynierii środowiska), Anna Siondalska (mgr inż. chemii) i Grażyna Sikorska-Wiśniewska (dr medycyny - pediatra) oraz sześciu wnuków, dwie wnuczki i jeden prawnuk. Do tego trzeba dodać trzech świetnych zięciów. Ażeby w trudnych latach ubogiej asystentury utrzymać dużą rodzinę, Zdzisław Sikorski pracował dodatkowo jako projektant w Biurze Projektów Budownictwa Morskiego oraz jako nauczyciel w Technikum Wychowania Fizycznego i w Technikum Przetwórstwa Rybnego. W ówczesnych warunkach i w późniejszym okresie, szczególnie podczas licznych pobytów zagranicznych, Profesor mógł zajmować się pracą naukową dzięki temu, że większość obowiązków domowych przejęła jego żona, poświęcając swoją karierę zawodową. W przedmowie do wspomnianej już książki „*Seafood Resources, Nutritional Composition, and Preservation*” jest zdanie: „I thank my wife Krystyna for her assuming the responsibilities for the family during the years of my peregrinations abroad”.

### Życzenia

Pan Profesor Zdzisław Sikorski swą znakomitą formą fizyczną i intelektualną dowodzi, że wiedza o żywności i jej praktyczne wykorzystanie oraz nadzwyczaj intensywna praca to najlepszy sposób na utrzymanie młodości przez 80 lat.

Szanownemu, ciągle młodemu Jubilatowi w imieniu Jego uczniów i środowiska technologów żywności dziękujemy za dotychczasową działalność i życzymy jeszcze wielu lat aktywności w dobrej kondycji.

*Ilona Kołodziejaska i Maria Sadowska  
Wydział Chemiczny*



## Wielorodzinna architektura mieszkaniowa w Polsce okresu transformacji

**M**oje zainteresowania naukowe oraz związana z nimi działalność badawcza i zawodowa mają swą genezę w latach dziewięćdziesiątych minionego wieku, a więc w okresie pełnym brzemienych w skutki wydarzeń wynikających z faktu kończącego się milenium, ale przede wszystkim z radykalnych transformacji społeczno-gospodarczych w naszym kraju. Transformacje te obejmujące wszystkie dziedziny działalności ludzkiej, w tym również architekturę i budownictwo, szczególnie wyraziście uwidoczniły się w wielorodzinnej architekturze mieszkaniowej, będącej w Polsce (tak jak we wszystkich krajach europejskich) podstawowym źródłem zaspokajania potrzeb mieszkaniowych. Nowa polityka państwa w zakresie budownictwa mieszkaniowego oraz urynkowanie podmiotów procesu inwestycyjnego spowodowały ogromne zmiany w sposobach finansowania

inwestycji mieszkaniowych, w strukturze inwestorskiej i w strukturze nabywców mieszkań, jak też w organizacji procesu budowlanego. Zasady wolnego rynku wymusiły z kolei dążność uczestników procesu inwestycyjnego (w tym również architektów) do poszukiwania nowych, optymalnych rozwiązań, dostosowanych do różnorodnych i w szybkim tempie zmieniających się preferencji, ambicji, a przede wszystkim możliwości finansowych poszczególnych grup nabywców mieszkań. Urynkowanie mieszkalnictwa w naszym kraju ukazało jednak również w sposób niezwykle jaskrawy ogrom problemów związanych z potrzebami mieszkaniowymi ludności, zwłaszcza zaś bardzo znaczny, ilościowy niedobór lokali oraz polaryzację dochodową i ubożenie społeczeństwa, w którym dla wielu rodzin o przeciętnych i niskich dochodach mieszkanie stało się dobrem niedostępnym.



Antoni Taraszkievicz Fot. archiwum autora

Tak dynamiczny, bogaty w wydarzenia i pełen narastających problemów okres wywarł decydujący wpływ na rodzaj i charakter moich zainteresowań naukowych, ukierunkowując je na prowadzone po dzień dzisiejszy badania w sferze szeroko pojętej problematyki wielorodzinnego budownictwa mieszkaniowego.

Okres transformacji systemowych ma dla mnie szczególne znaczenie, gdyż jest to czas osiągnięcia przeze mnie pełnej samodzielności zawodowej i twórczej w dziedzinie projektowania architektonicznego, co pozwoliło mi na wykorzystanie i weryfikację empiryczną wyników moich badań naukowych. Zaowocowało to realizacją wielu osiedli i zespołów mieszkaniowych będących próbą odpowiedzi na wyzwania epoki.

W pracy nad badaniami w dziedzinie wielorodzinnego budownictwa mieszkaniowego mam ogromne szczęście współpracować ze znakomitymi architektami, będącymi pracownikami kierowanej przeze mnie Katedry Architektury Mieszkaniowej Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej. Są to: mgr inż. arch. Piotr Mazur, dr inż. arch. Małgorzata Skrzypek-Łachińska oraz dr inż. arch. Wojciech Targowski.

Głównym celem naszej działalności naukowo-badawczej jest ujawnienie i analiza wszelkich czynników, które w sposób zdecydowany wpływają na rozwiązania funkcjonalno-przestrzenne i techniczne współczesnej wielorodzinnnej architektury mieszkaniowej w naszym kraju. Zbadanie zmieniających się



il. 1. Osiedle „Nad potokiem” w Gdyni Orłowie – realizacja 2002 r

Autorzy: arch. arch. A. Taraszkievicz (główny projektant), P. Mazur, W. Targowski, M. Skrzypek-Łachińska



w dobie transformacji ustrojowych takich czynników jak: kierunki polityki mieszkaniowej państwa oraz wynikające z nich uregulowania prawne, potrzeby i preferencje społeczne, struktura inwestorska, aspekty ekonomiczne, techniczne i technologiczne czy wreszcie postawy twórcze projektantów, wydaje się mieć podstawowe znaczenie dla rozwoju myśli architektonicznej związanej z mieszkalnictwem wielorodzinnym. Obserwowane zmiany stanowią bowiem swego rodzaju „poligon doświadczalny”, na którym krystalizują się kierunki działań, mogące decydować w najbliższej przyszłości o kształcie przestrzennym naszych miast i osiedli oraz o standardach zamieszkiwania.

Jako architekt, a więc inżynier będący po części humanistą, nie mogłem pozostać obojętnym na kwestie społeczne, a w szczególności na niesprawiedliwość społeczną wyrażającą się niedostępnością mieszkań dla szerokiej rzeszy ludności naszego kraju. Wnikliwe badania dotyczące polityki państwa w zakresie budownictwa mieszkaniowego oraz związanych z nią zmian kredytowania, nowego prawa spółdzielczego i nowych przepisów dotyczących gospodarki gruntami doprowadziły mnie do wniosku, iż pomimo podejmowanych pewnych działań interwencyjnych, w sferze polityki mieszkaniowej państwa w okresie transformacji zaobserwować można zbyt daleko idący liberalizm i przesadną wiarę w uzdrowicielskie działanie mechanizmów wolnorynkowych. Dlatego też twierdzę, iż koniecznym jest wprowadzenie radykalnych zmian w polityce mieszkaniowej, polegających głównie na przemyślanym interwencjonizmie państwowym i aktywnych działaniach wspierających masowe i tanie budownictwo mieszkaniowe. Działania te muszą być jednak skorelowane z wprowadzeniem w szerszym zakresie regulacji standardu mieszkań realizowanych przy udziale środków publicznych. Zapobiegnie to z jednej strony marnotrawieniu tych środków na rozwiązania zbyt luksusowe, z drugiej zaś budowaniu mieszkań substandardowych.

Kwestie społeczne będące w sferze moich zainteresowań badawczych to również analiza potrzeb i preferencji poszczególnych grup ludności w stosunku do wielorodzinnego budownictwa mieszkaniowego, zwłaszcza w zakresie standardu osiedla, standardu budynku

i standardu mieszkania. Chodzi tu o oczekiwania społeczne dotyczące lokalizacji osiedla, zaplecza usługowego i parkingowego, terenów rekreacji, możliwości zapewnienia bezpieczeństwa i poczucia identyfikacji z otoczeniem, intensywności i wysokości zabudowy, technologii wykonania budynków, wielkości i sposobu rozwiązania mieszkania oraz poziomu jego wyposażenia i wykończenia.

Wyniki moich badań w zakresie społecznych aspektów przemian w wielorodzinnej architekturze mieszkaniowej opublikowałem w rozprawie habilitacyjnej (*Wielorodzinna architektura mieszkaniowa w Polsce okresu transformacji na przykładzie Trójmiasta*), w monografii *Małe zespoły wielorodzinnej zabudowy mieszkaniowej* oraz w wielu artykułach naukowych.

Badania te wykorzystałem również w mojej pracy projektowej, przy realizacji między innymi takich zespołów mieszkaniowych jak: Osiedle „Nad Potokiem” w Gdyni Orłowie (il. 1) czy Zespół mieszkaniowy przy ul. Szerokiej w Gdańsku (il. 2).

Jako inżynier moje badania naukowe ukierunkowałem na poszukiwania rozwiązań technicznych oraz funkcjonalno-przestrzennych, umożliwiających budowanie mieszkań tanich, a więc dostępnych nawet dla najuboższych warstw społecznych, zapewniających jednocześnie odpowiedni standard zamieszkiwania. W badaniach tych szczególnego znaczenia nabrały dwa stosunkowo nowe

(nie brane pod uwagę w okresie przed transformacją) elementy, a mianowicie ekonomika i ekologiczność budowania. Oczywiście ekonomika czy szukanie oszczędności w budownictwie miały miejsce również w okresie poprzedzającym zmiany społeczno-gospodarcze w naszym kraju, jednakże ówczesne „potanianie” polegało głównie na ciągłym obniżaniu wszelkich standardów. Badania moje skierowałem więc na poszukiwania rozwiązań funkcjonalno-przestrzennych i technologicznych, które pozwalałyby na obniżanie kosztów budowy i eksploatacji budynków mieszkalnych przy jednoczesnym stałym podwyższaniu ich standardu technicznego, użytkowego i estetycznego. Ważnego znaczenia w tych poszukiwaniach nabrało dążenie do znalezienia rozwiązań przyjaznych człowiekowi i środowisku, wynikające z przekonania, że celem współczesnej architektury winno być tworzenie materialnego środowiska człowieka w sposób uwzględniający możliwości przyrody. W całości zjawisk towarzyszących przeobrażaniu się wielorodzinnego budownictwa mieszkaniowego w Polsce w okresie transformacji tendencje proekologiczne, choć mało jeszcze dostrzegalne, stanowią moim zdaniem jeden z najistotniejszych elementów będących krokiem w kierunku architektury zrównoważonej, uznającej nasze środowisko za „dobro” występujące w określonych i niestety skończonych ilościach. Wyniki badań w tym zakresie opublikowałem w niektórych artykułach



il. 2. Zespół Mieszkaniowy przy ul. Szerokiej w Gdańsku – w trakcie realizacji.

Autorzy: arch. arch. A. Taraszkiewicz (główny projektant), P. Mazur, W. Targowski, M. Skrzypek-Łachińska



il. 3. Osiedle mieszkaniowe „City Park” w Gdańsku – w trakcie realizacji  
 Autorzy: arch. arch. A. Taraszkiewicz (główny projektant), P. Mazur, W. Targowski,  
 M. Skrzypek-Łachińska

oraz w pracy habilitacyjnej. Wypracowane w drodze dociekań naukowych rozwiązania funkcjonalno-przestrzenne i technologiczne (w tym również rozwiązania proekologiczne) udało mi się zastosować w praktyce między innymi przy takich realizacjach jak: osiedle przy ul. Abrahama w Gdańsku, czy osiedle mieszkaniowe „City Park” w Gdańsku (il. 3).

Przemiany społeczno-gospodarcze w naszym kraju radykalnie zmieniły warunki funkcjonowania zawodu architekta, rozszerzając w znaczny sposób możliwości realizacji jego założeń twórczych. Jednocześnie jednak wolność wyborów i decyzji architekta została zdeterminowana przez inne podmioty biorące udział w procesie inwestycyjnym, w tym głównie przez inwestora, którego zdanie we wszystkich kwestiach, w tym również i estetycznych, stało się decydującym. Jest to oczywiście zjawisko normalne, gdyż każde dzieło architektoniczne powstaje w skomplikowanej relacji ludzi i okoliczności, a architekt dawno już przestał być „wielkim nauczycielem” czasu wczesnego modernizmu i stać się musiał „pilnym uczniem” czasów ponowoczesnych. Dokonujące się transformacje w architekturze polskiej to okres wprowadzania w życie idei funkcjonujących na świecie już przynajmniej od czasów Ralpa Erskina, a więc okres rezygnacji architekta z roli mentora nauczającego pojedynczych ludzi i całe społeczności o sposobie

kształtowania przestrzeni miejskiej i sposobie zamieszkiwania. To również okres odchodzenia od eksponowania własnego ego na rzecz wsłuchiwania się w głosy inwestora i użytkowników oraz tworzenia projektów w pełni uwzględniających wszystkie związki ze złożonym światem jaki zamieszkujemy.

Pomimo, iż współczesna wielorodzinna architektura mieszkaniowa w Polsce daje się ująć w trzech nurtach stylistycznych: antymodernizmu, postmodernizmu i neomodernizmu, to jednak wydaje się, że w najbliższej przyszłości przynależność stylowa dzieła architektonicznego mieć będzie drugorzędne znaczenie. Architektura mieszkaniowa powstawać będzie w myśl zasad zrównoważonego rozwoju, jego harmonii i opieki nad przestrzenią, w dążeniu do subtelnej równowagi pomiędzy szeroko pojętą tradycją miejsca a najnowszymi ideami ogólnoswiatowej myśli architektonicznej. Tworzenie wielorodzinnej architektury mieszkaniowej w duchu zrównoważonego rozwoju wymagać będzie jednak od projektantów działań nacechowanych najwyższym stopniem odpowiedzialności wobec środowiska i społeczeństwa. Chodzi tu naturalnie o odpowiedzialność moralną za konsekwencje decyzji projektowych dla człowieka i naturalnych systemów oraz dla ich współistnienia.

Moim zdaniem współczesna architektura mieszkaniowa musi być czymś

znacznie doskonalszym niż tylko idea przeobrażoną w trwałą formę. Musi być ona zaprojektowana w skali człowieka, częścią jego otoczenia, dawać mu ciepło, a w razie potrzeby chłód, światło i cień, być schronieniem, miejscem pracy i odpoczynku, przestrzenią jego aktywności określającą sens życia.

W mojej dalszej pracy naukowo badawczej kontynuował będę problematykę wielorodzinnej architektury mieszkaniowej w przekonaniu, że architektura ta to rozwiązania ekologiczne, funkcjonalna trafność i elastyczność, trwałość, energooszczędność oraz ekonomiczna efektywność. Architektura ta to także respekt dla kontekstu miejsca, szacunek dla przeszłości, a jednocześnie przedkładanie współczesnej myśli twórczej nad odtwórcze i bezwartościowe reprodukcje przeszłości.

Antoni Taraszkiewicz  
 Wydział Architektury

## Z teki poezji

### Zamieszalaś w moim życiu

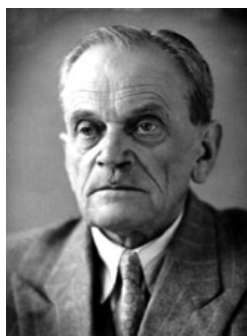
Zamieszalaś w moim życiu, zamieszalaś...  
 Zamieniłaś moje prawdy na niewiarę.  
 Moja góra się zrobiła taka mała,  
 Moje jutro się zrobiło takie stare.

Zamieszalaś w moim życiu jak w herbacie,  
 W której na dnie zamiast cukru sól się skryła...  
 I odmawiam monotonii mojej pacierz  
 Na liczydła dni żałosnych jak modlitwa.

Zamieszalaś w moim życiu jednym słowem,  
 Które nagle, nie wiem czemu, powiedziałaś...  
 I już chyba nigdy się nie dowiem...  
 Zamieszalaś w moim życiu, zamieszalaś...

Stefan Zabieglik  
 1945–2010

## Profesor Erwin Elster – nie tylko nauczyciel



Fotografie na podstawie których Erwin Elster namalował portrety pierwszych rektorów Politechniki Gdańskiej; od lewej Stanisław Łukaszewicz (1945-46), Stanisław Turski (1946-49), Paweł Szulkin (1949-1951)  
Fot. archiwum autorki

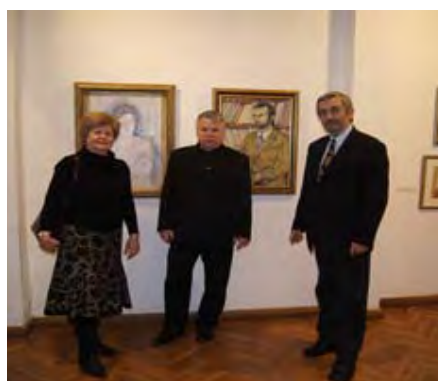
Mój ojciec miał wyjątkowe poczucie odpowiedzialności za bliskie sobie osoby. Pierwsze wyróżnienie w postaci stypendium jakie otrzymał w 1910 roku na krakowskiej ASP przeznaczył na wynajęcie większego mieszkania aby móc sprowadzić owdowiałą parę lat wcześniej swoją matkę.

Po studiach wyjeżdża na rok do Paryża aby kontynuować naukę w Akademii de la Chomiere. Po powrocie w 1913 roku podejmuje pracę w szkole średniej w Krakowie jako nauczyciel rysunków i żeni się z siostrą swego przyjaciela z ASP Erwina Czerwenki.

W 1916 roku urodził się mój przyrodni brat Wiktor. Zapewnienie bytu rodzinie stało się zadaniem najważniejszym, był to czas I wojny światowej. Na czas wojny Elsterowie osiedli w Bystrej koło Bielska. Tam też przyjechał Juliusz Fałat. Lata spędzone w Bystrej, wspólne wyprawy plenerowe i omawianie powstałych prac

ze znakomitym artystą i dawnym profesorem krakowskiej uczelni pozwoliły na doskonalenie warsztatu malarskiego.

Po wojnie w 1919 roku Erwin Elster wraz z grupą wykształconej kadry, w tym artystów, głównie z Galicji, przyjeżdża do Poznania w celu objęcia stanowisk w nowo powoływanych polskich uczelniach i instytucjach. Ojciec podejmuje



Gość wystawy Bogdan Borusewicz (po środku) z autorką i jej mężem Januszem Granatowiczem  
Fot. archiwum autorki

pracę na dwóch uczelniach: w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego (dziś pierwszy w Polsce Uniwersytet Artystyczny) oraz w Szkole Budownictwa, która w przyszłości stanie się Politechniką Poznańską.

Od początku pobytu w Poznaniu ojciec, obok pracy nauczyciela akademickiego, aktywnie włącza się w nurt życia artystycznego i wkrótce w 1920 roku zostaje współzałożycielem elitarniej Grupy Artystów Plastyków „Świt”. I tak przez cały okres dwudziestolecia międzywojennego praca nauczyciela przeplatała się z jego największymi sukcesami artystycznymi potwierdzonymi udziałem w prawie 50-ciu wystawach krajowych i zagranicznych.

Do końca życia będzie jednak nauczycielem rysunku i malarstwa. W jego dokumentach znalazłam potwierdzenie 62 lat pracy dydaktycznej.

Praca na etacie nauczyciela zapewniła byt również drugiej – mojej rodzinie.

W Poznaniu ojciec pracował do 1954 roku tj. do czasu likwidacji Wydziału Architektury na Politechnice Poznańskiej. Mając do wyboru Kraków lub Gdańsk wybiera Politechnikę Gdańską i tu pracuje do samego końca czyli do 1977 roku. Określenie „pracuje do samego końca” nie jest nadużyciem, gdyż do 1975 był opiekunem Domu Studenckiego Wydziału Architektury, a do śmierci zachował swoją pracownię na poziomie „400”, gdzie powstawały obrazy zarówno te nowe jak np. portrety trzech pierwszych rektorów PG zdobiących salę Senatu uczelni (Stanisława Łukaszewicza, Stanisława Turskiego i Pawła Szulkina) czy obrazy Gdańska, jak też kolejne warianty jego głównych tematów czyli: flisaków, huculów, architektury kresów, kotliny kłódzkiej czy Saint Tropez.

Piękno potrafił dostrzec w scenach dnia codziennego. Malował wszystko, a więc rozpadające się chaty chłopskie, górników idących do kopalni, pejzaże i architekturę, portrety i akty.

I tę umiejętność dostrzegania piękna w sytuacjach całkiem zwyczajnych starał się przekazać swoim studentom. Czytając esej prof. Andrzeja Baranowskiego zrozumiałam, że robił to z powodzeniem.

Ewa Granatowicz  
Absolwentka PG

## Erwina Elstera miejsce w historii polskiej sztuki XX wieku\*

**W**ystawa monograficzna Erwina Elstera w Muzeum Narodowym w Gdańsku jest pierwszym indywidualnym pokazem prac tego artysty. Tworzył on ponad 60 lat w najciekawszym okresie historii polskiego malarstwa. Zawsze łączył działalność artystyczną z pedagogiczną. Kiedy w roku 1954 został zlikwidowany Wydział Architektury poznańskiej Szkoły Inżynierskiej, na którym Elster był Kierownikiem Katedry Rysunku Odręcznego, zaproponowano mu przeniesienie do kilku ośrodków politechnicznych – wybrał Gdańsk. Na decyzję tą niewątpliwie wpływ miało zainteresowanie Elstera nowym dynamicznym środowiskiem artystycznym, przedwojenna znajomość z Władysławem Lamem, który od 1945 roku kierował Katedrą Rysunku, Malarstwa i Rzeźby Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej, a także ciekawość nieznanego wcześniej miasta i regionu, którego zabytki wkrótce stały się tematem jego prac.

Ta zmiana była dla ponad 65-letniego artysty z pewnością niezwykle trudna – opuszczał Poznań, w którym osiągnął pełną dojrzałość twórczą i w którym odnosił w okresie międzywojennym największe sukcesy. Jako organizator i członek Grupy Artystów Plastyków „Świt” w latach 1921–1927 brał udział w ekspozycjach w najbardziej prestiżowych ówczesnych galeriach, a jego twórczość była omawiana przez opiniotwórczą krytykę. Był w tym okresie także wykładowcą w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Poznaniu. W kolejnych latach potwierdził swoją pozycję, wiążąc się i wystawiając razem z Grupą Artystów Wielkopolskich „Plastyka”, Grupą Artystów Malarzy „Awangarda”, grupą malarzy „Nowa Generacja” i Cechem Artystów Plastyków „Jednoróg”. Na początku lat 20. zbliżył się w swojej twórczości do malarstwa formistów – poszukując jednocześnie własnej formuły – tworzył obrazy bardzo ekspresyjne o mocnej konstrukcji. Wydaje się, że kompozycje *Autoportret* (1921 r.), *Synek* (1921 r.), *Fliśacy* (1922 r.), czy wreszcie *Rybak* (1926 r.) należą do jego najwybitniejszych prac z tego okresu, tak jak cykl akwarel z Saint-Tropez wykonanych w czasie pobytu

artysty we Francji w 1925 roku (elementy architektoniczne w jego pejzażach uległy uproszczeniu i geometryzacji). Akwarela stała się dla Elstera niezwykle ważnym medium. Właśnie w drugiej połowie lat 20. artysta rozpoczął wakacyjne wędrówki wzdłuż Wisły, a także po Podolu, których szlak odnajdujemy dzisiaj w szeregu wędut. Akwarela była świadectwem ogromnego potencjału Elstera, stanowiła także pewną przeciwwagę dla malarstwa olejnego. W tej trudnej technice, wymagającej szybkości podejmowania malarzkich decyzji, artysta osiągał prawdziwe mistrzostwo.

W latach 30., które przyniosły w Polsce swoistą modę na malarstwo wywodzące się z tradycji impresjonizmu i postimpresjonizmu, oparte na czystej grze kolorystycznej, walczące o autonomię obrazu, Elster dał się unieść tej fali koloryzmu. Można jednak zaryzykować twierdzenie, iż do tych oryginalnych malarskich rozwiązań dochodził już pod koniec lat 20. XX wieku (rozjaśnił paletę, nasycał kolor światłem, tak jak w malarstwie akwarelowym). Zdziwiał zatem fakt, iż dysponując niewątpliwie uznanym dorobkiem, artysta nie miał w okresie międzywojennym wystawy indywidualnej – skazując się

w pewnym sensie na pozycję outsidera.

Po drugiej wojnie światowej Erwin Elster włączył się aktywnie w odbudowę życia artystycznego w Poznaniu – współtworzył struktury Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków. Jako wiceprezes związku brał udział w przygotowaniu pierwszych wystaw na terenie miasta, podjął również pracę w szkolnictwie, w tym w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. W drugiej połowie lat 40. XX wieku Elster wyjeżdżał wraz ze studentami poznańskiej PWSSP na Ziemię Odzyskaną, na Dolny Śląsk, przywożąc z tych podróży szereg akwarel przedstawiających tamtejsze miasteczka, między innymi Bystrycę Kłodzką, Świdnicę, Kłodzko, Paczków. Jego styl nie zmienił się – akwarele tworzył z dużym kunsztem, były pełne światła, o ekspresyjnej kresce i plamie – malował panoramy miasteczek, ich uliczki, zabytki, także architekturę industrialną. Utrwalał barwne życie placów i targów. W malarstwie olejnym powrócił (po raz trzeci) do motywu flisaków. Jednak w drugiej połowie lat 40. jego aktywność wystawiennicza zmalała. Właśnie w tym okresie narastała inspirowana przez władze krytyka dotychczasowych osiągnięć sztuki. Ganił formalizm ówczesnej plastyki, nawoływano do sztuki „postępowej ideowo-politycznie”. Elster z trudem akceptował tę nową sytuację – wystawiał w tym okresie sporadycznie, brał udział głównie w wystawach poznań-



Wernisaż wystawy monograficznej Erwina Elstera w Muzeum Narodowym w Gdańsku. Od lewej: Wojciech Bonisławski, dyrektor Muzeum Narodowego w Gdańsku; Wojciech Zmorzyński, kustosz Muzeum Narodowego w Gdańsku; Ewa Granatowicz z mężem Januszem; Jerzy Gajewski, prezes NDI  
Fot. archiwum E. Granatowicz

skiego ZZPAP, świadomie zrezygnował z udziału w ogólnopolskich przeglądach plastyki. Swoją postawę po latach artysta sam wyjaśnił: „Drugi natomiast okres [twórczości – przyp. W.Z.] to pewne załamanie się, gdy do głosu w plastyce doszło Ministerstwo Kultury i Sztuki, gdzie swoim stanowiskiem apodyktycznym i dyktandem tematowym zraziło mnie do głoszonego przez siebie niesłusznie, a jakże często nadużywanym słowem «sorealizm». Po pierwszej wojnie właśnie, będąc pod wrażeniem sztuki zachodniej, stworzyłem płótna takie jak *Fliśacy, Rybak, Drwale, Robotnicy fabryczni* i inne, które przeszły zwycięsko przez ogień krytyki i znalazły uznanie” (wypowiedź artysty ok. 1960 r., maszynopis w posiadaniu rodziny w Sopocie). Swoim komentarzem Elster wskazywał także na fakt, iż problematykę zaangażowaną społecznie podejmował, tak jak i inni twórcy, już w okresie międzywojennym, ale z oczywistych względów fakt ten w okresie socrealizmu był niedoceniony i przemilczany.

W 1954 roku, kiedy Elster przeniósł się do Gdańska, środowisko plastyków Wybrzeża było mocno skonsolidowane. Prym wiedli założyciele PWSSP w Sopocie, malarze od Elstera młodszy – urodzeni po roku 1900, których debiut przypadł na lata 30. XX wieku – związani zarówno z Warszawą i Krakowem, ale także z Wilnem i Lwowem – Jacek Żuławski, Hanna Żuławska, Juliusz Studnicki, Krystyna Łada-Studnicka, Marian i Józefa Wnukowie. Pozycja uczelni sopockiej była niezwykle wysoka i to zarówno na arenie ogólnopolskiej, jak i w samym Gdańsku. Właśnie w okresie socrealizmu wykładowcy sopockiej uczelni odnosili na ogólnopolskich wystawach plastyki znaczące sukcesy. Twórcy skupieni wokół PWSSP brali aktywny udział przy odbudowie Gdańska, szczególnego znaczenia nabrało ich zaangażowanie w opracowanie i realizację polichromii ulicy Długiej i Długiego Targu w Gdańsku. Właśnie w 1954 roku uczelnia została przeniesiona z Sopotu do Gdańska – w prestiżowe miejsce, do zabytkowego budynku Wielkiej Zbrojowni. Do głosu powoli dochodzili młodszy plastyki: Teresa Pągowska, Władysław Jackiewicz, Jerzy Zabłocki, Roman Usarewicz, Kazimierz Ostrowski, Bohdan Borowski. Rektorem gdańskiej uczelni był w tym czasie Stanisław Teisseyre, związany wcześniej z uczelnią poznańską.

Drugim ośrodkiem, obok PWSSP, w którym skupili się wybitni twórcy mający wpływ na kształtowanie życia artystycznego Wybrzeża, była Katedra Rysunku, Malarstwa i Rzeźby na Wydziale Architektury Politechniki Gdańskiej, a Władysław Lam był jednym z najaktywniejszych plastyków na Wybrzeżu. W pierwszym okresie asystentami Lama byli młodzi twórcy: Zdzisław Kałędkiwicz, Aleksander Kobzdej, Kazimierz Śramkiewicz, którzy przybyli do Gdań-

ska ze Lwowa. Lam dodatkowo wykładał historię sztuki w sopockiej PWSSP. Jego znajomość z profesorami PWSSP w Sopocie sięgała lat 30. XX wieku – zarówno ze Lwowa, z którym był związany od 1934 roku i gdzie wykładał w Katedrze Rysunku na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej, także poprzez działalność w Komitecie redakcyjnym „Głosu Plastyków”, wystawy w warszawskim Instytucie Propagandy Sztuki oraz udział w wakacyjnych kursach Rysunkowych Ogniska



*Widok miasteczka, ok. 1932 r., akwarela na papierze, 38,5 × 52,5 cm*



*Brama w Krakowie, ok. 1956 r., akwarela na papierze, 42 × 60 cm*

Wakacyjnego w Krzemieńcu, którego tuż przed wojną był kierownikiem. Wspólną inicjatywą sopockiej uczelni i Katedry Rysunku Politechniki Gdańskiej była, w maju 1946 roku, pierwsza zbiorowa wystawa ZZPAP okręgu gdańskiego, właśnie w auli Politechniki. W kolejnych latach Lam wraz z Juliuszem Studnickim był inicjatorem I Festiwalu Plastyki w Sopocie (1948 r.) w pawilonach targowych przy sopockim moło, wystawy, która stała się wydarzeniem cyklicznym o zasięgu ogólnopolskim.

Klimat artystyczny w połowie lat 50. XX wieku, także w gdańskiej uczelni, to rozluźnienie rygorów, próba wyjścia z impasu socrealizmu, a także przełamania estetyki koloryzmu. Artyści Wybrzeża powrócili do czystego pejzażu, byli również zainteresowani groteską i nadrealizmem. Impuls do zmian i drogę ewolucji malarstwa kolorystycznego wskazał Piotr Potworowski – w 1958 roku powrócił z Wielkiej Brytanii i objął pracownię malarskie na uczelniach w Gdańsku i Poznaniu. Wielu malarzy Wybrzeża wykorzystało możliwości koloryzmu i zwróciło się w kierunku abstrakcji. Tą drogą podążył również Władysław Lam.

Pierwsze dwa miesiące pobytu na Wybrzeżu Elster wraz z żoną i córką mieszkał u Lama w Gdańsku-Oliwie, po czym otrzymał

mieszkanie w Gdańsku-Wrzeszczu przy ul. Czarnieckiego 11 w pobliżu Politechniki. Rozpoczął pracę od stanowiska zastępcy profesora. W tym czasie obok Lama w Katedrze wykładali między innymi malarze: Adam Gerżabek, Anna Fiszer, Zdzisław Brodowicz. Atmosfera była dobra. Artyści skupieni wokół Lama byli jakby poza sporem istniejącym w gdańskiej PWSSP. Elster skupił się na pracy dydaktycznej, angażował się również, jako opiekun kół naukowych, w pracę ze studentami.

Trudno dzisiaj rozstrzygnąć, co było tego przyczyną, ale Elster nie brał udziału w życiu wystawienniczym Wybrzeża. Swoje prace wysyłał na wystawy środowiskowe do Poznania. Jego styl, zarówno w malarstwie olejnym, jak i w akwareli, nie zmienił się. Nie przeszedł (z pewnością także ze względu na wiek) na pozycję sztuki nowoczesnej – pozostał do końca wierny nadrzędnej roli koloru, służącego jednakże w równym stopniu zarówno budowaniu formy, jak i dramaturgii przedstawień. Pozostał także w kręgu tych samych tematów. Tworzył portrety, akty, sceny rodzajowe, pejzaże, w tym jak zawsze perfekcyjne pejzaże architektoniczne – akwarele gdańskich zabytków, a także innych miast, do których podróżował: Krakowa, Lublina, Bratysławy. W la-

tach 50. XX wieku stworzył oryginalny cykl „Huśtawek” – prac o ciekawej kompozycji, pełnych wewnętrznego ruchu i energii. W tym okresie powstały też akwarele ukazujące folklor huculski: *Grupa huculów*, *Wesele huculskie*, *Grajki huculskie*, *Dzieci huculskie* będące niejako powrotem do miejsca, w którym się urodził i wychował – Ottyni, Korszowa, Kołomyi, Stanisławowa. Swoistym powrotem do czasów minionych, do okresu największych sukcesów było także wykonanie akwareli *Uliczka w Saint-Tropez* (1970 r.).

W roku 1960 artysta przeszedł na emeryturę. Zachował jednak pracownię w budynku Politechniki, malował konsekwentnie, tam także powstały malowane na zamówienie uczelni portrety rektorów Politechniki Gdańskiej.

Twórczość Erwina Elstera wydaje się być dzisiaj już praktycznie zapomniana. Był twórcą konsekwentnym, wiernym własnej malarskiej wizji. Gdańską wystawą pragniemy przywrócić mu właściwe miejsce w historii polskiej sztuki XX wieku.

Wojciech Zmorzyński

Kustosz Muzeum Narodowego w Gdańsku  
\* Tekst opublikowany w „Erwin Elster malarstwo”, wyd. Muzeum Narodowe w Gdańsku, 2010; tytuł od redakcji *Pisma PG*

## Autentyzm czasów przeszłych\*

**B**ył rok 1968, gdy znalazłam się na Wydziale Architektury w Politechnice Gdańskiej. Po moim studenckim i rodzinnym Krakowie, mimo że wiernie towarzyszył mi mój mąż – gdańszczanin, czułam się osamotniona, wśród nowych, acz przyjaznych mi ludzi.

Właśnie wtedy poznałam Profesora Erwina Elstera, który okazał się również rodem z Galicji, Lwowa, Krakowa, z czasów niemal historycznych, postać z południa Polski, podobnie jak ja.

Profesor miał swą pracownię na poddaszu gmachu Politechniki. Przez oszkloną połącz dachu wpadało słońce i wewnątrz pracowni miała szczególną atmosferę.

Profesor siadał zwykle na tle swego płótna opartego na sztaludze i opowiadał o dawnych czasach spędzonych w Krakowie – o Akademii, w której studiowałam,

o czasach Zielonego Balonika, o znanych malarzach i artystach z lat swoich studiów 1907 – 1912. Opowiadał barwnie, a sam był postacią nieprzeciętną. Postawny, starszy pan, zawsze z muszką przy kołnierzu koszuli, często w tzw. chałacie, kitlu, w którym malował. Przy mnie nie malował, nie miałam odwagi by obejrzeć liczne płótna stojące pod ścianą.

Miałam okazję i prawdziwą przyjemność oglądać je i dotykać dopiero wtedy, gdy mój przyszły zięć Krzysztof Granatowicz okazał się wnukiem Profesora.

Co za przypadek! „Żaden umysł nie jest w stanie przewidzieć niespodzianek, jakie potrafi wymyślić życie” – J. B. Singer.

Tak więc po niespełna 30 latach, przeszedł na świat mój wnuk, a Profesora Elstera prawnuk – Olgierd Granatowicz.



Przed Politechniką Gdańską, 1 maj ok 1967  
Fot. archiwum rodzinne E. Granatowicz

Każda wizyta w domu córki Profesora – Pani Ewy Elster-Granatowicz była ucztą duchową – obcowania z dziełami Mistrza, który tak mocno wpisywał się

w znane mi środowisko krakowskich postimpresjonistów.

Stąd moja fascynacja i podziw dla Jego twórczości.

Moja przygoda z malarstwem Profesora Elstera była niezwykła i dała impuls do napisania paru refleksji w Katalogu tej pięknej wystawy.

### Moja przygoda z malarstwem profesora Erwina Elstera

Profesor Erwin Elster tworzył przed pierwszą wojną światową w okresie międzywojennym i powojennym. Jego paleta malarska, sposób traktowania materii malarskiej, oddania atmosfery, światła – w pejzażu i architekturze – właściwie przez cały okres dojrzałej twórczości nie ulegały znaczącym przemianom (z wyjątkiem okresu wpływów kubistów i ekspresjonistów na początku lat 20. XX wieku). Oszczędny, niemal szkicowy, często laserunkowy sposób nakładania farb na płótno – podobny do efektu techniki akwareli – to charakterystyczne cechy jego dzieł.

Był malarzem wszechstronnym. Jego malarstwo, pogodne i kolorowe świadczy o łatwości technicznej – jest przez widza odbierane w ten właśnie sposób, bez sztucznego dramatyzmu i patosu. Obcowanie z obrazami Elstera jest po prostu wielką przyjemnością. Nieistotne, czy jest to wnętrze domu, czy widok z okna z postaciami bliskimi artyście, czy martwa natura lub pejzaż i architektura. Można wpatrywać się w te prace długo, znajdując wiele szczegółów – detali architektury, postaci, rekwizytów, każde bowiem z dzieł posiada narrację i przykuwa uwagę widza.

Artysta tworzył także płótna dużego formatu. Są to cykle: „Flisacy” – obrazy o wymiarach 117 x 175 cm i 98 x 115 cm oraz „Huśtawki” – o wymiarach 177 x 137 cm i 150 x 120 cm; płótna do niedawna były zwinięte w ogromny rulon – czekały wiele lat na odnowienie. Malarz niektórych z nich nigdy nie eksponował. Dzieła te ujawniają fascynację artysty dynamiką – świadczą o uważnych obserwacjach, o studiowaniu postaci w ruchu. Szkice na ten temat dowodzą, jak ważnym elementem dla Elstera było pokazanie wysiłku flisaków na tratwie lub ruchu rozbujałych postaci na huśtawce. Dynamiczne napięcia, ukazanie ruchu, pogodny koloryt składają się na urok tych kompozycji. Warto przytoczyć słowa wybitnego hi-



Prof. E. Elster ze studentami Wydziału Architektury, Juwenalia 1960 r.

Fot. archiwum rodzinne E. Granatowicz

storyka sztuki Tadeusza Dobrowolskiego charakteryzującego twórczość Elstera w okresie międzywojennym: „Jego najwybitniejszym osiągnięciem wydaje się być okazałe płótno «Flisacy», utrzymane, jak większość prac artysty, w chłodnym, niebieskawym tonie, uzupełnionym barwą prawie cytrynową. Swoją ekspresjonizm zawdzięcza on takim cechom, jak geometryczna kanciastość i uwysmuklenie postaci, kubistyczna deformacja, gwałtowny ruch i dynamiczność całości, osiągnięte przez ukośne i krzyżujące się linie kierunkowe” (T. Dobrowolski: *No-*

*wczesne malarstwo polskie ostatnich dwustu lat*, wyd. 3, Wrocław 1989, s. 323–324).

Motyw flisaków był wielokrotnie podejmowany przez malarza, również w latach 50. i 60. XX wieku, a więc u schyłku twórczości. „Huśtawki” – to interesujące kompozycje, w których motyw rozbujałych dzieci w gondoli stanowi główną oś obrazu. U dołu płótna oddalone postacie – krzątające się kobiety wieszają bieliznę, całe ich życie toczy się w „cygańskich” wozach. Postać mężczyzny jest wizualnym łącznikiem całości. W tych diagonalnych kompozycjach ruch jest dominujący, czuje się pęd powietrza, a postacie zdają się być w pełnym ruchu tego zdarzenia. Skąd w twórczości malarza wziął się ten motyw – trudno wytłumaczyć. Wydaje się, że właśnie fascynacja ruchem skłoniła Elstera do tego tematu.

Ta oszczędność środków malarskich, niemal laserunkowe pociągnięcia pędzla, często ślady rozartej palcami na płótnie farby, powietrzne efekty nieboskłonu i działanie faktury płótna – to charakterystyczne cechy malarstwa tego twórcy. Malarz jest kolorystą szczególnie wrażliwym i świetnie oddającym materię tkanin i draperii.

Jako student ASP w Krakowie, a potem będąc na stypendium w Paryżu, podróżując po Europie, zetknął się z impresjonizmem; był pod jego wielkim wpływem i urokiem. Swe doświadczenia najpełniej wyraził w obrazach olejnych i w akwarelach.

Pewne obrazy olejne Erwina Elstera zwracają szczególną uwagę i warte są oddzielnego omówienia. *Droga do ko-*



W pracowni na PG, sala nr 305, ok. 1960 r.

Fot. archiwum rodzinne E. Granatowicz

palni (lata 30. XX w.) – obraz o śmiałej kolorystyce, w którym różowofioletowy kolorystycznie sugestywnie oddaje nastrój brzasku. Dużo formatowe płótno *Gra w karty* (1964 r.) o wymiarach 150 x 175 cm przypomina obraz Vincenta van Gogha *Jedzący kartofle*. Kompozycja Elstera ukazująca siedzących przy stole i grających w karty mężczyzn to także doskonałe studium psychologiczne postaci – ich twarze, ubiór, gesty, rekwizyty budują nastrój, są świetnie oddane i pełne ekspresji. Wyraźnie widać, iż malarz nie poddał się wszechobecnemu wówczas socrealizmowi. Wszystkie dzieła z tego okresu charakteryzuje wrażliwość kolorystyczna i dobry warsztat.

Malarstwo akwarelowe świadczy o wielkim talencie, łatwości i biegłości technicznej artysty. Tę trudną technikę doprowadził Elster do perfekcji. Jego prace w tej technice można przyrównać do twórczości akwarelowej Juliana Fałata, z którym artysta zetknął się na studiach w Krakowie, a potem w Beskidach. W latach 1915–1919 Elster mieszkał w Bystrej koło Bielska-Białej, w pobliskim sąsiedztwie domu Fałata. Obaj malarze spotykali się i razem chadzali w plener. „*Elster podziwiał Fałata jako artystę i jako człowieka, jego kryształowy charakter, jego bezgraniczną życzliwość dla ludzi, miłość do natury i miłość do wszystkiego, co piękne i szlachetne. (...) W Bystrej malował Elster niewielkie pejzaże bądź farbą olejną, bądź ulubioną techniką swego mistrza, akwarelą*” (Głębocka-Piotrowska: *Zagadnienia współczesnego malarstwa w Polsce na tle twórczości Leona Dołżyckiego, Erwina Elstera, Adama Hannytkiewicza, Józefa Krzyżańskiego, Władysława Lama, Tadeusza Potworowskiego, Wacława Taranczewskiego, Jana Wronieckiego*, Poznań 1935, s. 58).

W akwarelach wzruszają pełne wdzięki motywy osadzone w pejzażu, impresje z dzieciństwa i młodości spędzonej w rodzinnych stronach pod Lwowem. Pociąg i tory przecinają sielankowy pejzaż, wagony stojące na bocznicy czy architektura małych miasteczek (na Podolu). W pejzażu miejskim często dominującym elementem jest wieża kościoła lub kopuły cerkwi. Uliczki małych miasteczek żyją wypełnione postaciami. Motyw targu lub kolorowy tłum zmierzający do drewnianego kościółka, dachy gontowe w rozedrganym świetle słonecznym, czasem tylko brama i prowadzące do niej schody bądź fragmenty architektury starego

Krakowa lub podcienia i podwórka na przedwojennym krakowskim Kazimierzu – to malarstwo pełne wewnętrznej piękna. Urokliwe miejsca, malowane z rozmachem szeroką, zdecydowaną pędzlem, zachowały swą świetlistość i kolorystykę mimo upływu czasu (nie zawsze były malowane na najlepszej jakości papierach). Znając bogatą twórczość artysty, tak pisze w roku 1935 Irena Piotrowska-Głębocka: „*Zamiłowania Elstera do zagadnień perspektywicznych mogły znaleźć swe pełne ujście właśnie w odtwarzaniu architektury, one to zapewne sprawiły, że motyw architektoniczny stał się jednym z ulubionych tematów artysty. (...) Jego motywy architektoniczne są prawie bez wyjątku niewielkimi akwarelami, lekko namalowanymi, o jasnych barwach, delikatnie stonowanych. W tych akwarelach odzywa się niewątpliwie wpływ dawnej przyjaźni z Fałatem. Elster umie oddać życie starej architektury polskiej, dworku, kościoła, ratusza. (...) Elster upraszcza widzianą architekturę, a uwagę ma zwróconą na odpowiednie ujęcie perspektywiczne motywu, toteż akwarele jego cechuje niezrównana prostota*” (Głębocka-Piotrowska: *Zagadnienia współczesnego malarstwa w Polsce na tle twórczości Leona Dołżyckiego, Erwina Elstera, Adama Hannytkiewicza, Józefa Krzyżańskiego, Władysława Lama, Tade-*



Karykatura Erwina Elstera (autor nieznan), ok. 1960 r., ołówek na papierze, 21 x 15 cm

*usza Potworowskiego, Wacława Taranczewskiego, Jana Wronieckiego*, Poznań 1935, s. 63–64).

Odnosi się wrażenie, jak gdyby artysta niemal „bawił się” prawami perspektywy, malując miejsca, w których bywał. Owo wycucie perspektywy malarz nosił w sobie, czego dowodem są różne ujęcia motywów architektury – uliczki, zaułki, plany na obrazie, śmiałe skróty perspektywiczne, zmienne linie horyzontu, punkty obserwacji. Trzeba zdać sobie sprawę i uświadomić sobie, iż malarz – utrwalając swe wrażenia – nie posługiwał się aparatem fotograficznym, jedynie intensywnie szkicował, a w większości malował w plenerze.

Równie ważne w twórczości Elstera są prace w technice achromatycznej – rysunki lawowane. Wartość tych dzieł ma również aspekt historyczny – utwalenie miasteczek, miejsc, zdarzeń, które odeszły w przeszłość. W większości są to miasteczka kresowe, jakby wyjęte z twórczości Bruno Schulza. To wzruszające sceny: biedne podwórka, domki parterowe z przybudówkami i balkonikami, małe ryneczki, sceny z jarmarków pełne postaci ludzkich – jak z opisów miasteczek galicyjskich – żydowskich motywów i wspomnień dawnych sztetl, już nieistniejących. To podróż w czasie, w miejsca, które zapadły się, a niegdyś tętniły życiem i ludźmi, gdzie obok cerkwi, kościoła i synagogi toczyło się życie wielonarodowościowej społeczności kresowej. Te dzieła pełne wyrazu i narracji – w nich widać rękę mistrza, gdzie w achromatycznej kolorystyce czuje się kolor, kontrast i materię. Malowane są lekko i bezpretensjonalnie, czasem jakby tylko szkic.

Twórczość Erwina Elstera jest poruszająca, oddaje autentyczność czasów przeszłych – miejsc, ludzi i ich codziennych zajęć, pracy, zabaw, które wydają się obecnie archaiczne i nierealne. To malarstwo o wrażliwej kolorystyce, obrazy malowane są pięknie kolorystycznie, z dużą swobodą, lekkością i łatwością techniczną. Jego malarstwo, o nieprzemijającej wartości, zajmuje w sztuce polskiej XX wieku miejsce znaczące.

Ewa Cofalik-Dobosz  
Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku

\* Tekst opublikowany w „Erwin Elster malarstwo”, wyd. Muzeum Narodowe w Gdańsku, 2010; tytuł od redakcji *Pisma PG*



## O profesorze Erwinie Elsterze



Prof. Erwin Elster w pracowni na PG

Fot. archiwum rodzinne E. Granatowicz

**S**tudia rozpocząłem w 1957 roku. Dla przybysza z Bydgoszczy, który znalazł się w gronie szczęśliwców – studentów Wydziału Architektury, wszystko było wówczas nowe i onieśmielające: nieznane dotąd miasto, gmachy Politechniki, studenci starszych lat, ale przede wszystkim profesorowie. Przyglądałem się im uważnie, próbując odgadnąć, kim są i jacy są. Dwóch zwróciło moją szczególną uwagę. Jeden z nich miał dostojne, surowe oblicze i nosił jasną marynarkę z samodziału o grubym splocie, co – w moim wyobrażeniu – oznaczało bez cienia wątpliwości status wybitnego architekta. Dopiero w czasie zajęć na drugim roku studiów okazało się, że moja intuicja była z gruntu błędna. Drugi wy-

różniał się barwną muszką, nieco intrygującą staroświecką elegancją i żywym spojrzeniem. Tu moja intuicja okazała się trafna już na pierwszych zajęciach w październiku 1957 roku z rysunku odręcznego. Był to Profesor Erwin Elster, który wprawdzie okazał się artystą malarzem, a nie architektem, ale to od niego zaczęła się moja przygoda z architekturą. Katedra Rysunku, Malarstwa i Rzeźby oraz prowadzone w niej zajęcia były wówczas ważną częścią programu studiów. Na pierwszym roku prowadził je właśnie ów profesor z muszką. Poznawaliśmy różne techniki - od ołówka i sangwiny po tusz lawowany, piórko i patyk, ale przede wszystkim uczyliśmy się postrzegania świata wokół nas. Niezależnie od zajęć

w sali 500 w Gmachu Głównym prowadził nas Profesor do Muzeum Narodowego, gdzie szkicowaliśmy jego poklasktorne gotyckie krążanki, a także polecał rysować w domu. Kiedy, świadom obscurnego wyglądu mojej stancji i jej otoczenia, wyjawilem moje zakłopotanie koniecznością wyboru tak nieciekawego tematu pracy domowej, Profesor powiedział: „niech Pan wyrzy przez okno i to narysuj”. Wyrzyłem więc i rysowałem odrapaną oficynę mojego domu, komórki na opał, śmietnik, dwa na wpół obumarłe drzewa, płot i nasyp kolejowy na horyzoncie. I doznałem olśnienia: nie ma pięknych, czyli godnych i brzydkich, czyli niegodnych rysowania tematów. To była pierwsza, ważna dla mnie lekcja.

Profesor niewiele mówił o naszych, często niewprawnych rysunkach. Nie udzielał drobiazgowych korekt, budził w nas raczej wrażliwość i radość z odkrywania linii i płaszczyzn, światła, cienia i kształtów. Sam tym żył i próbował nas do tego zapalić. Dziś, po z górą pięćdziesięciu latach najbardziej pozostała mi w pamięci jego życzliwość, zapraszająca każdego z nas do rysunkowej przygody. Niewiele też wiedzieliśmy o jego twórczości; czasem tylko udawało się zerknąć do wnętrza jego pracowni na poddaszu Gmachu Głównego.

Po pierwszym roku nasz kontakt z Profesorem się urwał. Na drugim roku zajęcia w tej katedrze prowadził profesor Władysław Lam, a w następnych latach profesor Adam Gerżabek, który stał się moim mistrzem. A jednak Profesor Elster pozostał tym, który rozpoczął moją – i wielu z nas – drogę.

Kiedy na trzecim roku studiów przenieśliśmy się do domu studenckiego PG (najpierw była to dawna „dziewiątka”, a później „dziesiątka” przy ul. Wyspiańskiego), okazało się, że Profesor Elster – już chyba na emeryturze – jest opiekunem mieszkających w akademiku studentów architektury. Przychodził do nas dość często, odwiedzał kolejne pokoje, dopytywał się o nasze problemy i – jeśli nawet nie był czasem w stanie nam pomóc – mieliśmy świadomość, że nie jesteśmy mu obojętni. Anegdotyczne stało się jego powiedzenie kończące rozmowę. Zbierając się do wyjścia, zwykł był mówić: „chłopaki, a jak wam czegoś brakuje, to ... (tu zawiesział głos)... to sobie kupcie!”.



Autograf profesora E. Elstera w indeksie autora

Andrzej Baranowski  
Absolwent Politechniki Gdańskiej



## Miasto niezwykle

### Polacy i Niemcy w Wolnym Mieście Gdańsku (1920-1939)

**G**dańsk w swej ponad tysiącletniej historii zapisanej na kartach żywotów świętego Wojciecha, kronikach i dokumentacji źródłowej oraz w archeologicznych odkrywkach jawi się jako miasto niezwykle. Pełno w jego dziejach godności, dostojności, ale i zaskakujących nagłych zwrotów, walk, a obok tego dążenia do wolności, umiłowania miejsca, zwanego przez niektórych *genius loci*. Inni dodają *Wenecja północy* z siecią rzek, strumieni, kanałów, wysp zamknięta w ramionach delty Wisły.

#### Flesz historii

- Gyddanycz Św. Wojciecha (997)
- Księżęta i królowie Polski (X-XIII w.)
- Księżęta pomorscy (XII-1294)
- Księżęta i królowie Polski (1295-1308)
- Pod władzą Krzyżaków (1308-1454)
- Czasy królów polskich (1454-1793)
- Władztwo Prus (1793-1807)
- Napoleońskie Wolne Miasto (1807-1813)
- Pruska rejencja i prowincja cesarstwa niemieckiego (1814-1919)
- Władztwo prezydenta Rzeszy Niemieckiej (1919-1920)

Przez wieki też kształtowała się postawa mieszkańca miasta, najpierw zapatrzonego w najbliższą okolicę i pobliskie morze, później coraz dalej wypływającego, szukającego nowych szlaków, wreszcie odnajdującego kupieckiego ducha, bogacącego

się na handlu między Rzeczpospolitą a Europą. To już nie on, a kupcy z całej Europy przyptywali do miasta bogatego i znanego, nie tylko z intratnych kontraktów, ale także ze znakomych budowniczych, sławnych uczonych, badaczy nieba, filozofów i historyków oraz mecenasów sztuki. Miasto z niepowtarzalnym klimatem, gdzie wszystko mogło się zdarzyć, w którym podgolony polski szlachcic mógł się dogadać z Holendrem, dobijając targu. Miasto ściągające z całej Europy najwybitniejszych architektów, tworzących z niego perłę renesansowego niepowtarzalnego budownictwa. Ślady tej różnorodności oblicza miasta jeszcze dzisiaj widać zamknięte w rzeźbie, kamieniu, budynkach użyteczności publicznej, kościołach... Panorama miasta, widzianego z okolicznych wzgórz, prawie pozostała taka sama, jak przed wiekami. Z oddali ten sam układ ulic, te same wieże, szczyty kamienic, bramy, forty, bastiony..., a jednak z bliska już się zaciera ta niepowtarzalna tkanka materialna miasta. Jest inna, bo też inni są jej mieszkańcy.

Miasto choć wspaniałe, przechodziło swoje dramaty. Niezależne, zakorzenione i korzystające z polskiego zaplecza gospodarczego, dynamicznie się rozrastające, z ludnością napływową z Niemiec, Niderlandów, Anglii, Skandynawii..., ale

przede wszystkim z najbliższego otoczenia z Pomorza, Prus Królewskich, Kaszub, z odległych ziem szlacheckiej Polski. Protestantka Europa spotykała się z katolikami uznającymi papieża, prawosławnymi, Żydami, Ukraińcami, Rosjanami, a nawet Tatarami. Swoista wieża Babel, gdzie choć mówiono różnymi językami, dawano schronienie prześladowanym, a jednocześnie znajdowano możliwe porozumienia i zawierano sojusze polityczne, dobijano kontrakty handlowe, szanowano odmienności religijne. Swoista mała ojczyzna, na którą można było się powołać. Ale to także miasto niekiedy umierające. Najtrudniej przyszło mu walczyć o swoją niezależność, gdy po pierwszym zaborze Polski Prusacy podeszli prawie do samych bram i otoczone ze wszystkich stron zaczęło się kurczyć i wyludniać.

#### Ludność miasta

- Ok. roku 1000 – ok. 2000–2500 osób
- 1308 – ok. 10 000
- 1416 – ok. 20 000
- 1650 – ok. 65 000–70 000
- 1793 – 36 231
- 1804 – 44 055
- 1817 – 48 575
- 1850 – 58 012
- 1885 – 114 805
- 1900 – 140 563
- 1915 – 192 328
- 1919 – 194 953

Najbardziej jednak zaciążyła pruska blokada przy wjeździe do portu gdańskiego. Ustawiał handel morski, podstawa świetności miasta. Zaraz potem nastąpił czas napoleońskich wielkich kontrybucji i płacenia haraczu za ustanowienie Wolnego Miasta. I znowu powrót pod panowanie pruskie, a później cesarstwa niemieckiego. Do połowy XIX wieku prowincja, zapomniana w Berlinie. Dopiero później, kiedy zdano sobie sprawę z jego znaczenia militarnego, miasto zaczyna zmieniać swój charakter. Z prowincjonalnego, przeobraża się w miasto ze stale wzrastającą

Gdańskie harcerki na ulicach miasta, połowa lat trzydziestych



Otwarcie nowej przystani wioślarskiej, w środku Kazimierz Papée, Komisarz Generalny RP, 1934 r.



liczbą wojska. Po wojnie francusko-pruskiej, kiedy Niemcy dostają olbrzymią kontrybucję, zaczyna się budowa nowego Gdańska. Miasto rozwija się, między innymi powstaje wówczas budynek Technische Hochschule (politechnika).

Zaczął się jednak odcinanie miasta od dotychczasowego naturalnego zaplecza, jakim było wielonarodowe państwo polskie. Wymazanie z map świata jednego z największych państw Europy, mającego w Gdańsku swoje zawsze otwarte „okno na świat”, wpłynęło na zmiany struktury ludnościowej. Powoli ludność miejscowa, słabsza ekonomicznie, zaczęła mieć problemy z przeciwstawianiem się grupom napływowych urzędników, wojskowym, bogatym kupcom, przedstawicielom drapieżnego młodego kapitalizmu otwierającego jednak możliwości pracy. Wzrastające znaczenie tych grup powodowało, że miasto zatracalo swój dawny pomorsko-kaszubski i wielonarodowy charakter. W dodatku brak państwa polskiego na dziesiątki lat pozbawił nadziei na jego powrót do narodów Europy. Skutkiem tych złożonych procesów, zawsze powstających na terenach granicznych, pod koniec XIX w. ludność kaszubska mieszkała raczej na obrzeżach miasta, w śródmieściu przeważała ludność niemiecka. Ślady tego można odnaleźć w twórczości „gdańskiego” Noblisty Güntera Grassa i w publikacjach jego rówieśnika, gdańszczanina Brunona Zwarry. Przywołuje się w nich specyficzną świadomość mieszkańców Gdańska, którzy nie mieli potrzeby jednoznacznego określania swojej narodowości. Mówili o sobie, że są „stad”. Powstanie państwa polskiego w 1918 roku zmienia sytuację. Pojawiła się nadzieja, że Gdańsk przyznany zostanie Polsce. Przemawiały za tym argumenty historyczne, polityczne i gospodarcze. Zwracano uwagę, że tak miasto, jak i Polska, nie mogą dobrze funkcjonować, jeśli oba podmioty nie będą

współpracowały w jednym organizmie państwowym. Gdańsk ze swoim bogactwem i kulturą wyrósł dzięki Polsce. Z kolei Polska przez wieki korzystała z „okna”, jakim był Gdańsk.

#### Postulaty polskie

- Marzec 1917 – memoriał R. Dmowskiego, Polska z ujściem Wisły i Niemna
- Styczeń 1918 – orędzie Woodrowa Wilsona, Polska z wolnym „dostępem do morza”
- Czerwiec 1918 – uchwała prezydentów (Francja, W. Brytania, Włochy), utworzenie Polski z „dostępem do morza”
- Listopad 1918 – Gdańsk w rozmowach rozejmowych
- Styczeń-czerwiec 1919 – kongres w Paryżu
- Marca 1919 – opór W. Brytanii, zwycięstwo zasady etnograficznej, koncepcja wolnego miasta

#### Postulaty gdańskie

- Luty 1917 – integralna część Niemiec, wydzielanie tzw. portu polskiego
- 1918 – wiecie, pozostanie w ramach państwa niemieckiego
- Styczeń 1919 – opowiedzenie się kupiectwa za Niemcami
- Luty 1919 – „Hände weg von Danzig”
- Marzec 1919 – „czysto niemieckie miasto”
- Kwiecień 1919 – zatrzymanie przyjazdu „Niebieskiej Armii”
- Kwiecień 1919 – umiędzynarodowienie ujść rzek
- Maj 1919 – wolne strefy portowe dla Polski
- Czerwiec 1919 – oświadczenie „nadziei i woli”

Postulat ten znajdował zrozumienie w gronach eksperckich, pracujących nad nowym kształtem Europy. Nie zaakceptowali tego jednak politycy zwycięskich państw, zwłaszcza Brytyjczycy, którzy nie chcieli zbyt mocno osłabić pokonanych Niemiec. Wojny już się bowiem skończyła i zaczęły się interesy. Wielkiej Brytanii politycznie nie zależało na Polsce – krnąbrnej, prowadzącej niezależną politykę i jednoczącej się z Francją, która zawsze dla niej była konkurentem na kontynencie. Natomiast Francja widziała silną Polskę z Gdańskiem, jedynym portem pełnomorskim nad Zatoką Gdańską. W sporze dwóch europejskich poten-

tatów przeważały Stany Zjednoczone, które opowiedziały się za Europa budowaną na zasadach „etnicznych”, która swe spory będzie rozwiązywać poprzez tworzącą się Ligę Narodów, organ podobny do dzisiejszej Organizacji Narodów Zjednoczonych. Oznaczało to, że terytorium, na którym była przewaga określonej ludności, powinno należeć do państwa, gdzie ta większość ma swoje oparcie. W tym wypadku Gdańsk powinien należeć do Rzeszy Niemieckiej. Interesy polityczne i gospodarcze zaplecza polskiego sprawiły, że międzynarodowa komisja wyznaczona przez zwycięskie mocarstwa do ustalenia przebiegu granic dwukrotnie opowiedziało się jednak za bezwrotnym przyznaniem Gdańska Polsce. Niemcy, chcąc zachować Gdańsk, rozpoczęli dyplomatyczne zabiegi i uaktywnili działaczy organizujących w mieście serię wystąpień mających na celu zatrzymanie decyzji przyznającej miasto Polsce.

#### Traktat wersalski

- Maj 1919 – warunki pokoju odrzucone przez Niemcy, kontrpropozycja: uznanie Klajpedy, Królewca i Gdańska za porty wolne
- Podtrzymanie stanowiska sprzymierzonych, że „mieszkańcy będą się sami rządzić”
- 28 czerwca 1919 – podpisanie traktatu
- Dział XI część II pt. Wolne Miasto Gdańsk (art. 100-108)

#### Postanowienia traktatu

- Art. 100 – 1888 km kw., ludność – 356 000,
- zrzeczenie się przez Rzeszę „wszystkich praw i tytułów”
- Art. 102 – WM utworzone przez sprzymierzonych, oddane pod ochronę Ligi Narodów
- Art. 105 – za obywateli WM uznano obywateli niemieckich

Traktat wersalski z czerwca 1919 roku nie gwarantował jednak stabilności, nie tylko w tym regionie, ale także na innych obrzeżach powstałego młodego państwa polskiego. W dodatku w tym czasie kształtowanie granic nie było jeszcze ostatecznie domknięte. Narastał naturalny pro-

Pracownicy redakcji „Gazety Gdańskiej”, 1928 r.



Polska szkoła senacka w Nowym Porcie, ok. 1930 r.



ces odzyskiwania świadomości ciągłości historycznej, szukania korzeni wspólnotowego działania przez wielonarodową społeczność nowej Polski. I tak trwało to aż do roku 1922. Nie obyło się bez politycznych błędów i krwawych konfliktów, przeplatającymi się z zabiegami dyplomatycznymi, plebiscytami, powstaniem, dramatycznymi wojnami, z przetomową bitwą warszawską nazwaną przez Francuzów „osiemnastą bitwą świata”, a przez innych określaną „cudem nad Wisłą”.

#### Prawa Polski

- Art. 104 – zapowiedź przyszłych uregulowań w zakresie:
  - włączenia w granice celne
  - utworzenia wolnej strefy w porcie
  - swobody w używaniu wszelkich dróg do importu i eksportu
  - władztwa nad Wisłą i siecią kolejową
  - komunikacji pocztowej, telegraficznej i telefonicznej z portem
  - rozwijania dróg wodnych i innych środków komunikacji, nabywania ziemi
  - że nie będzie różnic na „szkodę obywateli Polski i innych osób polskiego pochodzenia i języka” (ust.5)
  - prowadzenia spraw zagranicznych Wolnego Miasta Gdańska

#### Okres przejściowy

- Listopad 1918 – czerwiec 1919 pod zwierzchnictwem Prus i Rzeszy
- Czerwiec 1919 – 10 stycznia 1920 przygotowania do przekazywania władzy
- Styczeń – listopad 1920 pod zwierzchnictwem mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych

Trwała też walka o kształt Wolnego Miasta Gdańska. Od końca 1918 roku miasto było zrewoltowane. Po rozejmie z Niemcami w listopadzie 1918 roku, do miasta przybywają zdemobilizowani żołnierze niemieccy – szukają tu pracy i jedzenia. Powszechny głód i niepewność jutra wyprowadzają ludzi na ulice miasta. Strajki i demonstracje stają się codziennością. Powstają rady niemieckie, polskie i polsko-niemieckie, żydowskie...

Stan permanentnej rewolucji i ogromnego napięcia społecznego, skanalizowane zostały ostatecznie w dwóch nurtach narodowościowych niemieckim i polskim. Ze strony niemieckiej była prowadzona kampania, która potęgowała atmosferę napięcia i zachęcała do organizowania wieców, które gromadziły do kilkudziesięciu tysięcy demonstrantów, opowiadających się za pozostaniem w granicach Niemiec. Polacy, wprawdzie nie na taką skalę, ale również się organizowali, demonstrowali, słali petycje, przygotowywali obszerne spisy ludności polskiej. Wysyłali do Paryża na trwającą konferencję pokojową delegacje, w tym najsłynniejszą z Antonim Abrahamem, zwanym „królem Kaszubów” i Tomaszem Rogalą spod kościerskich Śliwic. Inni planowali nawet przez sprowadzenie z Francji do Polski przez Gdańsk „Niebieskiej Armii” generała Hallera wywołanie powstania mającego przyłączyć Gdańsk do Polski. Stąd decyzje traktatu podpisanego przez zwycięskie mocarstwa z Niemcami w Wersalu dla obu stron oznaczał zawód. Decyzja wersalska całe te oczekiwania i narodową mobilizację, zwłaszcza tych, którzy wierzyli, że Gdańsk będzie polski, rozprężyły i osłabiły motywację Polaków do dalszego intensywnego działania.

Traktat wersalski podpisany z Niemcami w czerwcu 1919 roku w rozdziale dotyczącym Gdańska, zakreślonym przez premiera brytyjskiego, przewidywał utworzenie Wolnego Miasta Gdańska, wyłączonego z granic państwa niemieckiego, ale nie włączonego do Polski. Zwyciężyła zasada etniczna odsuwająca wszelkie inne racje, co powodowało, że ziemie należące przez wieki do państwa polskiego, których mieszkańcy szukali oparcia u polskich królów utraciły możliwość powrotu do tego związku opartego na racjach historycznych, gospodarczych i społecznych. Akceptowano tym samym

dziewiętnastowieczne germanizacyjne piętno odcisnięte na mieście i jego najbliższej okolicy.

#### Granice Polski

- Niemcy – 1 663 km (31,5%)
- Rosja – 1 412 km (26,7%)
- Czechosłowacja – 920 km (17,4%)
- Litwa – 521 km (9,9%)
- Rumunia – 388 km (7,3%)
- **Wolne Miasto Gdańsk – 193 km (2,6%)**
- Łotwa – 100 km (1,9%)

#### Wolne Miasto Gdańsk

- Nie było państwem
- Nie podlegało niczyjej suwerenności
- Było obszarem zależnym od Ligi Narodów i Polski

#### Symbole Wolnego Miasta

- Konstytucja
- Parlament (Senat i Volkstag)
- Waluta – gulden gdański (1 zł = 60 fenigów)
- Flaga (królewska, nadana przez Kazimierza Jagiellończyka)
- Hymn

#### Podział władzy

- Liga Narodów z Wysokim Komisarzem
- Wolne Miasto z Senatem i Volkstagem
- Polska z uprawnieniami z art. 104 i późniejszych umów i decyzji Ligi Narodów
- Rada Portu i Dróg Wodnych

od 1926 – po wejściu do Ligi Narodów, wzrastające, nieformalne znaczenie Niemiec, rzutujące na relacje polsko-gdańskie.

Władza w Wolnym Mieście Gdańsku rozdzielona była na kilka podmiotów. Formalnie do „życia” twór nowego Gdańska powołała Liga Narodów, mająca tutaj na stałe urzędującego Wysokiego Komisarza i gwarantującą tutejszą konstytucję. Istotną rolę odgrywała Polska, której traktat wersalski przyznał wiele praw, łącznie z prowadzeniem gdańskich spraw zagranicznych, z ustanowionym i urzędującym na miejscu Komisarzem Generalnym RP w randze ministra. Specjalne znaczenie miała parytetowa, międzynarodowa pol-

Żołnierz polski na posterunku na Westerplatte



Poczet sztandarowy polskich pocztowców podczas defilady na stacji „Gedania” we Wrzeszczu, 1938



sko-gdańska Rada Portu i Dróg Wodnych, z niezależnym prezydentem, najczęściej obywatelem Szwajcarii, zarządzająca portem gdańskim i brzegami Wisły. Wolne Miasto nie było państwem, ale miał jego atrybuty: konstytucję, według której władzę państwową sprawował naród, a językiem urzędowym był niemiecki, choć ludności polskojęzycznej zapewniono wolny, narodowy rozwój i prawo używania języka polskiego w szkolnictwie, administracji i w wymiarze sprawiedliwości, parlament, władzę ustawodawczą i wykonawczą – Volkstag i Senat, walutę – gulden gdański, godło i flagę z dwoma krzyżami z koroną na czerwonym tle, przyznaną przywilejem króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka, był nawet hymn. Znamienne jest to, że jedna ze zwrotek ze słowami „powróćmy do Niemiec” nie była śpiewana przez Polaków.

Najważniejsze i najtrudniejsze sprawy były w relacjach polsko-gdańskich, stale wywołujące spory rozstrzygane tu, na miejscu przez Wysokiego Komisarza lub na posiedzeniach plenarnych i w komisjach eksperckich w siedzibie Rady Ligi Narodów w Genewie oraz przez Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze.

Traktat Wersalski mówił o obywatelstwie Wolnego Miasta Gdańska. Można je było otrzymać poprzez potwierdzenie jedynie swego poprzedniego obywatelstwa Rzeszy Niemieckiej, lub poprzez określony czas zamieszkania, względnie przez jednoznacznie określenie swojego pochodzenia lub języka ojczystego, zwanego Muttersprache, rozumianego na tym terenie jako niemiecki, polski i kaszubski. Po ponad stu kilkudziesięciu latach braku państwa polskiego, mieszkańcy często nie mieli wyrazistej świadomości swojego pochodzenia, co pogłębiała naturalna na tym terenie dwujęzyczność. Stąd, gdy padało pytanie o Muttersprache – jaki jest twój język, oznaczało to bardziej „małą

ojczyznę”, a nie przynależność narodowościową czy państwową. Na wszystkich bowiem terenach pogranicza dochodzi do sytuacji, że nie ma jednoznacznego samookreślenia narodowego, językowego, wreszcie politycznego. Bardziej podkreśla się przynależność do „małej ojczyzny”, w tym przypadku uznawano się za gdańszczyzanina. Płynność klasycznych pojęć określających narodowość powoduje, że trzeba podchodzić z dużą dozą ostrożności do wszelkiego rodzaju statystyk narodowych przeprowadzanych na takich terenach. Po rozejmie z Niemcami w mieście nic się nie zmieniło. Pozostał ten sam układ polityczny. Formalnie też władzę zwierzchnią nad Gdańskiem nadal pełnił prezydent Rzeszy. Do przekazania sprzymierzonym Gdańska w dniu 10 stycznia 1920 roku, prezydent był zwierzchnikiem administracji przyszłego wolnego miasta. Później zwierzchność nad nią przejęły państwa sprzymierzone, wyznaczając najpierw tymczasowego administratora, a później Wysokiego Komisarza Ligi Narodów. W dodatku przez te dwa lata tymczasowości nadal rządziła ta sama grupa urzędników, byli ci sami prokuratorzy, była ta sama policja, a nawet stacjonowało wojsko niemieckie. Niewiele się zmieniło, gdy Gdańsk stał się z tytułem „wolnym”. Nadal rządziły koalicje politycznych partii, będących odpowiednikiem tych, które władzały Niemcami. Wszystko to wpływało na kształtowanie się świadomości narodowej Polaków, których choć stale przybywało, nie znajdowało to jednak odbicia w wyborach do miejscowego parlamentu, zwanego Volkstagiem.

Ilu było Polaków w Wolnym Mieście Gdańsku? Spór o to istnieje od początku i właściwie do dzisiaj nie został rozstrzygnięty. Dawne statystyki pruskie i późniejsze gdańskie podają, że było około 3%, ale nie więcej niż 6% ogółu ludności Wolnego Miasta. I są to prawdziwe dane, jeśli patrzy się jedynie na wybory do Volkstagu. Polska

literatura natomiast określa Polonie gdańską na około 10% mieszkańców Wolnego Miasta. Przypominam, że traktat wersalski mówił o obywatelach polskich oraz o osobach z języka i pochodzenia polskiego.

#### Ludność Wolnego Miasta

- 1907 – 316 382
  - 1910 – 330 252
  - 1919 – 356 740
- } na przyszłym obszarze WM
- 
- 1923 – 366 730
  - 1924 – 383 995
  - 1929 – 407 517
  - 1939 – 467 510

Przed laty spróbowałem pójść tym tropem i okazało się, że analiza statystyk niemieckich, a także gdańskich pozwala na ustalenia świadczące, że Wolne Miasto Gdańsk nie było tak jednoznacznie niemieckie i prawie 20% jego mieszkańców stanowiła ludność polska z pochodzenia, języka i obywatelstwa gdańskiego i polskiego. W wyborach natomiast brali udział wyłącznie obywatele gdańscy. Cała więc grupa obywateli polskich nie znajdowała się w żadnych oficjalnych statystykach wyborczych. A obywateli polskich przybywało coraz więcej i chcieli mieć choćby wpływ na to, co się działo na poziomie samorządów gdańskich. Zakładany zatem przez twórców Wolnego Miasta jego międzynarodowy charakter nie miał żadnego odzwierciedlenia. Władze gdańskie wręcz utrudniały Polakom, zwłaszcza aktywnym narodowo, otrzymanie obywatelstwa Wolnego Miasta. Stąd nie odgrywali oni żadnej roli w tutejszym życiu politycznym. Takich zaś przeszkód nie stawiano Niemcom, a wręcz zachęcano ich różnymi formami ułatwień i wsparć finansowych do osiedlenia się w Gdańsku. Z łatwością też otrzymywali oni miejscowe obywatelstwo. Główny ciężar walki spoczywał zatem na miejscowych działaczach, którzy występowali w obronie praw całej polskiej ludności w Zgromadzeniu Konstytucyjnym,

Budynek Volkstagu, nieistniejący dzisiaj, w jego miejscu znajduje się parking obok policji, początek XX w

Pierwszy projekt przepustek do polskiej składnicy na Westerplatte, 1926 r.



Volkstagu i na wiecach polskich. Walka ta nie znajdowała dostatecznego oparcia we władzach polskich, prowadzących bardziej politykę ustępstw gospodarczych i po części politycznych wobec gdańskich władz, niż umacniania ludności polskiej, posiadającej prawa wyborcze. Więcej, stan polskiego posiadania rząd polski pośrednio pomniejszał. Polacy gdańscy, którzy chcieli pracować w polskich instytucjach państwowych, zgodnie z wymogami konstytucji Rzeczypospolitej, musieli przyjąć obywatelstwo polskie. Z kolei polskie firmy prywatne nie zawsze rozumiały potrzebę zatrudniania czy popierania miejscowej ludności. W jeszcze gorszym położeniu byli rolnicy, którzy jako obywatele gdańscy nie mogli uzyskać kredytów gospodarczych w polskich bankach mających filie w Gdańsku. Natomiast tego typu kredyty szczerze udzielały banki niemieckie. Stąd nie może dziwić statystyka wyborcza.

#### Polacy w wyborach

- 1920 – 6,1% (Władysław Panecki, Bronisław Budzyński, Teodor Grobelski, Wojciech Jedwabski, Stanisław Kuhnert, Franciszek Kubacz i Bonifacy Łangowski)
- 1923 – 4,3% (Panecki, Kubacz, Jedwabski, Łangowski, Zygmunt Moczyński)
- 1927 – 3,1% (ks. Leon Miszewski, Antoni Lendzion, Moczyński)
- 1933 – 3,2% (Erazm Czarnecki, Moczyński)
- 1935 – 3,2% (Lendzion, Budzyński)

Najwięcej polskich posłów, siedmiu (6,1% z ogółu wybranych) zasiadło w Volkstagu w wyniku pierwszych wyborów w roku 1920, a po ostatnich, które odbyły się w czasie hitleryzacji miasta w 1935 r., gdy przyznawanie się do polskości groziło nie tylko pobiciem, ale nawet śmiercią, było ich dwóch (3,2%). Często chodzimy po ulicach naszego miasta i czytamy nazwiska wybitnych postaci – lekarzy, inżynierów, biznesmenów i związkowców – Panecki, Kubacz, Budzyński, Grobelski, Jedwabski, Kuhnert, Łangowski, Czarnecki,

Moczyński, ale był i ksiądz – zmarły przedwcześnie Leon Miszewski – wikary w kościele św. Ignacego na Oruni, a razem charyzmatyczny prefekt w Gimnazjum Polskim. Jego pogrzeb zamienił się w wielką manifestację polskości. W sprawozdaniach, które czytałem w dokumentach, władze gdańskie zdumione były zasięgiem oddziaływania polskości.

#### Przyczyny osłabienia żywiołu polskiego

- Słabość ekonomiczna i społeczna,
- Stała germanizacyjna akcja polityczna, ekonomiczna i kulturalna władz WM,
- Wpływ katolickiego duchowieństwa niemieckiego,
- Kryzys gospodarczy,
- Brak uwzględniania w zatrudnianiu miejscowej ludności polskiej przez polskie firmy i instytucje,
- Wewnętrzny rozłam,
- Emigracja zarobkowa,
- Przenoszenie się do Gdyni.

Słabość polskiego żywiołu wynikała, przede wszystkim ze statusu społecznego, gdyż poza liderami w większości składał się on z robotników, rzemieślników, drobnych kupców mieszkających przede wszystkim w Gdańsku i Sopocie. Pozostali byli rozproszeni. Główne jednak skupisko polskich gmin koncentrowało się na lewym brzegu Wisły. Zdecydowana dominacja Polaków zaznaczała się natomiast w takich wsiach jak: Postołowo, Ełganowo, Trąbki Wielkie i Kleszczewo oraz Piekło na Żuławach.

Polska poza uprawnieniami kolejowymi, celnymi, pocztowymi i ochroną ludności polskiej miała niewielki garnizon wojskowy na Westerplatte. Ustanowiony decyzją Rady Ligi Narodów – międzynarodowego organu, który wysłał specjalną komisję mającą sprawdzić, gdzie można wybudować miejsce do składowania amunicji i materiałów wybuchowych dla polskiej armii. Potrzeba taka wynikała przede wszystkim z traktatu wersalskiego. Ale nie tylko. W 1920 roku, gdy Polska

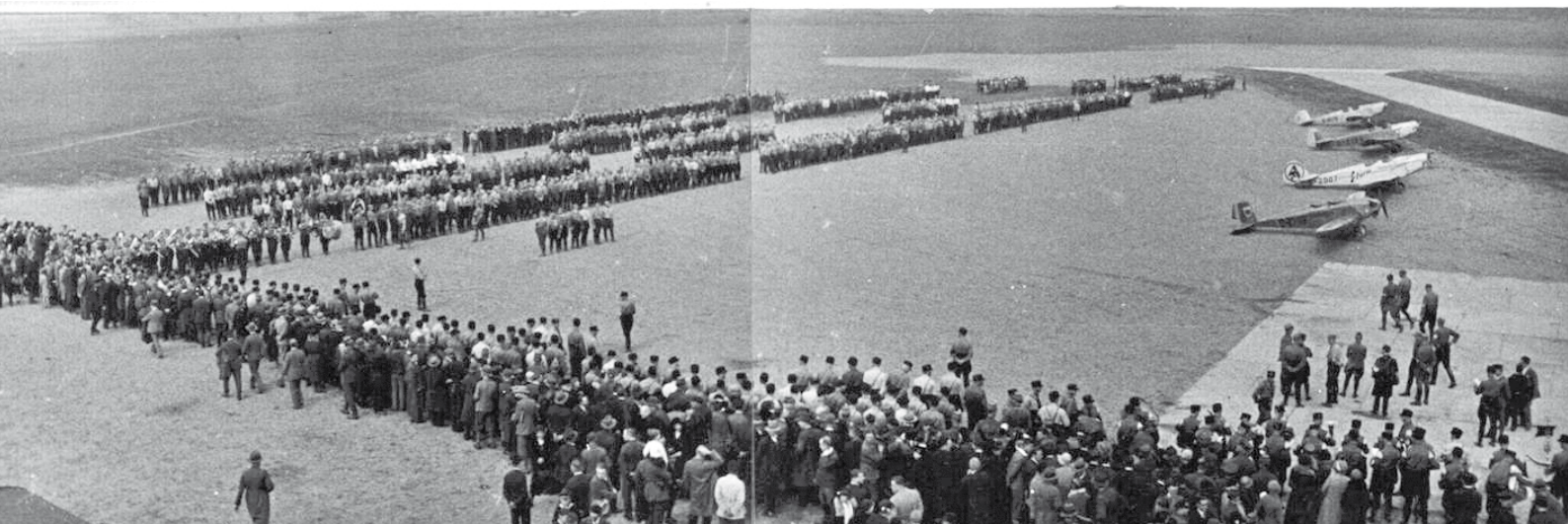
toczyła śmiertelny bój z Rosją sowiecką, której armie podchodziły pod Warszawę, gdańscy dokerzy i kolejarze zastrajkowali i odmówili przeładunku transportowców przywożących broń i amunicję od sprzymierzonych państw. W tym czasie Gdańsk był dla Polski jedynym portem pełnomorskim. Doświadczenia z blokady portu spowodowały, że Polska zażądała wypełnienia postanowień traktatowych. Oczekiwała przyznania jej w porcie gdańskim miejsca dla swobodnego składowania uzbrojenia i amunicji, której Polska wówczas nie produkowała. Parę lat minęło, nim międzynarodowi eksperci Ligi Narodów wybrali półwysep Westerplatte. I tak, w miejsce podupadłego kurortu, wybudowana została wojskowa baza tranzytowa i tu właśnie stacjonował jedyny oddział wojska poza granicami państwa polskiego

#### Technische Hochschule

- 1904 – 246 studentów, w tym 2 Polaków
- 1914 – 710, w tym ok. 10-12 Polaków
- 1915-1918 – 60 wszystkich studentów (wojna)
- 1921 – ok. 100 Polaków
- 1922/23 – 595 Polaków
- 1924 – 211 Polaków
- 1930 – 1740 studentów, w tym ok. 500 Polaków
- 1935 – 1830 studentów, w tym ok. 400 Polaków
- 1939 – ok. 420 Polaków

W 1900 r. zapadła w Berlinie decyzja o budowaniu kilku uczelni technicznych w najważniejszych miastach cesarstwa niemieckiego. Najbliższe uczelnie techniczne dla gdańszczan były w Berlinie i Rydze. Wśród pięciu miast starających się o tego typu uczelnię najszybciej wybrano Gdańsk. Przeważały dwa względy – potrzeby gwałtownie rozwijającego się przemysłu, zwłaszcza morskiego, szukającego zaplecza naukowo-technicznego oraz chęć zespolenia tej ziemi poprzez naukę i kulturę z resztą ziem niemieckich. W okresie Wolnego Miasta, gdy powstał na uczelni wydział humanistyczny, mający nawet prawo doktoryzowania, spełniał on także rolę

Hitler na lotnisku Gdańsk-Zaspa, kwiecień 1932 r.



naukowego centrum germanizacyjnego. Polacy studiowali na Technische Hochschule, gdańskiej politechnice od początku, od 1904 roku. Po 1920 roku politechnika mogła być zarówno w rękach polskich, jak i władz gdańskich. Niezbyt zręczne działania strony polskiej spowodowały, że międzynarodowa komisja podziału mienia niemieckiego zdecydowała, że będzie ona należała do Wolnego Miasta Gdańska. Ze względu na skład narodowy Gdańska, ale i na fakt, że niewielki organizm Wolnego Miasta nie byłby w stanie utrzymać uczelni zdecydowano, że Polacy będą mieli na niej specjalne uprawnienia, równoważne z gdańskimi Niemcami. Dla Polski oznaczało to jedyną możliwość kształcenia kadr dla gospodarki morskiej. W okresie świetności na uczelni studiowało ok. 400 – 500 Polaków. Była to grupa inteligencji, która stale angażowała się w życie Polonii gdańskiej. Napotymano na utrudnienia, a nawet szykany, których apogeum było pozbawienie polskich studentów na początku 1939 roku możliwości studiowania na tej uczelni. Wielu z polskich absolwentów tej gdańskiej uczelni stało się później pionierami budującymi fundamenty polskiego przemysłu, w tym także stoczniowego.

#### Liga Narodów

- Chroniła przeciw jakiegokolwiek napaści i broniła niezależność polityczną
- Gwarantowała konstytucję
- Wgląd miała w sprawy publiczne
- Prawo obywateli zwracania się do Wysokiego Komisarza w przypadkach naruszania konstytucji
- Rozstrzygała spory polsko-gdańskie

Załamywanie się idei Ligi Narodów, rozstrzygania na forum międzynarodowym wszelkich sporów zaczęło się od wejścia jej skład w 1926 roku Niemiec, a później wyjścia i przygotowywania przez Hitlera „osta-

tecznych rozwiązań”. W Gdańsku kryzys systemu wersalskiego wyraźnie zaczął się w roku 1930, gdy przybył do miasta nowy gauleiter, Albert Forster, osobisty wysłannik Hitlera. W mieście następuje przyspieszona hitleryzacja. Kryzys gospodarczy powodował zapotrzebowanie na hasła populistyczne i nacjonalistyczne, zwłaszcza dotyczące zerwania z „dyktatem wersalskim”. Ważną rolę w tym procesie ostrej polaryzacji nastrojów społecznych pełniła też propaganda, wykorzystująca wszystkie media i nowinki techniczne stosowane z rozmachem w filmie, radiu, a nawet w fotografii.

#### Władze zwierzchnie

- 1918-1920 – prezydent Rzeszy Niemieckiej (Friedrich Ebert)
- 1920 – pełnomocnik i administrator (Reginald Tower)
- 1920-1939 – Liga Narodów (Wysocy Komisarze)
- 23 sierpnia 1939 – dekret Senatu na mocy, którego WM zostało włączone do Rzeszy jako jeden z okręgów (Gau)
- Władza zwierzchnia na szefa państwa (Staatsoberhaupt) Alberta Forstera

W 1932 r. na lotnisku na Zaspie wylądował sam Hitler. Zrobił przegląd swoich oddziałów i odleciał. Zapowiedział, że powróci, gdy Gdańsk znowu będzie niemiecki. W dniu 23 sierpnia 1939 roku wychodzi krótki dekret Senatu, obalający konstytucję Wolnego Miasta Gdańska i natychmiast przekazujący władzę zwierzchnią szefowi państwa (Staatsoberhaupt) Albertowi Forsterowi. W tym momencie kończy się historia Wolnego Miasta Gdańska. Powinna się zakończyć, ale formalną realizację odłożono, czekając na rozpoczęcie wojny z Polską, która była już wyznaczona na 26 sierpnia. Hitler w ostatniej chwili przesunął tę datę. Dopiero 1 września, o godzinie 4,47 salwa artyleryjska ze „Schleswiga-Holsteina” rozpoczęła

drugą wojnę światową, a Albert Forster ogłosił za pośrednictwem nowoczesnego radia, że Gdańsk został inkorporowany, włączony do Rzeszy.

W tym samym dniu rozpoczęły się, najpierw w Gdańsku, a później w całej Polsce, aresztowania Polaków znajdujących się na specjalnych listach proskrypcyjnych. Zatrzymywani, bici i torturowani, wywożeni byli do miejsc zagłady, zwłaszcza do niewielkiej miejscowości na Mierzei Wiślanej – Stutthofu. Tu większość z nich złożyła największą ofiarę za to, że marzyli. Ginęli zakatowani, rozstrzeliwani..., ale pamięć po nich została. A po latach, również dzięki nim, wróciła Mickiewiczowska wizja, że Gdańsk niegdyś nasz, będzie znowu nasz.

Podstawowa bibliografia:

A. Drzycimski: *Polacy w Wolnym Mieście Gdańsku (1920–1933). Polityka Senatu gdańskiego wobec ludności polskiej*, Gdańsk 1978;

A. Drzycimski: *Westerplatte 1939. Przed szturmem*, Gdańsk 2009;

M. Gliński, J. Kukliński: *Kronika Gdańska 997–2000*, t. II, Gdańsk 2006

S. Mikos: *Polacy na politechnice w Gdańsku w latach 1904–1939*, Warszawa 1987;

S. Mikos: *Wolne Miasto Gdańsk a Liga Narodów 1920–1939*, Gdańsk 1979;

A. Tarkowska: *Gdańsk między wojnami. Opowieść o życiu miasta 1918–1939*, Łódź 2010.

Andrzej Drzycimski

Zdjęcia pochodzą z:

Archiwum Państwowego w Gdańsku i Biblioteki Gdańskiej PAN oraz zbiorów M. Glińskiego, K. Reczmina i autora

*Westerplatte – msza żałobna w intencji marszałka Józefa Piłsudskiego, po lewej na pierwszym planie w ubraniu cywilnym minister Kazimierz Papée, Komisarz Generalny RP, maj 1935 r.*



*Dyplomatyczna powinność - na pokładzie „Schleswiga-Holsteina”, w pierwszym rządzie minister Marian Chodacki, Komisarz Generalny RP i komandor Gustav Kleikamp, dowódca okrętu, z tyłu widoczna na brzegu biała tablica z nieczytelnym napisem Westerplatte, 25 sierpnia 1939 r., godzina 13,35*



## Korporacja Akademicka „Wisła” wczoraj i dzisiaj



Założyciele Korporacji Wisła w latach trzydziestych

Fot. archiwum korporacji

**W** październiku 2003 roku, w Gmachu Głównym Politechniki Gdańskiej, przy sali Senatu, spotkali się dwaj studenci. Umawiając się poprzez Internet, niewiele wiedząc o sobie, niewiele wiedzieli też o Korporacjach Akademickich. Wówczas jeszcze nawet nie przypuszczali, że będzie to początek wielkiej przygody, ale także przyjaźni i koleżeństwa. Zaowocowało to reaktywacją Korporacji Związków Akademików Gdańskich „Wisła” (z skrócie Z.A.G. Wisła). Artykuł ten ma na celu przedstawienie historii i działalności tej organizacji.

Korporacje Akademickie to jeden z wielu studenckich pomysłów na życie i działanie. Ruch do głębi patriotyczny i honorowy, poważny i kulturalny, ale zawsze wesoły i wychowawczy dla studentów. Wielki ruch korporacji akademickich wywodzi się z dziewiętnastowiecznej Estonii, aby następnie poprzez studiujących tam Polaków i w sprzyjających dla nich czasach po I Wojnie Światowej, załapać polskim życiem akademickim. Lwów, Wilno, Warszawa, Poznań, Toruń, Kraków, Cieszyn, akademickie ośrodki II RP to stolice tak zwanej „Rzeczypospolitej korporanckiej”. Miasta te pełne są studentów w charakterystycznych czapkach. Większość z nich należała również

ski, Władysław Sikorski; publicyści i pisarze: Wojciech Wasutyński, Roman Rybarski, Stanisław Grabski; ludzie kościoła: kard. Aleksander Kakowski. Wszyscy oni należeli do polskich korporacji akademickich działających w dwudziestoleciu międzywojennym. W Gdańsku, na ówczesnej Technische Hochschule der Freien Stadt Danzig (jak nazwano Politechnikę) działały cztery korporacje akademickie. Jedną z nich była wspomniana „Wisła”, wśród której było wielu późniejszych profesorów naszej uczelni.

Czym jest korporacja akademicka? Cemu służy? Nasza Korporacja Z.A.G. „Wisła” była bardzo podobna do wielu innych korporacji działających w dwudziestoleciu wojennym, czyli Rzeczypospolitej korporanckiej, z racji popularności tych związków wśród studentów, jak i późniejszego wpływu członków tych zrzeszeń na losy Polski, których to znanych przedstawicieli powyżej wymieniłem. Korporacji było wtedy kilkaset. Studenci zrzeszali się pod względem narodowości, kierunku studiów, poglądów politycznych. Czym jest Korporacja Akademicka? Samorządnym stowarzyszeniem, zrzeszających studentów, których łączy przyjaźń, koleżeństwo, studia, polityka, narodowość, a zazwyczaj to wszystko razem. Cel to wychowanie na przykładnego patriotę i porządnego obywatela. Korporacje są elitarne (choćby dlatego że ówczesni nieliczni studenci wyróżniają się wydatnie w społeczeństwie), inteligentne, prześlaknięte patriotyzmem. Tworzą je studenci i absolwenci. Razem



Polscy studenci (korporanci) w Akademiku. Lata dwudzieste

Fot. archiwum korporacji





Bal Związku Filistrów Korporacji Wisła

Fot. archiwum korporacji

się bawią, uczą, rozmawiają i dyskutują, kłócą i zgadzają się ze sobą. Spotykają się na naukowych spotkaniach i na zabawie. Obowiązują hierarchie, porządek i stopnie, dzielące członków na Fuksów (kandydatów do korporacji), Comilitonów (członków władz), Filistrów (absolwentów uczelni). Członkostwo w korporacji jest dożywotnie. W odróżnieniu od większości obecnych studenckich stowarzyszeń, po zakończeniu studiów nadal się do korporacji należy, wspiera się ją finansowo, naukowo i wychowawczo. Korporantów w ich charakterystycznych czapkach wyróżniają jeszcze pojęcia honoru, kultury, odpowiedzialności, powagi. Każda Korporacja ma swoje zwyczaje, tradycje i symbole. Skupia tylko mężczyzn, co było powodowane dominacją mężczyzn wśród studentów dwudziestolecia, jak i negatywne nastawienie do koedukacji (sporadycznie występowały również korporacje tylko żeńskie). Czapki studenckie w określonych kolorach, barwy czyli kolory charakterystyczne korporacji, sztandary, odznaki, rapiery i pistolety tworzą wielką mozaikę przedwojennego życia studencko-korporacyjnego. Korporacje wychowują na patriotów, naukowców, porządnym ludzi. Rodzą się tam przyjaźnie i znajomości, które nie raz oparły się działaniom wojny i czasu. Do dzisiaj żyją jeszcze ostatni z należących do tych zrzeszeń przedwojennych studentów, którzy jeszcze teraz wspominają korporacje, do których należeli, swoich kolegów, barwy, symbole.

Sama Korporacja Z.A.G. „Wisła” oficjalnie rozpoczęła swoją działalność w roku 1921. Wówczas to, podczas uroczystego zjazdu obecnych i wcześniejszych członków Wisły, uchwalono statuty, regulaminy, przyjęto barwy, symbole, wytyczono cele i zasady działania. Organizacja ta wyrosła na bazie przyjaźni i doświadczeń jeszcze sprzed roku 1914, roku wojny światowej. Już od powstania Politechniki zaczynają w Gdańsku studiować Polacy. Szybko zorganizują się w Związek Akademików Gdańskich, z którego powstała później Korporacja „Wisła”, który to oficjalnie założą w roku 1913. Wówczas to uświadamiają sobie cele istnienia takiego studenckiego związku. Samopomoc

w nauce i życiu, szczególnie w stosunku do najmłodszych przybywających na studia kolegów, wspólna nauka i zabawa, dyskusje polityczne i społeczne odzwierciedlające patriotycznego polskiego ducha grupki kilkunastu polskich studentów otoczonych niemieckim żywiołem. Wysoki poziom etyczny i towarzyski stanie się później znakiem rozpoznawczym Korporacji Z.A.G. „Wisła”. Wszystko to odżyło po zakończeniu wojny, wraz z powrotem Polaków na Politechnikę. Pomimo stworzenia z Gdańska wydzielonego z Polski Wolnego Miasta, a tym samym dalszej dominacji niemieckiej w mieście i uczelni, Związek Akademików Gdańskich organizuje ponownie swoje działanie. W roku 1921, już po Powstaniu Wielkopolskim i wojnie roku 1920, powstaje Korporacja. Idea samopomocy, braterstwa, przyjaźni, patriotyzmu staje się od-tąd oficjalną dewizą członków Korporacji Z.A.G. „Wisła”.

Członkiem Korporacji mógł być oczywiście tylko Polak, student Politechniki w Gdańsku. Korporacja swoim zachowaniem i sposobem działania przypominała podobne związki powstające wtedy na wszystkich uczelniach w Polsce, z którymi szybko nawiązała współpracę. Czapka studencka w kolorze amarantowym, barwy biało-amarantowe (w nawiązaniu do barw narodowych), biało-amarantowy sztandar, dewiza „Omnia pro Patria” (wszystko dla Ojczyzny), odznaki w kłapkach marynarek, wszystko to staje się znakiem rozpoznawczym wiślaków, jak zwykli mówić o sobie członkowie Korporacji. Spisano statuty, regulaminy, przy-



Wiślacy w kwaterze korporacji, lata trzydzieste

Fot. archiwum korporacji



Ślub prezesa Korporacji, lipiec 2010 r.

Fot. archiwum korporacji

jęto zasady działania i cele. Wydawałoby się że to kolejna studencka grupa. Ale fakty temu przeczyły. Szybko ustalają się niepisane nawyki i zwyczaj. Zasady honorowe ujęte są w kodeksach honorowych. Obowiązkowość, pracowitość, kultura osobista, odpowiedzialność stają się przymiotami polskiego studenta w korporacyjnym dekle, zarówno w Gdańsku, jak i w każdym mieście akademickim w Polsce. Ale studenci poza nauką, nie marnują również czasu podczas zabawy. Zwyczajem knajp piwnych (nazwa wskazuje już na cel takowego zgromadzenia), fidełek, komerszy to często niepisane i święte zasady każdej Korporacji. Zabawy, wycieczki krajoznawcze, referaty naukowe, praca społeczna, nauka, polityka, wszystko to kształtuje każdą ówczesną korporację Akademicką, w tym oczywiście Z.A.G. „Wisła”.

Nasza Korporacja działa wśród studentów Politechniki do czasów wojny. W akademiku polskich studentów, przy ulicy Legionów we Wrzeszczu, powstaje kwatera, czyli siedziba Korporacji. Miejsce spotkań i zabaw, odczytów naukowych i uroczystych zgromadzeń. Co roku, w ostatnią sobotę czerwca odbywa się w Gdańsku wielki zjazd byłych i obecnych członków, skupiający na kilka dni nieraz kilkaset osób. W Gdańsku i Warszawie szybko powstają Związki Filistrów Korporacji Z.A.G. „Wisła”. Działają samodzielnie

i skupiają byłych studentów, nie zapominających o swojej młodzieńczej przyjaźni dla Wisły i jej członków. W Gdańsku młodzi Polacy uczą się i wychowują wśród braci z Wisły, innych polskich korporacji, czy stowarzyszeń jak „Bratnia Pomoc”. Sytuacja polityczna powoli się zmienia. Pierwotna niechęć do Polaków na Politechnice z czasem zmienia się w jawną wrogość. Zdarzają się pobicia, wyzwiska. Niemieckie korporacje, w liczbie kilkunastu dominujące na uczelni, nie uznają Polaków za pełnoprawnych studentów i kolegów. W lutym 1939 hitlerowskie bojówki niemieckich studentów, nieraz również z niemieckich korporacji, wyrzucają Polaków ze studiów, niszczą kwatery Wisły, zastraszają. Wiślaczy i ich polscy koledzy zmuszeni są do przerwania stu-

diów i wyjazdu z Gdańska. Nieliczni, jak należący do naszej korporacji Lech Dzielniakowski (był on ostatnim absolwentem Politechniki w dwudziestoleciu międzywojennym), otrzymują pozwolenie na dokończenie studiów i obronę dyplomu. Działalność Korporacji Z.A.G. „Wisła” staje się niemożliwa. Tragicznie kończy się historia Polaków, w tym wiślaków, na Politechnice. Jako pierwsi doświadczyli prymitywnej niemieckiej agresji, którą to reszta narodu pozna dopiero we wrześniu. Do roku 1939 przez Z.A.G. „Wisła” przewinęło się kilkaset osób. Niektórzy zostali znanymi naukowcami, wykładowcami PG, jak profesorowie Roman Lipowicz, Bronisław Bukowski albo politykami jak Adam Doboszyński. Inni radzą sobie inaczej. Fryderyk Blumke konstruuje PRL-owską syrenkę, Juliusz Hebel rozwija polskie rybołówstwo, a Alfons Hofman tworzy pomorska hydrotechnikę. Inni z kolei nie doczekali końca wojny. Na zachodzie, jak zabity w Piaśnicy inż. Kazimierz Bieliński, czy wschodzie, jak zaginiony w ZSRR, były premier RP, Leopold Skulski, wiślaczy wpisują się w drogi polskiej golgoty tej strasznej wojny. Po wojnie w kraju czy za granicą, już bez możliwości reaktywacji korporacji, co władze komunistyczne zwalczały, pracują, wychowują dzieci. Wielu nie doczekało już wolnej Polski, niektórym było to dane. Dzisiaj żyje we Wrocławiu ostatni z tej grupy. Filister Tomasz Pacyński, w 1938 roku młody student Wydziału Lotniczego Politechniki w Gdańsku, a również Comiliton Korporacji Z.A.G. Wisła.

Następują w życiu Wisły długie lata przerwy. Już po 1989 roku nie widać spadkobierców, studentów zainteresowanych tym oryginalnym ruchem. Choć



Wiślaczy wraz z gośćmi. Zdjęcie przed uroczystościami rocznicowymi, czerwiec 2010

Fot. archiwum korporacji



Podczas wizyty przy grobie pierwszego Prezesa, profesora Bronisława Bukowskiego

Fot. archiwum korporacji

w Warszawie, Poznaniu, Wrocławiu czy też Toruniu odradzają się Korporacje Akademickie, nie raz współpracując jeszcze z ostatnimi żyjącymi filistrami sprzed wojny, w Gdańsku cisza. Wreszcie wymieniona już w tytule dwójka studentów rozpoczyna pasjonującą przygodę. Jej owocem będzie reaktywowanie Korporacji Z.A.G. „Wisła” w lipcu 2006 roku. Po 67 latach przerwy Korporacja odradza się, skupiając szóstkę zainteresowanych nią gdańskich studentów. Przy wydatnej pomocy starszych kolegów z Warszawy, członków korporacji Aquilonia, udaje się zorganizować uroczystości reaktywacyjne w tym samym budynku we Wrzeszczu, gdzie przed 1939 mieścił się polski akademik. Nawijujemy więc symbolicznie, jak i formalnie, poprzez pełnomocnictwo i poparcie przez ostatniego z żyjących członków przedwojennych władz Wisły, wymienionego wcześniej filistra Tomasza Pacyńskiego, do tej wielkiej przedwojennej tradycji. Dzisiaj każdy z nas mówi, że należy do organizacji, która ma 98 lat. Ale co robimy? Kim jesteśmy?

Część z naszej kilkunastoosobowej grupy już studia skończyła, część nadal się uczy. Związani jesteśmy z Politechniką Gdańską, ale też z Uniwersytetem, jak również z innymi uczelniami Trójmiasta. Spotykamy się, tak jak przed wojną,

w celach dyskusji i zabawy. Wspólnie, przy piwie lub herbacie, dyskutujemy o swoich pasjach, studiach, polityce, sporcie i o wszystkim, co jest dla nas interesujące i ważne. Organizujemy spotkania dyskusyjne, odczyty naukowe, wspólne zabawy zwane fidułkami albo oficjalne, czerwcowe, rocznicowe uro-



Członkowie Korporacji podczas uroczystości rozpoczęcia II Wojny Światowej na Westerplatte

Fot. archiwum korporacji

czyste komersze, nawiązujące do tradycji przedwojennej. Jak przed wojną nosimy charakterystyczne amarantowe czapki oraz barwy, śpiewamy przedwojenne piosenki, pomagamy sobie w murach uczelni i w życiu. Oldermanni korporacji, tak jak przed wojną, przyjmują nowych członków, comilitoni wybierają prezesów, fuksy rozlewają piwo, filistrzy wspomagają radą. Korporacja dalej wychowuje na odpowiedzialnych, patriotycznych obywateli. Odwołujemy się również do przedwojennej tradycji honoru. To zapomniane słowo nie jest nam obce. Kodeksy honorowe, zasady postępowania, własna godność to elementarna wiedza każdego wiślaka. Wiele tradycji reaktywujemy, niektóre tworzymy też sami. Podstawa pozostaje niezmienna. Dewiza, symbole, zasady, honor, barwy, wszystko to żyje dzisiaj jak kiedyś, tylko w mniejszej skali. Chcemy nawiązywać do tej ciekawej i wartościowej tradycji. Chcemy nadal tworzyć historię Korporacji Akademickiej Związek Akademików Gdańskich „Wisła”. Zapraszamy wszystkich zainteresowanych naszą historią do osobistego kontaktu.

Zapraszamy na naszą stronę internetową: [www.zag-wisla.blog.pl](http://www.zag-wisla.blog.pl) oraz na strony poświęcone Polskim Korporacjom Akademickim: [www.archiwumkorporacyjne.pl](http://www.archiwumkorporacyjne.pl), [www.korporant.pl](http://www.korporant.pl).

Obecnie w Polsce istnieje kilkadziesiąt, działających w oparciu o ich przedwojenną tradycję korporacji akademickich. Wśród nich Konwent Polonia, Z.A.G. „Wisła” oraz Lauda, działają w Trójmieście.

*Com! Krzysztof Fudziński  
Olderman K! Z.A.G. „Wisła”*

*Absolwent Wydziału Inżynierii Lądowej  
i Środowiska*

(Autor jest wieloletnim członkiem, reaktywatorem Korporacji. Jedną z dwóch osób, które w 2003 roku spotkały się pod salą Senatu PG)

PS Dziękujemy panu Rektorowi PG, prof. Henrykowi Krawczykowi za życzliwość i wsparcie, zaś pani Barbarze Ząbczyk-Chmielewskiej z Sekcji Historii BGPG za wieloletnią pomoc w pracy odświeżającej historię Z.A.G. Wisła.



# UWAGA!

felieton...  
felieton...  
felieton...  
felieton...

## Człapie nowe

**O**dwiedził mnie listonosz. Przeglądnięcie sterty kopert, kryjących głównie przeróżne rachunki – a to od wody deszczowej spływającej z dachu mojej kamienicy, a to od psa (którego nie miałem, ale przecież mogłem mieć), a to od wydychanego przez moje sfatygowane płuca dwutlenku węgla, tak bardzo zniechęconego przez naszą ukochaną Unię Brukselską – odłożyłem na później, bo moją uwagę skupił całkiem niemały pakiet, którego odbiór musiałem potwierdzić swym czytelnym podpisem.

Masywne, porządnie owinięty w szary papier i w dodatku związany sznurkiem... Cierpliwie zdjąłem opakowanie, starając się go nie uszkodzić. Przecież może mi się jeszcze przydać.

Zawartość pakietu zaskoczyła mnie. Mieścił bowiem... dwie ramy. Jednakowe, rozmiaru tak z łokciec na trzy czwarte łokcia. Wykonano je z drewna, solidnie polakierowanego. Opakowanie nie zawierało nic więcej. Choćby małej karteczki z komentarzem. Tylko na odwrocie każdego z otrzymanych prostokątów widniało znajome „mejd in połend).

– Hm! – mruknąłem do siebie. – Ramy... Krajowe...

Zaintrygowany przesyłką, musiałem jednak odłożyć na później próbę wyjaśnienia, czemu by owe ramy miały służyć, gdyż pora była iść na uczelnię. Spakowałem więc to, co niezbędne, po czym dziarsko ruszyłem w drogę. Mogłem co prawda uruchomić samochód, ale te ceny benzyny! Zaś silnik mojego Fiata 125p po czternastym szlifie cylindrów miał już pojemność prawie czterech litrów. Żłopał wachę jak ten wawelski smok. A moje dochody były ściśle proporcjonalne do kwoty 0,64% PKB, które społeczeństwo wspaniałomyślnie przeznaczyło, decyzją swych najlepszych reprezentantów, na naukę. Co zresztą miało tę dobrą stronę, że przodowaliśmy na świecie w każdym rankingu, prezentującym wymierne rezultaty pracy badawczej, podzielone przez

poniesione na nią nakłady finansowe. Prym dzierżyliśmy nawet w liczbie Nagród Nobla, odniesionych do jednej złotówki kosztów (choć w tym przypadku trzeba było uwzględnić gromadkę wrocławskich laureatów oraz naszego jedynaka, mimo że pretensje do nich zgłaszali także sąsiedzi zza rzeki Odry).

– Już niedługo, już jest blisko... – nieco fałszywie zanuciłem zapamiętaną w dzieciństwie piosnkę.

Rzeczywiście, by dotrzeć do celu mej wędrówki, musiałem jeszcze tylko okrążyć rozległy kompleks hal prodziekańskich. Te hale to zresztą ciekawa rzecz. Było tak, że po wprowadzeniu obligatoryjnych semestralnych umów „uczelnia-student”, mających na celu zabezpieczenie praw uczącej się młodzieży, uznano wszelkie decyzje uczelni za mające charakter administracyjny. Automatycznie tak samo potraktowano oceny wystawiane studentom. Lawina pozwołów post-egzaminacyjnych szybko wywołała reakcję uczelni – zrezygnowano z tradycyjnych egzaminów, ustalając ich wyniki na drodze sądowej. Początkowo rozprawy toczyły się przed trzyosobowymi składami sędziów zawodowych, że jednak znawców prawa nie stawało, ograniczo-

no się do jednego sędziego, wspieranego przez dwóch ławników. A i tak mówiło się, że trzeba będzie tych ławników zastąpić zwykłymi profesorami. Dość, że liczba operacji cywilno-prawnych związanych z tokiem studiów wzrosła szalenie. Nawet nieduże wydziały musiały wyznaczać przynajmniej kilku prodziekanów do spraw administrowania procesem dydaktycznym, a te większe – nawet po kilkunastu. Stąd większą część kampusu zabudowano ogromnymi budynkami, zapewniającymi możliwość realizacji tych nowych zadań, jakże ważkich i fundamentalnych dla społeczeństwa obywatelskiego.

Tak, tak! Żyło się nam ciekawie i dynamicznie. Nie zdziwicie się więc zapewne, że na śmierć zapomniałem o listonoszowym pakiecie. Miałem przecież kupę roboty – dwa piętnastominutowe wykłady, ponad dwieście formularzy A4 do wypełnienia i siedem poprawkowych posiedzeń sądu egzaminacyjnego (przed którym stawałem w charakterze prowadzącego przedmiot, co było niemal tożsame z pozycją oskarżonego).

Kilka dni później wybrałem się tramwajem do śródmieścia. Chciałem na hali targowej nabyć ręcznie robiony twarożek. Wagon był jak zwykle zatłoczony, lecz kontrolerowi biletów to nie przeszkadzało. Zgrabnie przeciskał się między spoconymi pasażerami, srogo pokrzykując: – Bilety do kontroli! – dla usprawnienia swej pracy rezygnując z przestarzałego „proszę”.

Gdy podszedł do mnie, posłusznie wręczył mi uprzednio skasowany kartonik. A ten (kontroler, nie kartonik)... przyłożył do karteczki jakąś taką maleńką ramkę, bystro na nią spojrzął, po czym ruszył dalej, oddawszy mi moją własność.

„Hm! Czyżby Japończycy wymyślili nowy typ skanera biletów? Żeby tylko nie wydzielali jakiegoś niedobrego promieniowania!” – zatroskałem się, albowiem byłem wielkim miłośnikiem ekologii.

Wkrótce nadeszła sobota, postanowiliśmy wraz z żoną pójść do kina. Dawaliśmy nową wersję klasyka „Lecą żurawie”. Styszałem, że cudo! Elektroniczny „rimejk” podobno jeszcze bardziej pogłębił pierwotną głębię obrazu. Przed wejściem na salę projekcyjną moją uwagę zwrócił nietypowy sposób pracy bileterki – zamiast oderwać dziurkowany kupon, posłużyła się jakąś rameczką. Ale nie powiązałem tego ani z tramwajowym kontrolerem, ani z moim listonoszem. Tak już ze mnie gamoń!

Istotę rzeczy zacząłem pojmywać kilka



Rys. Krystyna Pokrzywnicka

dni później, kiedy stawiłem się w jednym z audytoriów celem odbycia szkolenia programowo-dydaktycznego. Wszedłszy do jego wnętrza (audytorium, nie szkolenia), poczułem niemiłe zaskoczenie – wszyscy obecni trzymali w dłoniach drewniane ramki, identyczne z tymi, które przyniósł mi listonosz. Cóż, widać nieuważnie przeczytałem wezwanie do odbycia szkolenia.

O wyznaczonej godzinie na salę wszedł doskonale ubrany i świetnie utrzymany mężczyzna w dobrym, choć bliżej nieokreślonym wieku. Zgrabnie skłoniwszy posrebrzoną głowę, powiedział, że nazywa się Ekspert (imienia nie podał, ale w końcu mieliśmy pracować, a nie pić brudzia), po czym dyskretnie chrząknął i rozpoczął przemowę, z pewną przesadą akcentując kolejne zdania:

– Drodzy Państwo! Radosny to dzień! Wreszcie możemy odrzucić brutalnie narzucane nam przez zcentralizowane służby ministerialne ograniczenia niezależnej działalności naszych uczelni! Te okropne minima programowe! Teraz sami możemy decydować o tym, czego chcemy uczyć studentów! Bo ważne są tylko umiejętności, które nabędą! Kwalifikacje! To, co potrafią zrobić!

– Ale przecież... – zerwał się któryś ze słuchaczy. – Przecież my jesteśmy uczelnią techniczną. Od lat studenci robią u nas projekty, pomiary w laboratoriach...

– I co z tego?! – zagrział w odpowiedzi pan Ekspert. – Robią projekty, ale nie opanowali... nie opanowali... – zawahał się przez moment, lecz zajrzawszy do swego notesika płynnie ciągnął dalej – nie opanowali umiejętności ich wykonywania! Owszem, coś tam może i mierzą w tych laboratoriach, ale nie opanowali umiejętności mierzenia! Tak dalej być nie może!

– No, ale te minima... – zaoponował ktoś inny. – Co się stanie, jak student zmieni uczelnię? Czy będzie mógł kontynuować naukę?

– Ależ oczywiście! – radośnie odskrzyknął pan Ekspert. – Właśnie dlatego zrezygnowaliśmy z tych nieszczęsnych poprzedników i następników! Każdy przedmiot musi być profesjonalnie zdefiniowany! Profesjonalnie! Musi zapewniać opanowanie konkretnych umiejętności! Żadnych jałowych dywagacji! Umiejętności!

Na sali zapadła cisza. Siedzący obok mnie kolega coś tam co prawda mruczał o szkodliwości autarkii i o tym, że zmierzamy w kierunku kiepskiej zawodówki, ale czynił to bardzo cichutko.

I wtedy dotarła do mnie istota tego iście kopernikańskiego przewrotu w dydaktyce akademickiej (z nadzieją, że także zerówkowej, podstawowej, gimnazjalnej i licealnej, a jak zrozumiałem – także w zakresie kontroli wszelakich biletów). Wstałem, nieco zamulony, spojrzałem na pana

Eksperta i powoli rzekłem:

– Więc, eee...

– Tak! Właśnie tak! – podchwycił tamten.

– Dajemy wam narzędzie podstawowe! Ramy! Krajowe Ramy Kwalifikacyjne! One są jedynym ograniczeniem naszych działań! Reszta zależy tylko od nas!

– Czyli... – mamrotałem dalej.

– Tak! Właśnie tak! Trzeba przyłożyć te ramy do naszych pozółkłych programów!

– I jak coś wystaje...

– To odrzucić!

– A jak niedostaje...

– To dorzucić!

Po zakończeniu szkolenia opuszczaliśmy salę wyciszeni, zadumani i z pewnością oszołomieni genialną prostotą NO-WEGO.

„To jest to! – pomyślałem. – Dotychczas mówiłem studentom na przykład o związku między ilością wody płynącej w rurze a ciśnieniem w jej wnętrzu. I to było złe, niesłuszne, z gruntu błędne i mylące. A teraz będę im wpajał umiejętność określania związku między ilością wody płynącej w rurze a ciśnieniem w jej wnętrzu. I to będzie dobre, słuszne, z gruntu poprawne i właściwe. Nieźle, nieźle! Ciekawe, co przyniesie nam przyszłość.”

*Jerzy M. Sawicki  
Wydział Inżynierii Lądowej  
i Środowiska*

## Wyciąg z historii

Jakkolwiek nudno może brzmieć temat niniejszego artykułu, mam nadzieję, że takim się on nie okaże. Wszystko się kiedyś zaczęło i nie powstało z niczego. Tym bardziej, jeżeli jakiejś organizacji uda się utrzymać przez dłuższy czas na rynku, jest to jej wielki sukces. Dotyczy to zarówno świata biznesu, jak i organizacji studenckich.

Studia to dobry czas na rozwijanie swoich pasji, zdobywanie doświadczeń oraz dobrą zabawę. Wszystko to można pogodzić. Międzywydziałowe Koło Naukowe Project Management na Politech-

nice Gdańskiej powstało w 2003 roku na Wydziale Zarządzania i Ekonomii. Jak łatwo policzyć, mamy już 8 lat i liczymy ok. 50 członków z różnych Wydziałów PG.

Koło zajmuje się różnymi projektami. Jednak, co to takiego ten „projekt”? Nauka stworzyła wiele definicji „projektu” i jego istoty. Według normy DIN 69 901 projekt to: „Przedsięwzięcie, które charakteryzuje się zasadniczo unikalnością warunków - np. celów, czasu, kosztów, ograniczeń osobowych - odmiennością od innych przedsięwzięć, szczególną or-

ganizacją”. Atrybutami projektu według przytoczonej normy są: zdefiniowany cel, określony harmonogram czasowy, unikalność, złożoność, budżet oparty na zadaniach, ramy prawne i organizacyjne, interdyscyplinarność i wyjątkowość. Ma dauss w swoim opracowaniu z 1991 roku rozszerza tę listę o interdyscyplinarność i wyjątkowość.

Z przytoczonej definicji wyłania się projekt, jako unikalne przedsięwzięcie o ograniczonych zasobach, cechujący się przytoczonymi atrybutami. Bardzo ważny w tym rozważaniu jest złoty trójkąt projektowy: czas, zakres i koszt. Opisuje on podstawowe ograniczenia projektu, które wpływają na jego przebieg. Zwiększenie jednego z aspektów zawsze dokonuje się kosztem innego i tak, zwiększając czas trwania projektu, musimy zwiększyć również środki na jego realizację; nie da się również skrócić czasu projektu bez zwiększenia kosztów lub zmiany zakresu projektu.

Zarządzanie projektami ewoluowało z wcześniejszych form obecnych w biznesie



Zarządzanie wg  
MKN Project Management

i zarządzaniu. W takiej formie, jaką znamy dziś, ukształtowało się w latach 60. XX wieku. Wtedy stał się powszechny pogląd, że projekt jest najważniejszy, gdyż pozwala połączyć komunikację i współpracę między pracownikami oraz integrację między różnymi działami w firmie, a także między różnymi branżami. Problemy, z jakimi borykały się przedsiębiorstwa były interdyscyplinarne, więc i rozwiązania musiały być interdyscyplinarne.

Na temat projektów można by pisać jeszcze wiele, ale na początek tyle informacji wystarczy. W kolejnych artykułach będziemy starali się rozwijać tą tematykę, a także przedstawiać różne aspekty zarządzania projektami.

Wróćmy do projektów organizowanych przez MKN Project Management. Główne projekty to:

- konkurs KAROLE – organizowany na Wydziale Zarządzania i Ekonomii na najlepszą pracę projektową opartą na rzeczywistej sytuacji w firmie obecnej na rynku
- konkurs Young Project Management Program – ogólnopolski konkurs, w którym można wygrać praktyki na stanowisku asystenta Project Managera
- wyjazdy, konferencje, spotkania z praktykami Project Management'u

Przy okazji tych przedsięwzięć można zdobyć wiele doświadczenia tak cennego

na rynku pracy. Jednak przede wszystkim jest to miejsce na poznanie siebie i swoich możliwości. Co potrafię, co powinienem zmienić w swoim postępowaniu, by działanie było bardziej efektywne. Koło i projekty w nim realizowane dają też tak szerokie spektrum odpowiedzialności i zadań, których jeszcze długo po ukończeniu studiów nie doświadczymy na rynku pracy. Jednym z atrybutów projektów jest interdyscyplinarność, dlatego każdy może znaleźć tu miejsce dla siebie. Zapraszamy do lektury kolejnych artykułów na temat Project Management.

Anna Rynkowska  
MKN PM



## Książka dla Ciebie

„Procesy cieplne i przepływowe w dużych kotłach energetycznych. Modelowanie i monitoring” pod redakcją Jana Talara; Wydawnictwo Naukowe PWN, 2011.

Pierwsza od lat książka przedstawiająca najnowsze osiągnięcia w zakresie badań dużych kotłach energetycznych. Swoją tematyką obejmuje zagadnienia dotyczące:

- konstrukcji współczesnych kotłach energetycznych,
- spalania paliw,
- obliczeń procesów przepływowo-ciepłnych oraz obliczeń wytrzymałościowych kotłach,

- analizy pracy kotłach w warunkach nieustalonych,
- monitorowania eksploatacji kotłach.

Książka jest przeznaczona dla studentów uczelni technicznych kształcących się m.in. na kierunkach: energetyka, inżynieria środowiska, inżynieria bezpieczeństwa, budowa i eksploatacja maszyn, materiałoznawstwo, mechatronika, automatyka i robotyka, informatyka. Wiele użytecznych informacji znajdują w niej również producenci i projektanci kotłach, służby dozоровe, kierownicy projektów, konsultanci i operatorzy kotłach

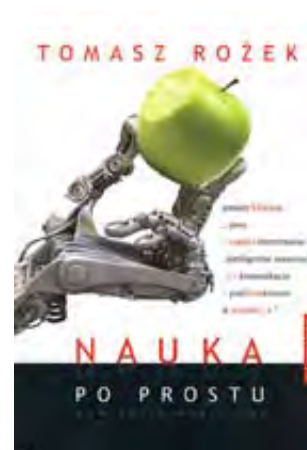


oraz bloków energetycznych. Autorami poszczególnych rozdziałów są członkowie Komitetu Termodynamiki i Spalania Polskiej Akademii Nauk, jak również specjaliści z uczelni technicznych, zajmujący się mechaniką płynów, termodynamiką, wymianą ciepła, wytrzymałością materiałów oraz kotłami parowymi.

„Nauka – po prostu. Wywiady z wybitnymi” to zbiór wywiadów z uznanymi polskimi naukowcami, reprezentującymi różne dziedziny nauki: nanotechnologię, cybernetykę i robotykę, fizykę cząstek, badania mózgu, Internet i jego rolę komunikacyjną, klimat i modyfikację pogody oraz genetykę człowieka. Wśród autorów pojawiają się takie nazwiska jak: prof. Andrzej Huczko, prof. Ryszard Tadeusiewicz, prof. Grzegorz Wrochna, prof. Ewa Bartnik, prof. Rafał Ohme, dr Lech Górniak, prof. Tadeusz Niedźwiedź. Przeprowadzenia wywiadów podjął się Tomasz Rożek, doktor fizyki od lat zajmujący się dziennikarstwem i komunikacją

naukową, a w 2008 r. uznany przez PAP i Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego za najlepszego dziennikarza naukowego w Polsce.

Celem książki jest ukazanie współczesnych wyników badań, przyszłości dyscyplin i ich związków z życiem i świadomością człowieka, wyjaśnienie trudnych tematów na przykładzie codziennych sytuacji, za pomocą przystępnego, barwnego, komunikatywnego języka. Dodatkowym atutem książki są zdjęcia naukowe z renomowanych agencji międzynarodowych oraz infografiki wyjaśniające omawiane w wywiadach mechanizmy i procesy.



„Myślenie architekturą”, Zumthor Peter; Wydawnictwo Karakter 2010.

Zbiór esejów jednego z najwybitniejszych współczesnych architektów, laureata nagrody Pritzкера w 2009 roku. Czym jest piękno w architekturze? Jak kształcić architektów? Co to znaczy, że budynek ma duszę? Jakie są zadania współczesnej architektury?

Architektura ma swój własny obszar istnienia. Pozostaje w wyjątkowo cielesnym związku z życiem. W moim wyobrażeniu nie jest ona zasadniczo ani przesłaniem, ani znakiem, lecz oprawą i tłem dla przemijającego życia, wrażliwym naczyniem dla rytmu kroków po podłodze, dla skupienia przy pracy, dla ciszy snu – pisze autor. W tekstach Petera Zumthora odzwierciedla się wrażliwość, z jaką traktuje swoją

pracę. Skupienie, namysł, dogłębna znajomość architektonicznego rzemiosła i sztuki w ogóle sprawiają, że dla szwajcarskiego mistrza projektowanie to – prócz tworzenia budynków – zarazem kształtowanie rzeczywistości: wzbogacanie systemu odniesień pomiędzy różnymi dziedzinami – architekturą, muzyką, literaturą.

Czytelnicy mają wyjątkową okazję, by zajrzeć mistrzowi przez ramię podczas pracy. Jego przemyślenia będą stanowić inspirację nie tylko dla architektów, ale również dla projektantów z innych dziedzin, a także osób z projektowaniem niezwiązanych. Książkę ilustrują kolorowe zdjęcia z pracowni i domu autora w szwajcarskim Haldenstein.

Joanna Kotowicz  
Księgarnia PWN, Gmach Główny PG



## Produkcja zabytków jako problem Gdańska

... i nie tylko, bo tytułowy „problem Gdańska” jest problemem ogólnopolskim. Dotyczy bowiem także innych miejsc, jak np. Warszawa, Wrocław, Poznań... Można oczywiście w sytuacji, którą opisuję w ogóle żadnego problemu nie dostrzegać, ale zależy to już wyłącznie od indywidualnego stosunku każdego z nas do tego, co rozumie się pod pojęciem dziedzictwa kultury czy cywilizacji w ogóle.

Aby zrozumieć sens problemu „produkcji zabytków” należy przyjrzeć się najważniejszym dla polskiej rzeczywistości definicjom pojęcia *zabytku*. Najstarsza z nich, sformułowana przez S. B. Lindego w połowie XIX w. ujmuje rzecz

nader zwięźle, elegancko, i – pomijając archaizm brzmienia – całkowicie jasno – określając zabytek jako „pozostałego co z byłych rzeczy”. W odniesieniu do architektury oznaczałoby to obiekty wzniesione w przeszłości (lub ich zachowane pozostałości). Odległość w czasie owej przeszłości nie została wprawdzie określona, ale wiadomo, że chodzi tu o rzeczy niewspółczesne, dawne. I że to właściwość dawności jest najistotniejsza. Aleksander Brückner formułował to podobnie, jako „wszystko co z dawnego bytu ocalało...”

Tę szczególną wartość „dawnego bytu” rozumiano już bardzo dawno. Zda-

wali sobie z niej sprawę wydający edykty zabraniające niszczenia dawnych budowli rzymscy cesarze, ich „barbarzyński” z urodzenia sukcesor – Teodoryk Wielki, kilka wieków później „restaurator cesarstwa” i europejskiej jedności – Karol Wielki i nawiązujący do ich idei średniowieczni, niemieccy cesarze i papieże, a także mniejszego kalibru władcy i dostojnicy kościelni, również podejmujący działania w tym zakresie.

Pierwsza polska ustawa chroniąca zabytki (1962) zastąpiła w tytule stary termin zabytku pojęciem „dobra kultury”, definiowanego jako „(...) każdy przedmiot (...) dawny lub współczesny, mający znaczenie dla dziedzictwa i rozwoju kulturalnego ze względu na jego wartość historyczną, naukową lub artystyczną”. Charakterystyczna była tu całkowita rezygnacja z kategorii wieku obiektu, na rzecz jego, tak czy inaczej ocenianej, wartości. Według „Karty Weneckiej” (1964), dokumentu konstytuującego współczesne zasady konserwacji zabytków, zabytek to „(...) zarówno odosobnione dzieło architektoniczne, jak też zespoły miejskie i wiejskie oraz miejsca będące świadectwem poszczególnych cywilizacji, ewolucji o doniosłym znaczeniu bądź wydarzenia historycznego. Rozciąga się ono nie tylko na wielkie dzieła, ale również na skromne obiekty, które z upływem czasu nabrały znaczenia kulturalnego”. Zarówno wartość, jak i kontekst czasowy obiektu sformułowano tu nieostro. Oba te dokumenty powstawały w epoce powojennej odbudowy i porzucania euro-



*Kamienica przy ul. Chlebnickiej 16, tzw. „Dom Angielski”: stan sprzed 1945; stan w 1945; stan obecny. Ilustracja problemu zachowania ilości substancji zabytkowej*

centrycznego widzenia świata.

Obowiążająca dziś w Polsce ustawa (2003) określa zabytek jako „(...) *nieruchomość lub rzecz ruchomą, ich części lub zespoły, będące dziełem człowieka lub związane z jego działalnością i stanowiące świadectwo minionej epoki bądź zdarzenia, których zachowanie leży w interesie społecznym ze względu na posiadaną wartość historyczną, artystyczną lub naukową*”. Definicja stosunkowo jasno formułuje kryterium czasu, mówiąc o „epokach minionych”, choć nie określa, co pod tym pojęciem rozumieć, a jako dodatkowe kryterium wartości dodaje „interes społeczny”. Poza lingwistycznymi definicjami Lindego czy Brücknera pozostałe dyktowane są także względami politycznymi, co nie może dziwić, gdyż ochrona zabytków jest jednym z narzędzi szeroko rozumianej polityki społecznej państwa. Najważniejsze dla sytuacji zabytków są oczywiście definicje ustawowe, bo to w oparciu o nie stwierdza się, co zabytkiem jest, a co nie, czyli decyduje o „produkcji” zabytków.

Konserwacja (i ochrona) zabytków nie jest w sferze teorii nauką ścisłą i z tego punktu widzenia wartość formułowanych przez nią stwierdzeń i definicji – a zatem i wartość oraz naukowy obiektywizm wypracowanych w oparciu o nie osiągnąć można dość łatwo kwestionować, w przeciwieństwie do udowodnionego twierdzenia matematycznego. Spośród wszystkich, zawartych w definicjach „parametrów zabytkowości” obiektu,

jedynym niemożliwym do zakwestionowania jest jego wiek. Określenie wieku obiektu dotyczy oczywiście wieku jego materii („substancji”), czyli tego, co fizycznie zachowało się z przeszłości i czemu można przypisać różnorakie wartości. Oczywiście istnieją również zabytki niematerialne, a więc takie, które materii nie mają – jak na przykład utwory muzyczne – ale nie one są przedmiotem tytułowego problemu bo trudno byłoby „wyprodukować” symfonię Mozarta...

Zabytkiem materialnym jest więc w istocie zabytkowa substancja. To ona powinna być głównym celem ochrony i konserwacji. Oczywiście nieodzownym atrybutem zabytku jest forma. O ile jednak zabytkowa substancja, zamknięta w formie choćby najbardziej zdeintegrowanej, jak ruina lub relikw, zabytkiem być nie przestaje i podlega ustawowej ochronie, o tyle formę, choćby najkompletniejszą, ale pozbawioną zabytkowej substancji zabytkiem nazwać trudno bo nie pochodzi z przeszłości. Może być oczywiście pomnikiem czy dobrem kultury i z tego powodu zasługiwać na wszelkie względy. Forma jest właściwością możliwą i czasem nawet przeznaczoną do powielania, i to nie tylko w architekturze. Substancja – nie. Spalony, drewniany kościół z połowy XVI w. **przestał istnieć na zawsze**. Jest niezastępowalny i w gruncie rzeczy wszyscy o tym wiemy. Gdyby było inaczej, wystarczyłoby uznać napis nad oświęcimską bramą za trochę złomu, bez trudu zastąpić go nowym, identycznym,

i nie robić międzynarodowej awantury... Tak jednak na szczęście się nie stało. Ubywanie zabytkowej substancji jest procesem naturalnym, któremu nie jesteśmy w stanie przeciwdziałać. Przy obecnym stanie wiedzy możemy go tylko opóźniać. Z powodu fizycznego ubywania zabytkowa substancja staje się dobrem rzadkim, a te są cenne zawsze...

Ostatecznym administracyjnym skutkiem uznania zabytkowego charakteru obiektu jest wpis do rejestru zabytków, pociągający za sobą konieczność podporządkowania wszelkich działań odnoszących się do zabytku procedurom konserwatorskim. Przyjmuje się, że wiosną 1945 r. stan zniszczeń zabudowy na obszarze Starego i Głównego Miasta, Starego Przedmieścia i Wyspy Spichrzów wynosił ponad 90%. Katastrofę przetrwał jednak znaczny procent murów, których ostateczne unicestwienie nastąpiło dopiero w wyniku sztormów jesienno-zimowych na przełomie 1945/46 r. oraz w wyniku późniejszego, celowego niszczenia. Rzeczywisty stopień zachowania na tym obszarze zabytkowej substancji nie będzie pewnie nigdy możliwy do ustalenia. Mimo ogromu zniszczenia jeden z pierwszych wpisów z 1947 r. objął już całe „terytorium miasta Gdańska” w obrębie jego fortyfikacji.

Rejestr zabytków dostarcza interesujących informacji na temat stanu zachowania poszczególnych budowli. Wpisywano do niego obiekty o bardzo różnym stanie zachowania substancji



zabytkowej. Najmniej było oczywiście zachowanych kompletnie, co podkreślano w uzasadnieniach. Znaczny procent stanowiły budynki odbudowane, których substancję zabytkową stanowiły części ścian. Podobny – lub większy procent – to „pseudorekonstrukcje” i różnego rodzaju „kreacje konserwatorskie”, określane czasem jako „*dobro kultury odtwarzające*” nieistniejące zabytki. Zdarzają się też obiekty należące do architektury współczesnej. Przedmiotem wpisów są z zasady całe budynki, bez względu na zachowany w nich procent substancji zabytkowej.

Czas, jaki musi upłynąć od momentu powstania obiektu do chwili, w której staje się on zabytkiem nie jest w żaden sposób określany. W Gdańsku wpisywano do rejestru obiekty 10-20-letnie, czasem w trakcie powstawania, a czasem... przed, bo w uzasadnieniach mówiono o zamiarze odbudowy, ale wpisywano cały obiekt, a nie jego zachowane części. Rodzi się więc pytanie: co właściwie w tym wszystkim zabytkiem jest, co powinno ochronie konserwatorskiej podlegać i w jaki sposób?

W celu unaocznienia problemu posłużę się przykładem. Pewna kamienica położona na obszarze Głównego Miasta, mocą wydanego w latach 1950-tych „*Orzeczenia o uznaniu za zabytek*” o brzmieniu: „(...) uznaje się za zabytek podlegający ochronie prawa kamienicę mieszczarską przy ul. (...) w Gdańsku (...)” została wpisana do rejestru zabytków. W uzasadnieniu znajdziemy stwierdzenie: „*w czasie wojny bryła budynku (...) uległa całkowitemu zniszczeniu. Zachowała się część fasady wraz z portalem. Obiekt znajduje się obecnie w odbudowie z adaptacją wnętrza (...)*”. Podczas odbudowy trwającej jeszcze w latach 1970-tych, bardzo starannie, w oparciu o dobrze zachowane pozostałości i materiały ikonograficzne zrekonstruowano bryłę budynku, fasadę i przedproże. Elewacja tylna jest uproszczoną, historyzującą stylizacją. Układ wnętrza został potraktowany całkowicie współcześnie, a nawet ahistorycznie, bo nie nosi żadnych cech stylowych. Budynek jest przez cały czas użytkowany. Prowadzone od około 2000 r. prace remontowo-adaptacyjne obiektu nie obejmują zabytkowych części budynku – fasady i piwnic czy ingerencji w bryłę. Mimo, że zabytkowa substancja i struktura architektoniczna obiektu w 90% pochodzi z II poł. XX w.,

budynek ten podczas trwania procesu remontu podlega całej procedurze konserwatorskiej. Włącznie z próbami ingerencji w formy projektowanych współcześnie, dla współczesnych wnętrz tego budynku elementów współczesnego wystroju... Można w tym widzieć nadgorliwość urzędu konserwatorskiego, ale można też dostrzec tylko trzymanie się przez niego litery prawa, chroniącego na mocy wpisu cały budynek, a nie tylko jego zabytkowe części. Sytuacje takie są dla Gdańska dość typowe i obciążają wszystkie strony procesu inwestycyjnego – inwestora, projektantów, wykonawców. I urząd konserwatorski, biorąc pod uwagę liczbę podlegających ochronie obiektów.

Pomimo wynikającej z przytoczonych wyżej okoliczności specyfiki odbudowanego zespołu Głównego Miasta, nie można odmówić mu zabytkowego charakteru. Należałoby traktować go jednak bardziej jako zabytek urbanistyki i architektury z II połowy XX w., a nie okresu sprzed zniszczenia. Są po temu powody. Odbudowywane i powstające podczas odbudowy zespoły i budynki mają dość wyraźne cechy, wynikające z cywilizacyjnych uwarunkowań okresu powstania. Chodzi o typy rozwiązań urbanistycznych (np. pozbawione oficyn wnętrza kwartałów zabudowy) i architektonicznych, rozpoznawalne, charakterystyczne dla lat 1950-60-tych rozwiązania budowlane, detale i dekoracje.

Przykładem może być charakterystyczna, jednolita w całym zespole, historyzująca, drewniana stolarka okienna o drobnych podziałach, malowana na biało. Czy uznać ją za element zabytkowy, czy nie? Jeśli tak, należałoby chronić

jej substancję i formy, jeśli nie – to właściwie dłaczego nie? Jak w tym świetle traktować przypadki zmian form i kolorystyki stolarki, realizowane obecnie w ramach prowadzonych przy niektórych obiektach restauracji? Takie wymiany oryginalnej przecież **zabytkowej stolarki** z lat 1950-60 przeprowadzono w ostatnich latach np. w „*Domu Uphagena*” (ul. Długa 12) oraz w kamienicy „*Sień Gdańska*” (ul. Długi Targ 43). W takich sytuacjach należy zapytać, czy mamy do czynienia z prawidłową, współczesną „*konserwacją-restauracją*” zabytków z II poł. XX w., czy też z czystej wody „*konserwatorskim*” fałszem”, niszczącym zabytek pochodzący z **epoki odbudowy miasta**. Jeśli uzna się bowiem, że rekonstrukcje czy nawet preparaty konserwatorskie z tamtego okresu nabrały już wartości zabytkowej, bez względu na ocenę ich wartości formalnej z punktu widzenia dzisiejszego stanu wiedzy, to ich *status quo* powinien podlegać ochronie. Bo autentyczna jest ich substancja, pochodząca z tamtej epoki. Mają zatem – jak każdy zabytek – wartość historycznego dokumentu.

W myśl obowiązującej w Polsce ustawy, zabytkiem jest to, co stanowi „*świadcstwo minionej epoki bądź zdarzenia*”. Jednakże brak definicji „*minionej epoki*” powoduje, że do rejestru zabytków wpisywane są obiekty coraz mniej odległe w czasie i to nie na zasadzie proteżowania ich utraconej dawności poprzez historyczną formę, jak miało to miejsce w przypadku obiektów odtwarzanych, ale jako takie. Przykładem tego jest śródmieście Gdyni, jednego z najmłodszych miast polskich. Ostatnio do rejestru zabytków trafił zespół gdyńskiego dworca



Śluza Kamienna... – jeszcze do uratowania.



Zabytki równocenne? Domy przy ul. Długiej w trakcie budowy i kamienice przy ul. Wartkiej, stan z 2007 r.

kolejowego ukończonego w roku 1959. Dlaczego więc nie miano by „za chwilę” wpisać do niego choćby *Sea Towers*? Czy tylko dlatego, że nie wszyscy akceptują formę architektoniczną tego obiektu? Przecież żadne definicje nie warunkują zabytkowego charakteru obiektu kryteriami estetycznymi. Zabytek nie musi być ładny, bo istotą wartości zabytkowej nie jest estetyka.

Pojawienie się w rejestrach zabytków obiektów pochodzących z II poł. XX w. jest z jednej strony wyrazem prostej i naturalnej akceptacji faktu upływu czasu, a z drugiej zapewne współczesnej tendencji do „zmiękczenia” tradycyjnej, europejskiej koncepcji zabytku w celu jej uniwersalizacji i w sumie zbliżenia do tego, co na gruncie języka polskiego nosi nazwę *dobra kultury*.

Obiektywnym rezultatem praktycznej rezygnacji z przyjmowania ostrego kryterium czasowego (dawności), jako decydującego o zabytkowym charakterze obiektu, jest, lub będzie wzrost liczby zabytków, tzn. budynków rejestrowanych jako zabytki, co jest zrozumiałe, gdyż obiektów nowszych jest statystycznie znacznie więcej niż starych. W warunkach polskich widać to szczególnie dobrze, bo np. architektura drewniana, tworząca większość zabudowy kraju znikła z krajobrazu prawie w całości.

Sprzyjają temu również zmiany polityczno-ekonomiczne w Polsce. W przeciwieństwie do sytuacji typowych dla okresu sprzed 1989 r., a zwłaszcza przystąpienia Polski do UE, kiedy to zabytki były dla niepaństwowych właścicieli

w zasadzie wyłącznie źródłem problemów, posiadanie zabytku stało się obecnie korzystne ze względu na możliwości uzyskania atrakcyjnej pomocy finansowej w celu prowadzenia przy nim prac remontowych. Stąd gwałtowny wzrost liczby wniosków o wpisy obiektów do rejestru. Na przykład w 2007 r. większość wniosków złożonych w ostatnich latach przez właścicieli zabytków w województwie pomorskim została przez urząd rozpatrzona negatywnie ze względu na niskie wartości zabytkowe obiektów, o których wpis wnioskowano. Znamienne jest też, że często wnioski wprost uzasadniane były zamiarem uzyskania dotacji na remont obiektu. Jednocześnie jednak urząd konserwatorski prowadzi akcję wpisywania do rejestru grup obiektów, dotyczącą np. wszystkich kościołów z okresu międzywojennego. Dlaczego akurat kościołów? I dlaczego zabytkiem ma być siedemdziesięcioletni kościół, a nie ma być nim siedemdziesięcioletnia stodoła, podczas gdy dwustusiedemdziesięcioletni kościół i dwustusiedemdziesięcioletnia stodoła zabytkami są niewątpliwie? Kryterium czasowe pozwalało na łatwą, automatyczną identyfikację obiektu zabytkowego, bo to, co jest stare, jest zabytkiem. Mimo, że pojęcie wieku jest relatywne, nikt nie ma wątpliwości co do tego, czy pięćsetletni gotycki kościół jest stary i czy jest zabytkiem. Bez względu na techniczny stan zachowania, wartość artystyczną itp. Charakter zabytkowy takiego obiektu jest oczywisty i winien on figurować w rejestrze zabytków. To samo w przypadku równie starej stodoły.

W przypadku wpisów do rejestru „nowych zabytków” powołuje się zresztą komisje kwalifikacyjne i trudno, aby było inaczej, bo jak ocenić wartość zabytkową budynku powstałego choćby w latach 1930-tych, z którym nie wiążą się np. żadne szczególne wartości niematerialne. Zwłaszcza, że w Polsce nie istniała i dotąd nie istnieje poważna, licząca się krytyka architektury, której oceny można by wykorzystywać.

Rezultatem braku obiektywizmu kryteriów oceny będzie zapewne wzrost liczby pozycji w rejestrze zabytków, ale i obniżenie wartości zasobu zabytkowego jako całości. Działanie takiego mechanizmu jest chyba nieuchronne, bo „produkcja zabytków” przyczynia się do zaspokajania ambicji czy apetytów wnioskodawców dążących do wpisania do rejestru „swoich” obiektów. Bardzo słabe służby konserwatorskie muszą całą tę „zabytkową produkcję” organizować i obsługiwać, choćby poprzez zajmowanie się licznymi sprawami współczesnych sztyldów mocowanych do współczesnych (choć przecież „zabytkowych”) fasad, problemem termoizolacji „zabytkowych” ścian z pustaków czy połączeniowych okien montowanych w „zabytkowych” czterdziestoletnich więźbach i podobnymi problemami dóbr kultury... Trudno, aby w tej sytuacji mogły zajmować się one poważnie np. resztkami siedemnastowiecznej czy osiemnastowiecznej gdańskiej architektury, jak choćby Bramą Nizinną i Śluzą Kamienną – zabytkami niezwykle cennymi nie tylko w skali Polski czy niszczonymi wręcz zwyczajowo gotyckimi murami piw-

nic nieistniejących gdańskich kamienic lub przestrzeganiem zasad prowadzenia prac konserwatorskich w katedrze oliwskiej, barbarzyńsko masakrowanej piłą mechaniczną jesienią ubiegłego roku czy innymi, o które nikt, zwłaszcza nikt ważny, aktualnie nie zabiega...

Produkcja zabytków jest także wynikiem wprowadzonej w latach 1970 zasady równocześnie zabytków i rezygnacji z ich klasyfikacji. Zasada ta jest szkodliwa i wadliwa pod względem logicznym, bo – pozostając tylko na gruncie gdańskim – trudno poważnie porównywać kościół NMP z „dobrem kultury odtwarzającym...”. Formalnie różni je jedynie numer wpisu do rejestru... W konsekwencji zasada ta potencjalnie prowadzi również

do absurdalnej konieczności wpisania do rejestru wszystkiego, co dotąd zbudowano i tego, co jeszcze zostanie zbudowane – choćby bloków na Zaspie, czy realizowanego właśnie stadionu na Euro 2012. Bo w końcu wszystko – jeśli fizycznie przetrwa – będzie świadectwem minionej epoki. Produkcja zabytków staje się zatem nieunikniona. Ale jeśli zabytkami nazwie się wszystko, wówczas nie będzie już zabytków...

Grzegorz Bukal  
Wydział Architektury

Kopie materiałów archiwalnych ze zbiorów Katedry Historii, Teorii Architektury i Konserwacji Zabytków, Wydz. Architektury Politechniki Gdańskiej. Fotografie autora.

Kolejne wykłady z cyklu „Historia we współczesności” odbędą się w sali 300 Gmachu Głównego PG o godzinie 17.00 w dniach:

- **13 kwietnia 2011:** dr Grzegorz Bukal, „Produkcja” zabytków jako problem Gdańska
- **18 maja 2011:** dr Bartosz Macikowski, *Pas Nadmorski w Gdańsku – problemy zagospodarowania i ochrony*
- **15 czerwca 2011:** dr Robert Hirsch, *Zabytki Gdyni od Środka*

## Wrzesień 1939 – Byłem pilotem „KARASIA”



PZL 23 „Karaś”

Fot. archiwum autora

W sierpniu 1938 roku zostałem powołany do czynnej służby wojskowej. Zgłosiłem się zgodnie z powołaniem do dywizyjnej Szkoły Podchorążych Piechoty zlokalizowanej przy 76. Pułku Piechoty w Grodnie. Jako pilot szybowcowy i motorowy, przeszkolony m.in. na samolocie RWD – 8, złożyłem za pośrednictwem dowódcy szkoły podanie o skierowanie mnie do Podchorążówki Rezerwy Lotnictwa w Dęblinie.

Po zakończeniu kursu rekruckiego w Grodnie, zostałem przeniesiony do Szkoły Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Sadkowie k/Radomia.

Przedmiotów teoretycznych związanych z lotnictwem oraz praktycznej obsługi samolotów uczono nas w miesiącach zimowych. Po zakończeniu nauki teoretycznej i zdaniu egzaminów, z nastaniem wiosny rozpoczęły się loty.

Szkolenie praktyczne w lataniu prowadzone było zarówno na lotnisku szkolnym

w Sadkowie, jak również na lotniskach polowych w okolicach Radomia. Każda grupa – instruktor, samolot i 6-8 uczniów – latała z innego lotniska, a przynajmniej z innego punktu startowego. Lataliśmy w grupie kolejno, a więc od jednego „własnego” lotu do następnego było zawsze trochę wolnego czasu.

Stosunkowo szybko zacząłem loty samodzielne i znalazłem się w czołówce uczniów. W końcowej fazie szkolenia lataliśmy na samolotach rozpoznawczo-bombardujących PZL-23B „Karasiach” (szkolnych).

Jednym z ćwiczeń, które mogło zdecydować o zakwalifikowaniu do jednej z kategorii pilotów – myśliwców, bombowców, łącznikowych – było „strzelanie” do baloników. Zadanie polegało na wejściu samolotu na założoną wysokość nad ściśle określonym terenem, wyrzuceniu wypełnionego powietrzem kolorowego balonika i „zestrzeleniu” go.

Ważnym składnikiem programu doskonalenia pilotażu było szkolenie w zakresie akrobacji. Jego celem było nauczenie pilota manewrowania w powietrzu, doskonalenie techniki lotu i wzmocnienie pozytywnych cech charakteru.

Zbliżająca się wojna spowodowała, że szkolenie podchorążych przyspieszono i rozszerzono. W lipcu 1939 roku SPRL w Sadkowie otrzymała szkolne „Karasię” (PZL-23). Samoloty te były bez uzbrojenia, ale z „fotokarabinem”. Były również wyposażone w spadochrony. Szkolenie na „Karasiach” początkowo wykonywaliśmy z instruktorem. Były to zarówno loty dzienne, jak i nocne; również w zasłoniętej kabinie, według przyrządów. Zbliżał się wrzesień 1939 r. Kończyłem Podchorążówkę jako pilot rezerwy w Polskich Siłach Powietrznych. W czasach pokojowych pozycja wyspecjalizowanego rezerwisty bardzo mi odpowiadała.

Wybuch wojny zastał mnie na terenie Szkoły Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Sadkowie koło Radomia. Wczesnym rankiem 1 września 1939 roku około godziny 04<sup>50</sup> obudził nas głuchy warkot samolotów. Alarm! Pierwsze reakcje – leci eskadra „Łosi”. Niestety, otrzeźwienie nastąpiło bardzo szybko. Grupa samolotów nadlatywała od zachodu na wysokości około 3000 m. Kiedy znalazły się nad lotniskiem, zaczęły spadać bomby. To były niemieckie „Heinkle” He 111.

A więc wojna!

Pierwszym rozkazem w czasie nalotu było polecenie ukrycia się w rowach przeciwołamkowych, przygotowa-



Tadeusz Siczek z siostrą Anną, Radom 1939 r.  
Fot. archiwum autora

nych w związku ze spodziewaną wojną z Niemcami.

Pierwszy dzień wojny upłynął nam głównie na zasypywaniu lei po bombach. Dowództwo w ciągu dnia wyznaczyło dwa patrole, które miały poszukiwać desantu niemieckiego. Patrole wróciły późnym wieczorem. Desantu nie znaleziono.

2 września, około piątej rano znowu alarm. Wybiegamy z budynku koszar. Wysoko na tle pogodnego nieba ukazała się grupa niemieckich samolotów, tym razem „Dornierów”. Nie dolatując do Sadkowa, bombardowały Radom – głównie fabrykę broni. Około godziny dziesiątej nastąpił drugi nalot „Denierów”, tym razem na SPRL w Sadkowie. Bomby spadały na zabudowania szkoły, hangary, lotnisko. Jedna spadła obok rowu przeciwołamkowego i zasypała sześciu ludzi. Zginęło pięciu żołnierzy, w tym trzech podchorążych: Grabowski, Kamocki i Koźmiński.

Już pierwszego września, po rannym nalocie niemieckich bombowców dowództwo szkoły podjęło decyzję ewakuacji sprzętu latającego. W Sadkowie było wtedy kilka „Karasi” PZL – 23 B (szkolnych nieuzbrojonych) oraz kilkanaście samolotów innych typów (R-XII D, PW6 – 26 i RWD – 8).

Żałogi zostały częściowo zorganizowane z personelu oficerskiego i podoficerskiego szkoły oraz podchorążych. W grupie tej znalazłem się i ja. Start

samolotów przygotowywanych do ewakuacji wyznaczony został na godz. 9<sup>00</sup> następnego dnia, tj. 2 września. Niestety, nieoczekiwanie został on zakłócony atakiem bombowców (Denierów DO 17) na szkołę i lotnisko. W zaistniałej sytuacji część samolotów startowała już pomiędzy kolejnymi nalotami nieprzyjaciela. Ja stanowiłem załogę jednego z „Karasi” razem z kpr. Białobrówką. Nasz samolot startował jako piąty.

Ostatecznie w tych bardzo trudnych warunkach udało się wystartować 17 samolotom: sześciu „Karasiom”, trzem R-XIII D, czterem RWD-8 i PWS-26. Jako miejsce koncentracji wyznaczone zostało lotnisko polowe w Jedlińsku koło Radomia.

Kolejnym etapem ewakuacji było lądowisko w Stawach, gdzie przenieśliśmy się 3 września po południu. Następnego dnia załogi trzech „Karasi” poleciały do Dębłina do CWL-1 w celu uzyskania uzbrojenia dla samolotów. Pomimo tego, że w centrum znajdowały się magazyny wszelkiego wyposażenia, uzbrojenia otrzymaliśmy mało – najwięcej ręcznych granatów. Zaopatrzyliśmy się również w benzynę do silników i żywność.

Nasza eskadra nie podejmowała akcji bojowych. Samoloty nie były uzbrojone. Nie współpracowaliśmy również dotąd z większymi jednostkami wojska, dla których moglibyśmy prowadzić rozpoznanie lotnicze.

Wczesnym popołudniem 6 września eskadra dokonała przelotu na nowe lądowisko w miejscowości Bystrzejowice (16 km na południowy wschód od Lublina).

Kontynuację ewakuacji drogą powietrzną uniemożliwiały braki w wyposażeniu, a przede wszystkim benzyny. Dostaliśmy więc rozkaz wykonania lotów rozpoznawczych w celu uzyskania paliwa. Brał w tym udział również nasz „Karaś”. 7 września poleciliśmy z kpr. Białobrówką na południe, pilnie penetrując teren, gdzie moglibyśmy uzyskać choćby beczkę benzyny. W godzinach popołudniowych wylądowaliśmy na lotnisku w miejscowości Nowe Sioło. Wieczorem zaczęły tu lądować samoloty (głównie „Karasi”) polskiej jednostki. Okazało się, że jest to 31. Eskadra Rozpoznawcza, działająca w składzie armii „Karpaty”. Ze względu na braki samolotów w eskadrze podporządkowano nas dowódcy 31. Eskadry kpt. pil. Witalisowi Nikonowowi. Moim dowódcą załogi wyznaczono ppor. obs. Szczepańskiego. Ponieważ na lotnisku znajdował się pododdział tech-

niczny, można było zbroić naszego „Karasia”. Kapral Białobrówka został strzelcem pokładowym. Otrzymaliśmy uzbrojenie pokładowe oraz 12,5 kg bomby.

9 września wykonaliśmy z Nowego Sioła jeden lot na rozpoznanie w rejonie granicy słowackiej. Następnego dnia przebazowaliśmy się z eskadrą z Batiatycz.

Następny, pamiętny dla mnie lot odbyłem 12 września. Kapitan Nikonow wyznaczył dwie załogi do przeprowadzenia rozpoznania i zbombardowania niemieckiej kolumny pancernej w rejonie Jaworowa. Poleciał „Karaś” ppor. Nowickiego oraz my. Z niskiego pułapu zrzuciliśmy bomby na Niemców. Po wykonaniu zadania wracaliśmy do Batiatycz. Nagle, gdzieś w rejonie Krakowca zobaczyłem Me-109, który zaczął ostrzeliwać obydwa „Karasi”, zostaliśmy trafieni, a ppor. obs. Szczepański był ranny w rękę. Po chwili Mr-109 zaatakował „Karasia” ppor. Nowickiego, który stanął w ogniu. Załoga poległa. Zginęli śmiercią lotnika: ppor. obs. Leon Nowicki, st. sierż. pil. Konstanty Korzeniowski i strzelec pokładowy plut. pchor. obs. Mariusz Pszeny. Nasz strzelec pokładowy ostrzeliwał Niemca, gdy w pewnej chwili „Messner” znalazł się na moment przed nim, oddałem do niego serię z karabinu maszynowego. Być może trafiłem, gdyż samolot odskoczył w bok. Nam udało się uciec niskim lotem. Po wylądowaniu na lotnisku w Batiatyczach okazało się, że nasz samolot otrzymał wiele trafień. 14 września przebazowaliśmy się na lotnisko polowe Kozłówka k. Brzeżan.

Począwszy od 14 września lotnictwo armii „Karpaty”, w tym nasza 31. Eskadra Rozpoznawcza, działało już bardzo nieregularnie. Starano się prowadzić rozpoznanie na rzecz różnych dowództw i sztabów napotykanym w rejonie nowych lotnisk, organizujących obronę „przyczółka rumuńskiego”. Wykonaliśmy jeszcze jeden lot na rozpoznanie w rejonie Sambora. Chodziło o rozpoznanie kolumn nieprzyjaciela, posuwających się od północy i południa w kierunku Lwowa.

Tragicznego 17 września dwie załogi poleciały rano na rozpoznanie. W południe przyszedł rozkaz ewakuacji do Rumunii. Dowiedzieliśmy się wówczas, że Rosjanie wkroczyli do Polski. Około godz. 16<sup>00</sup> dowódca eskadry wydał rozkaz przelotu do Czerniowiec w Rumunii. Startowaliśmy oddzielnie. W trakcie lotu zostaliśmy ostrzelani przez Sowieców.

Celnie. Silnik przerwał pracę i musiałem lądować na przygodnym polu. Samolot nie ucierpiał, lecz ja uderzyłem głową w tablicę przyrządów. Gdy oprzytomniałem, byliśmy już otoczeni przez sowiecki oddział. Wzięto nas do niewoli, początkowo przetrzymywano w Buchaczu. Po mieście krążyli ukraińscy milicjanci z czerwonymi opaskami. 18 września miał nastąpić wymarsz kolumny jeńców

do Czortkowa. Okazało się jednak, że moja kontuzja uniemożliwia mi marsz. Tego samego dnia, pod eskortą dwóch żołnierzy przetransportowano mnie ciężarówką do szpitala w Stanisławowie. Tam zostałem po raz pierwszy opatrzony, założono mi gips. Po paru dniach wysłano mnie pod eskortą do Lwowa. Zostałem umieszczony w szpitalu wojskowym, który znajdował się pod kontrolą NKWD.

Tam rozpoczęło się moje leczenie. Okazało się, że potrwa ono długo, gdyż kontuzja była bardzo ciężka.

Tak zakończył się mój lotniczy epizod w kampanii wrześniowej.

*Tadeusz Siczek  
Związek Kombatantów RP  
i byłych Więźniów Politycznych  
Koło przy Politechnice Gdańskiej*

## Wartość historyczna mostu tczewskiego. Argumenty historyka przemawiające za odbudową.

**H**istoryczny most tczewski woła o ratunek. Pomocy potrzebuje zarówno wspaniały zabytek sztuki inżynierskiej – obiekt europejskiego dziedzictwa kultury technicznej, jak i do dziś używane połączenie komunikacyjne z drugą stroną Wisły. Historia tego mostu jest równie długa, jak wspaniała. Jego rodowód ma swój początek w połowie XIX wieku i wiąże się z budową linii kolejowej łączącej Królewiec z Berlinem. Wychodzono wówczas z założenia, że przejście delty Wisły przez Tczew, Malbork i Elbląg będzie najlepszym rozwiązaniem. Otwarcie linii kolejowej i budowa mostów miały decydujące znaczenie dla rozwoju Tczewa jako ważnego ośrodka i węzła kolejowego.

Mosty tczewskie zostały zbudowane w kilku etapach. W latach 1850 – 1857 wybudowano pierwszy z nich. Kamień węgielny pod jego budowę został położony przez Fryderyka Wilhelma IV w dniu 27 lipca 1851 roku. Głównym kierownikiem budowy był radca budowlany Carl Lentze.

Ogromny ciężar złożonej konstrukcji żelaznej tego mostu spoczywał na siedmiu olbrzymich filarach ustawionych na specjalnym fundamencie o powierzchni 1333 metrów kwadratowych. Fundament ten postawiono na gruncie utworzonym przez czysty piasek gruboziarnisty, który znajdował się 5,7 metra poniżej średniego poziomu rzeki. Do tego celu użyto 257 pali gruntowych. Dookoła pali wykonano ścianę o grubości 0,3 metra, która miała za zadanie chronić pale przed wypłukaniem gruntu. Dodatkowo ułożono 1500 bloków kamiennych, każdy o objętości od 0,3 do 0,9 metra sześciennego.

Środek filarów wykonano z cegły klinkierowej i tynku hydraulicznego. Z zewnątrz wyłożono je kamieniem ciosanym (granit i bazalt) oraz piaskowcem o odpowiedniej twardości. Kamieniarzę łączono ze sobą stalowymi klamrami pokrywanymi cynkiem i asfaltem. Wysokość konstrukcji metalowej wynosiła wtedy 11,4 metra, zaś szerokość 6,3 metra. Na tej szerokości umieszczono tor kolejowy, a po obu jego stronach drogi dla pojazdów konnych. Poza kratownicami na zewnątrz, z obu stron znajdowały się chodniki dla pieszych, które okrężały wieżyczki na filarach. Na każdym filarze były wybudowane dwie okrągłe neogotyckie wieżyczki wykonane z dobrych cegieł palonych w miejscowej cegielni. Przyczółki ozdobiono czworokątnymi wieżami, a bramy wyższe były od reszty mostu o 12 metrów. Projekty narożnych portali oraz wież mostowych w Tczewie sporządził Friedrich August Stuler, a płaskorzeźbę na zachodnim portalu wykonał Gustav Blaser. Ciężar konstrukcji metalowej wyniósł 7 tysięcy ton, a jego całkowita długość 800,4 metra. Budowa tego mostu kosztowała 4 miliony talarów.

Dnia 12 października 1857 roku oczy zachwyconych mieszkańców miasta zobaczyły pierwszy parowóz toczący się wolno wraz z wagonami po gotowym już moście. Most stał się chlubą Tczewa. A ponieważ już wkrótce przestał on wystarczać, w latach 1888-1890 wybudowano tuż obok w odległości 30 metrów drugi most, już wyłącznie kolejowy, ten pierwszy przeznaczając dla ruchu kołowego i pieszego.

Oba mosty po oddaniu ich do użytku były krótsze od dzisiejszych. Sięgały one

do wału ochronnego, który w XIX wieku znajdował się bliżej koryta Wisły. Wał przesunięto w 1912 roku dalej w stronę Lisewa. Wtedy też przedłużono oba mosty, wykonując jednocześnie dwie przybudówki ze wspólną bramą. Całkowita długość starego mostu zwiększyła się do 1030 metrów.

Jeszcze na długo przed wybuchem drugiej wojny światowej, z uwagi na strategiczne usytuowanie miasta i mostów, teren ten był przedmiotem szczególnej uwagi sztabowców polskich i niemieckich. Jedni i drudzy wiązali z Tczewem i mostami określone plany. W czerwcu 1939 roku zostały one zaminowane przez polskich żołnierzy i przygotowane do zniszczenia na wypadek wojny. W dniu 1 września 1939 roku, już w czasie bezpośrednich walk o Tczew, dowódca 2. Batalionu Strzelców ppłk Stanisław Janik wydał rozkaz wysadzenia mostów. Wykonał go ppor. Norbert Juchtman. O godzinie 6.00 wysadzono przyczółek wschodni i tzw. filar G, a o godzinie 6.45 przyczółek zachodni. Zburzone zostały cztery filary. Wysadzenie mostów tczewskich przez polskich saperów pokrzyżowało plany niemieckie i utrudniło agresorowi przegrupowanie wojsk grupy Armii Północ w kierunku wschodnim. Droga przez Wisłę została zamknięta. Czterdzieści dni potrzebowali Niemcy, aby przy nakładzie dużych sił i środków zbudować prowizoryczny most na Wiśle. Po zakończeniu kampanii wrześniowej Niemcy przystąpili do obudowy zniszczonych mostów. Przy pracach tych zatrudniono więźniów z obozu przejściowego utworzonego na obszarze tczewskich koszar. Mostu drogowego hitlerowcy nie odbudowali w całości przez cały okres okupacji. Ograniczono się jedynie do ułożenia wąskiego połączenia nad terenem zniszczonym.

Ponownie obydwie mosty zostały zniszczone, tym razem przez wycofujących się Niemców, 8 marca 1945 roku. Wkrótce

po wyzwoleniu Tczewa spod okupacji hitlerowskiej przystąpiono do uruchomienia transportu drogowego i kolejowego oraz rozpoczęto budowę prowizorycznych mostów. Koszt przedsięwzięcia wynosił 120 milionów złotych. Dzięki wielkiemu wysiłkowi budowniczych 8 marca 1947 roku oddano do użytku most kolejowy, który 24 marca 1947 roku, w momencie ruszenia lodów, pod naporem potężnych zwałów kry, runął i znalazł się w nurtach Wisły. Uszkodzenia sięgały 80 procent. Te pierwsze niepowodzenia nie zniechęciły pracowników Przedsiębiorstwa Robót Kolejowych. Już w czerwcu 1947 roku przystąpiono do budowy nowego mostu. Prace prowadziło sukcesywnie przez kilka lat wspomniane wyżej przedsiębiorstwo kolejowe. Nie powrócił on jednak do swej świetności.

W latach 1959 – 1960 mosty zostały zmodernizowane. Nastąpiła też wymiana zużytych przęseł. Obecnie most kolejowy jest dziesięcioprzęsłowym, dwutorowym obiektem o całkowitej długości 1037,8 m. Obecnie składa się z fragmentów różnych mostów o bardzo zróżnicowanej konstrukcji. Jest to niewątpliwie wspaniałe miejsce dla studentów budownictwa mostowego jako jedyny w swoim rodzaju "skansen mostowy", ale dla normalnych użytkowników utrapieniem. Od zakończenia wojny most nie był poddany

kapitałnemu remontowi, a poważne naprawy były rzadkością.

Oba mosty poddawane są tylko stałym zabiegom konserwacyjnym i remontom bieżącym. Do dnia dzisiejszego przy przeszłe mostu z 1857 roku zachowały się cztery oryginalne neogotyckie wieżyczki. Mury tych wieżyczek i ich łukowe spójnienia są popękane i wymagają szybkiej naprawy, jeśli ten zabytkowy obiekt ma ocaleć. Poważnego remontu wymaga przede wszystkim most drogowy dla ruchu kołowego.

Od 1999 roku historycznym mostem tczewskim opiekuje się Powiat Tczewski, który wspólnie z przedstawicielami samorządów, władz rządowych oraz Politechniki Gdańskiej współpracuje w dziele przywrócenia jego świetności.

Kiedy w sierpniu 1999 roku otwierano wystawę poświęconą historii tczewskich mostów w Muzeum Wisły w Tczewie, narodził się pomysł, by historią i stanem dzisiejszym tego zabytku zainteresować innych ludzi, szczególnie tych, od których możliwej pomocy zależy jego dalszy los. Dlatego też postanowiono rozbudować tczewską część tej ekspozycji i przygotować makietę mostu odwzorowującą jego dawne piękno i świetność. Makietę mostu wykonano w Zespole Szkół Kolejowych w Tczewie. Zdecydowano, że skoro trudno sprowadzić niektórych de-

cydentów na tczewski most, to most ten zostanie zawieszony do nich. I tak też się stało. Makieta miała swoją ekspozycję w Muzeum Techniki w Warszawie. Była również eksponowana w Muzeum Techniki w Berlinie, a obecnie znajduje się w Centrum Wystawienniczo Regionalnym Dolnej Wisły w Tczewie

Dzięki staraniom Politechniki Gdańskiej oraz Powiatu Tczewskiego zabytkowy most tczewski uznany został 14 maja 2004 roku przez Amerykańskie Stowarzyszenie Inżynierów Budownictwa, które promuje wiedzę o najważniejszych budowlach stanowiących światowe dziedzictwo obiektów techniki, za międzynarodowy zabytek inżynierii budowlanej.

Wartość historyczna mostu przemawia za jego szybką i pełną odbudową, tak aby ponownie był on wspaniałym zabytkiem architektonicznym z bramami wjazdowymi i portalami w stylu neogotyckim oraz płaskorzeźbami na portalach i dwunastoma neogotyckimi wieżyczkami.

Należy mieć nadzieję, że nadejdzie znowu czas świetności dla historycznego mostu tczewskiego.

*Kazimierz Ickiewicz  
Zespół Szkół Technicznych  
im. kmdra Antoniego Garnuszewskiego  
w Tczewie*



REFLEKSJE  
EMERYTOWANEGO  
PROFESORA

## PKP

Powszechnie wiadomo, że skrót *PKP* oznacza Polskie Koleje Państwowe – *sic!* PAŃSTWOWE. Podkreślam to ostatnie słowo, bowiem kiedyś *PKP* – nie będąc modnym dziś przedsiębiorstwem prywatnym – były pod każdym względem synonimem solidności i niezawodności. Mam tu na myśli głównie czasy przedwojenne, gdy praca dla *PKP* była ze wszech miar

tytułem do chwały. Można powiedzieć, że stosunek kolejarzy do swego godnego zaufania pracodawcy i do jego wymagających klientów przybierał niekiedy charakter „religijny” (il. 1).

W owym czasie kolej cieszyła się znaczną popularnością, w ogóle – była odbiciem ówczesnego technologicznego postępu i znacznego społecznego uznania.



Il. 1. *Urbańska B.: Raptularz Średzki. Średzkie Towarzystwo Kulturalne, Środa Wielkopolska 2010*



Il. 2. Fot. ze zbiorów autora



Il. 3. Fot. ze zbiorów autora

Jednym z licznych tego dowodów może być np. wiersz Juliana Tuwima pt. *Lokomotywa*, gdzie czytamy:

... I pełno ludzi w każdym wagonie,  
... I spieszy się, spieszy, by zdążyć na czas,  
...

Od razu rodzi się pytanie: „czy dzisiaj też się spieszy, by zdążyć na czas”?

Atmosferę tamtych czasów pamiętam dobrze, bo wychowałem się w rodzinie o tradycjach kolejowych – jestem synem długoletniego pracownika PKP. Mój ojciec, Piotr Paweł Cywiński, będąc inżynierem kolejnictwa, rozpoczął swą pracę w polskiej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Gdańsku (DOKP Gdańsk) w roku 1921 (il. 2, il. 3).

Później przenoszono go w inne miejsca, żeby wymienić kolejno: Toruń, Bydgoszcz, Białystok, Toruń i Grudziądz. Między innymi brał udział w budowie magistrali węglowej Śląsk – Gdynia (il. 4.) oraz przy

wzmocnieniu mostu kolejowego w Toruniu (il. 5.) według projektu Stanisława Błaszkwia, syna przywołanej tu Ziemi Średzkiej w Wielkopolsce, wielce zasłużonego powojennego profesora Politechniki Gdańskiej i – co za przypadek! – promotora mojej pracy magisterskiej nt. pełnościennych metalowych mostów łukowych w latach 1954–1955. Ostatecznie, ojciec zakończył swą pracę dla naszej kolei znowu w DOKP Gdańsk w roku 1953 (il. 6.).

Z charakteru pracy ojca wynikało, że od roku 1929 – kiedy to urodziłem się w budynku odległym o 50 m od stacji kolejowej Toruń Miasto – olbrzymia większość naszych późniejszych mieszkań znajdowała się również w bezpośredniej bliskości stacji kolejowych. Stąd także biorą się moje osobiste doświadczenia dotyczące Polskich Kolei Państwowych; zresztą, po wyzwoleniu Torunia 1 lutego 1945 r., jeszcze przed podjęciem nauki w toruńskim Gimnazjum im. Mikołaja Kopernika, sam krótko pracowałem dla PKP.

Wszystkie te moje kontakty z koleją sprawiły, że lokomotywy, pociągi, perony, dworce kolejowe, rozkłady jazdy i podróże koleją w ogóle były dla mnie chlebem powszednim – tym bardziej, że ojciec otrzymywał rocznie 12 bezpłatnych biletów dla swojej rodziny i mogliśmy koleją zwiedzać Polskę od Gdyni, Pucka i Helu, do Zakopanego, Krakowa, Lwowa, Warszawy i Wilna. Dość częste kolejowe jazdy do dziadków pod Poznaniem pozwoliły też poznać samo miasto Poznań; za granicę wówczas jeszcze tak powszechnie jak dziś się nie jeździło, chociaż w roku 1937 na Kasprowym Wierchu przekroczyłem (dostownie) granicę z Czechosłowacją.

Wspomniana tu wizyta nad polskim morzem była też przyczyną tego, że w pamięci utrwaliła mi się również stara stacja kolejowa w Tczewie, gdzie pociąg jadący z Bydgoszczy, aby jechać dalej do Gdańska i Gdyni, musiał zmienić kierunek jazdy. Widziałem wówczas jeszcze w całości oba tczewskie mosty na Wiśle, a z przejazdów



Il. 4.

Fot. ze zbiorów autora



Il. 5.

Fot. ze zbiorów autora

przez Gdańsk utrwalił mi się w pamięci widok lotniska na dzisiejszej Zaspie – ze stojącymi na płycie niemieckimi samolotami, które miały na „ogonach” wymalowane hitlerowskie swastyki. Był to rok 1938 – czy mogłem przypuszczać, że po upływie pięćdziesięciu lat w tym samym miejscu będą mieszkać moje dwie dorosłe córki?

Czas jednak skończyć te liczne dygresje i skupić się na właściwym temacie. A jest nim dzisiejsza kondycja naszej kolei w porównaniu z tą, jakiej doświadczałem przed wojną. Przede wszystkim, polska kolej była wtedy nadzwyczaj punktualna. Mieszkając praktycznie na stacjach kolejowych, mogliśmy według ruchu pociągów regulować zegarki. Pociągi nie były przepełnione (były wtedy 4 klasy) i nikt wówczas nie słyszał o miejscówkach. Rozkłady kolejowe planowano „z głową” i pasażerowie nie musieli godzinami czekać na połączenia. Rozkłady jazdy były bezwzględnie przestrzegane i nie zmieniano ich co trzy miesiące, jak to się dzieje ostatnio. W przeciwieństwie do czasu dzisiejszego zapowiedzi megafonowe były zawsze dobrze słyszalne, a stacje czyste i zadbane. Same pociągi nie miały zbyt wyszukanych nazw. Rozróżniano głównie pociągi towarowe, osobowe i pospieszne. Wiedzano jednak, co te nazwy oznaczały i na co klient kolei mógł na pewno liczyć.

Jak jest na PKP obecnie, każdy widzi. Mnogość źle zsynchronizowanych spółek powoduje, że w działalność kolei wkrada się chaos. W Internecie można przeczytać, że obecnie podstawowymi zadaniami PKP są:



Il. 6. Fot. ze zbiorów autora



Il. 7. Politechnika Gdańska Pięćdziesiąt Lat Wydziału Budownictwa Lądowego, 1945–1995. Księga Jubileuszowa, Gdańsk 1995

- realizacja procesu restrukturyzacji,
- zagospodarowanie zbędnego majątku,
- zarządzanie płynnością finansową spółek Grupy PKP,
- koordynacja przedsięwzięć związanych z rozwojem spółek Grupy PKP,
- przygotowanie projektów prywatyzacyjnych dla spółek Grupy.

Wszystkie te zamierzenia są dowodem tego, że obrane przeze mnie słowo „chaos” jest bardzo trafne. Zresztą dobitnym tego wyrazem jest to wszystko, co działo się u nas w grudniu 2010 r. przy wprowadzaniu nowego rozkładu jazdy.

W tych wszystkich zamierzeniach Polskich Kolei Państwowych zaginął gdzieś pasażer i pracownik – nie ma o tym w ogóle mowy. Przenosi się to oczywiście na praktykę dnia codziennego naszego kolejnictwa. Można przywołać słowa Hamleta: „źle się dzieje w państwie duńskim”, tj. w polskim kolejnictwie.

W obecnych warunkach nasz gdański optymizm może brać się tylko z wiadomości, że nowym wiceministrem w Ministerstwie Infrastruktury, odpowiedzialnym za polskie koleje, został Andrzej Massel, absolwent Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Gdańskiej z roku 1989 i były pracownik Katedry Inżynierii Kolejowej naszej uczelni (il. 7.); na zdjęciu z roku 1995 Andrzej Massel widoczny jest jako pierwszy z prawej.

Należy dodać, że nowy wiceminister uzyskał na Politechnice Gdańskiej w roku 1997 stopień doktora – promotorem był prof. dr hab. inż. Bożysław Bogdaniuk. Andrzej Massel zastrzega się, co prawda,

że „sytuacji na kolei nie da się poprawić z dnia na dzień”, z czym trzeba się oczywiście zgodzić, ale jego dotychczasowa działalność – także w Instytucie Kolejnictwa w Warszawie – daje realną nadzieję, że nasze oczekiwania w tej dziedzinie zostaną stopniowo spełnione. Jest jednak sprawą oczywistą, że obok działań organizacyjnych i materialnych należy tu również zadbać o szeroką, mentalną przebudowę dzisiejszego obywatela w ogóle, a tego czynnego w świecie kolejnictwa – w szczególności.

Zbigniew Cywiński  
Emerytowany profesor PG

P.S. Te szczególne rozważania nie powinny zamykać nas na sprawy ogólniejsze. Jedną z nich, przytłaczającą swym ogromem, jest kataklizm, jaki przeżywa dziś Japonia. Klasyczne malowidło pt. *Fala w Kanagawa*, autorstwa *Katsushika Hokusai* (1760-1849), widoczne poniżej, może być tego kataklizmu symbolicznym wyrazem. Na tym tle zachęcam też do przeczytania mego artykułu w Piśmie PG z czerwca 2010 r.





## Chór PG świętuje 45 lat



Fot. K. Krzemppek

**A**kademicki Chór Politechniki Gdańskiej świętuje w tym roku akademickim 45 lat działalności. Z tej okazji zaproszono całą społeczność akademicką oraz sympatyków naszych chórzystów na koncert jubileuszowy, który odbył się w czwartek, 24 lutego 2011 r. w Auli Gmachu Głównego PG.

„Już od czterdziestu pięciu lat sławimy dobre imię naszej *Alma Mater*, realizując wspólną pasję. Z tego powodu pragniemy uczcić prawie półwieczną tradycję symbolicznym *Gaude Mater Polonia*, a następnie koncertem, na którym zaprezentujemy repertuar *a cappella*” zachęcał do udziału w koncercie jubileuszowym dr Mariusz Mróz, dyrygent Akademickiego Chóru Politechniki Gdańskiej.

Prezes Chóru powitał zgromadzonych gości, po czym prowadzenie uroczystości przejął Pan Konrad Mielnik. Wśród słuchaczy było wielu znamienitych gości. Pani Anna Tarnowska – Prezes Zarządu Głównego Polskiego Związku Chórów i Orkiestr, Rektor Politechniki Gdańskiej – prof. Henryk Krawczyk, Senator Edmund Wittbrodt oraz władze i pracownicy uczelni. Przybyło również wiele delegacji zespołów z Pomorza. Chór otrzymał wiele listów gratulacyjnych, m.in. od Senatora Janusza Rachonia – byłego rektora PG oraz od Prezydenta Miasta Gdańska – Pawła Adamowicza.

Cały koncert podzielony był na trzy części. Na taki podział wpłynęła naturalnie działalność trzech dyrygentów zajmujących się zespołem od początku jego istnienia.

Historia utworzenia zespołu śpiewaczego związanego z Politechniką Gdańską sięga roku 1958 i wiąże się z osobami Leona i Ireneusza Łukaszewskich. Oficjalna

rejestracja działalności Chóru Politechniki Gdańskiej nastąpiła w listopadzie 1965 roku, kiedy w uczelni powstał zespół kameralny pod nazwą „Collegium Academicum Musicae Antiquae”. W styczniu 1968 roku – na życzenie senatu uczelni – CAMA zmieniła nazwę na Chór Politechniki Gdańskiej. Obecnie zespół nosi nazwę Akademickiego Chóru Politechniki Gdańskiej.

Kierownictwo artystyczne Chóru sprawowali kolejno Dyrygenci: Andrzej Lewandowski (1965–1980), Jan Łukaszewski (1980–1992). Od października 1992 r. zespół prowadzi Mariusz Mróz.

Pod batutą Andrzeja Lewandowskiego, gdańskiego kompozytora będącego ogromnym autorytetem dla chórzystów, w styczniu 1973 r. zespół dokonuje nagrań dla France Musique, które następnie zostają zaprezentowane w Radiu Europa. Oprócz koncertów *a cappella* chór angażuje się w działalność Teatru Wokalnego Chóru Politechniki Gdańskiej – łączącego śpiew z choreografią. Zespół wykonuje również utwory autorstwa dyrygenta. Muzyką Andrzeja Lewandowskiego wypełniona jest nagrana w czerwcu 1976 roku płyta długogrająca, na której znaleźć można utwory takie jak „Kosmonomia” i „Encomion”.

W 1980 roku dyrygentem Chóru został Jan Łukaszewski. Zapisuje się w historii zespołu jako współorganizator szeregu zagranicznych tras koncertowych – Chór Politechniki Gdańskiej podróżował wtedy po wszystkich większych krajach europejskich. Podczas swoich zagranicznych tournée Chórzyści dwukrotnie uczestniczyli w Audjencji u Papieża Jana Pawła II –

w 1982 r. i trzy lata później. W 1987 r. zespół zdobywa laury na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Chóralnej w hiszpańskiej miejscowości Cantonigros. W tym samym roku jury Konkursu Zespołów Akademickich Polski Północnej przyznaje Chórowi najwyższą nagrodę. Ponadto dziewięćcioro chórzystów PG, w ramach zorganizowanego na tę okazję Gdańskiego Chóru Akademickiego, uczestniczy w Międzynarodowym Festiwalu Chóralnym w Manili na Filipinach. W krajowej działalności zespołu dominują wykonania dużych form muzyki oratoryjno-kantatowej, takich jak oratoria, msze i litanie. Chór wykonuje muzykę różnych stylów i epok, od okresu baroku po neoromantyzm.

W roku 1992 kierownictwo muzyczne chóru przejmuje młody, utalentowany absolwent Akademii Muzycznej w Gdańsku – Mariusz Mróz. Wraz ze zmianą dyrygenta wzrasta aktywność artystyczna Chóru, który oprócz wykonywania muzyki oratoryjnej i *a cappella* zajmuje się także działalnością charytatywną – do największych zasług Chóru należą: pierwszy koncert muzyki poważnej na rzecz Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy w 1993 roku, koncerty dla ofiar pożaru w Stoczni Gdańskiej w latach 1994 i 1999 oraz *Requiem* dla ofiar powodzi tysiąclecia w 1997 roku, a w 2008 roku koncert na rzecz odbudowy Kościoła pod wezwaniem św. Katarzyny w Gdańsku oraz kilkakrotne występy dla gdańskiego Hospicjum im. Ks. Eugeniusza Dutkiewicza. W latach 1992–2010 Chór sięga po najwyższe laury na rozmaitych konkursach krajowych w Rumi, Szczecinie, Hajnówce, Łodzi, Bydgoszczy, Białymstoku i Legnicy, a najnowszym osiągnięciem zespołu są Złoty i Srebrny Dyplom wywalczony na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Chóralnej w Międzyzdrojach w czerwcu 2010. Oprócz tego Politechnika Gdańska chwaliła się swoim zespołem za granicą – chórzyci mieli okazję występować w Niemczech, Hiszpanii, Belgii, Austrii, Danii, Estonii, Czechach, na Litwie i na Węgrzech, we Włoszech, Francji oraz w Meksyku, zaś w kwietniu tego roku po raz drugi wezmą udział w Międzynarodowym Festiwalu Chóralnym w Montreux, w Szwajcarii. Poza startami w konkursach Chór Politechniki Gdańskiej angażuje się w rozmaite projekty dotyczące wykonania większych dzieł muzycznych wraz z orkiestrami i solistami z całego Pomorza: do niedawnych oratoriów należą między innymi „Missa Pro Pace” Wojciecha Kilara, „Nieszpory” Józefa Zeidlera, „Msza Koronacyjna” oraz „Requiem d-moll” Wolfganga Amadeusza Mozarta.



Prof. Aleksander Kołodziejczyk przyjmuje gratulacje od JM Rektora prof. Henryka Krawczyka  
Fot. Krzysztof Krzempek

W czasie uroczystości miało miejsce wręczenie Honorowych Odznak Polskiego Związku Chórów i Orkiestr członkom chóru, którzy zasłużyli się w amatorskim ruchu muzycznym.

Odnaki Brązowe:

- Andrzejewski Adam
- Baranowski Piotr
- Bartmański Michał
- Bruniewska-Wojak Małgorzata
- Dettlaff Weronika
- Drózd Katarzyna
- Duraj Szymon
- Filipek Karolina
- Frymark Łukasz
- Haba Agata
- Jungst Marzena
- Łankiewicz Justyna
- Młyńska Ramona
- Momot Bartosz
- Rogala Jacek
- Świder Jarosław
- Wnuk Natalia
- Wrosz Patrycja
- Zadroga Marcin
- Zgódka Mikołaj

Odnaki Srebrne

- Banel Anna
- Grubba Jan
- Gryz Justyna
- Półtorak Stanisław
- Radzimierski Michał
- Stecewicz Tomasz
- Suchocki Jarosław
- Trojanowska Katarzyna
- Wojak Emil
- Wrosz Izajasz

Odnaki Złote

- Hellman-Grubba Małgorzata
- Rusowicz-Rospondek Alicja

Na wniosek Akademickiego Chóru Politechniki Gdańskiej, Honorową Odznakę Złotą Polskiego Związku Chórów i Orkiestr otrzymał prof. Aleksander Kołodziejczyk.

„Profesor Aleksander Kołodziejczyk od wielu lat, jeszcze jako Prorektor, następnie jako Rektor i nieprzerwanie do dnia dzisiejszego jest postacią wpisującą się na stałe w historię Akademickiego Chóru Politechniki Gdańskiej. Jest człowiekiem, któremu chór zawdzięcza wiele sukcesów, dzięki wielkiej życzliwości, jaką Prof. A. Kołodziejczyk kieruje w stronę zespołu. Ta wielka życzliwość, zrozumienie potrzeb artystycznych i tych pozaartystycznych miała i ma ogromny wpływ na ciągły rozwój zespołu oraz osiągnięcie pozycji oraz szacunku na Politechnice Gdańskiej, w środowisku muzycznym Trójmiasta, Polski i Europy.”

Fragment Laudacji wygłoszonej przez dr Mariusza Mroza.

Nasz uczelniany chór może poszczycić się wieloma sukcesami. Muzycy wielokrotnie sięgnęli po najwyższe laury na rozmaitych konkursach krajowych. Najświeższym osiągnięciem są Złoty i Srebrny Dyplom wywalczone na Międzynarodowym Festiwalu Muzyki Chóralnej w Międzyzdrojach w czerwcu 2010.

Najważniejsze osiągnięcia zespołu w czasie ostatniej dekady:

- XII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Religijnej im. ks. S. Ormiańskiego w Rumii 2000 – I miejsce
- XXXVII Międzynarodowy Festiwal Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach 2003 – Dyplom Brązowy
- Międzynarodowy Konkurs Muzyki Cer-

kiewnej w Białymstoku 2004 i w Hajnówce 2006 – III miejsce

- Ogólnopolski Konkurs Pieśni Pasyjnej w Bydgoszczy 2005 – II miejsce
- XLI Międzynarodowy Festiwal Chóralny w Montreux w Szwajcarii 2005 – Nota Excellent
- Międzynarodowy Festiwal Chórów Akademickich IFAS 19 w Pardubicach 2006 – Dyplomy Złoty i Srebrny
- XI Łódzki Festiwal Chóralny „Cantio Lodziensis” w Łodzi 2008 – I miejsce
- 45. Międzynarodowy Festiwal Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach 2010 – Dyplomy Złoty i Srebrny

Częścią organizacyjną zespołu zajmuje się prezes wraz zarządem. Zupełnie odmiennie od dyrygentów, „szefów” zespołu było bardzo wielu. Poniżej zamieszczamy listę prezesów Akademickiego Chóru Politechniki Gdańskiej od początku jego istnienia.

- Kazimierz Sadowski (1965–1966)
- Andrzej Kolasiński (1966–1968)
- Józef Mucek (1968–1969)
- Maria Koszała (1969–1973)
- Waldemar Łastowski (1973–1974)
- Ryszard Krystek (1974–1975)
- Szczepan Gapiński (1975–1976)
- Marek Rundsztuk (1975–1976)
- Ryszard Jakubowski (1976–1978)
- Tamara Melnyk (1976–1978)
- Krzysztof Taratuta (1978–1982)
- Eugeniusz Mosakowski (1982–1984)
- Stanisław Nadolski (1984–1988)
- Tadeusz Detlaff (1988–1990)
- Adam Dunst (1991–1992)
- Tomasz Jankowski (1992–1993)
- Anna Rehmus (1993–1994)
- Przemysław Cyprian Estemberg (1994–1995)
- Agnieszka Gleb (1995–1997)
- Barbara Rurowicz (1997–1998)
- Marta Poborska (1998–2000)
- Łukasz Drejer (2000–2001)
- Olga Kolaj (2001–2003)
- Oliwer Karpus (2003–2007)
- Marcin Zadroga (2007–2009)
- Natalia Wnuk (2009–2010)
- Jarosław Suchocki (Od 2010)

Pragniemy Serdecznie podziękować władzom oraz pracownikom uczelni za wsparcie finansowe oraz te pozafinansowe działalności chóru. Dziękujemy wszystkim sympatykom naszego zespołu za życzenia i zapraszamy na nasze kolejne koncerty.

Jarosław Suchocki  
Prezes Akademickiego Chóru  
Politechniki Gdańskiej

## Chojnickie Centrum Kultury w roli głównej

Studenci piątego semestru architektury i urbanistyki wzięli udział w konkursie na opracowanie koncepcji budowy Centrum Kultury w Chojnicach. Najlepsze projekty przygotowały zespoły: Magdalena Kosmowska i Karol Gołąb oraz Jakub Lemka i Michał Krzemiński. Studenci otrzymali pamiątkowe dyplomy oraz symboliczne prezenty. Wystawę pokonkursową oglądać można w korytarzu na poziomie 300 w Gmachu Głównym PG.

Podkreślić trzeba, że konkurs, ogłoszony przez chojnicki Urząd Miasta, adresowany był do biur projektowych i praktykujących architektów. Dr Agnieszka Błażko i dr Małgorzata Skrzypek-Łachińska z Wydziału Architektury PG nawiązały kontakt z władzami Chojnic, proponując realizację tego samego konkursu w formule adresowanej do studentów.

Zadanie było trudne, bowiem projekty obejmują ogromną przestrzeń i uwzględniają możliwość rozbudowy bądź aranżację całkowicie nowego obiektu.

– Nasze prace powstały podczas zajęć projektowania architektonicznego. Cieszymy się, że mogliśmy pracować na tych samych zasadach co profesjonalisci. To świetna okazja, by sprawdzić swoje umiejętności – opowiadają Magdalena i Karol.

Studenci do pracy podeszli bardzo poważnie. Pojechali nawet do Chojnic, by z bliska obejrzeć teren, na którym znajduje się Chojnickie Centrum Kultury.

– Prace, które przygotowaliśmy są naprawdę dobre, zwłaszcza, że studiuje dopiero na piątym semestrze – gratulowała studentom dr Małgorzata Skrzypek-Łachińska z Wydziału Architektury, podczas otwarcia wystawy.

Ze zdaniem dr Skrzypek-Łachińskiej w pełni zgodził się sędzia konkursu dla profesjonalistów organizowanego w Chojnicach, dr Bazyli Domsta z Wydziału Architektury PG.

W konkursie wzięło udział czternastu studentów pracujących w dziewięciu zespołach projektowych. Ich koncepcje oceniło jury w składzie: dr Bazyli Domsta, Wydział Architektury PG (sędzia konkursu dla profesjonalistów organizowanego w Chojnicach), dr Andrzej Prusiewicz, Wydział Architektury PG, dr Agnieszka Błażko, Wydział Architektury PG (organizator konkursu w formule studenckiej, prowadząca zajęcia) oraz dr Małgorzata Skrzypek-Łachińska (organizator konkursu w formule studenckiej, prowadząca zajęcia).

Poza równorzędną nagrodą główną, jury przyznało także dwa wyróżnienia. Pierwsze otrzymała Barbara Józekowska, drugie zespół w składzie Amelia Berg i Natalia Dronzkowska-Rudzka.

Ewa Kuczkowska  
Dział Promocji

## Jachtem przez Pacyfik – wystawa

Dziewięć miesięcy spędzili na 8,5-metrowym jachcie *Mantra Ania*, żeglując po Pacyfiku, Dawid Hałoń, doktorant z Wydziału Oceanotechniki i Okrętownictwa PG oraz Marta Makulec, prawniczka z Uniwersytetu Warszawskiego. Z rejsu, który bez wątplenia można nazwać przygodą życia przywieźli przepiękne wspomnienia i chwile zaklęte w fotografiach.

Fotorelację składającą się ze 150 zdjęć, które można było oglądać w holu przed Biblioteką Główną do 25 marca br.

Marta i Dawid żeglowali przez Pacyfik, z Wenezueli na Filipiny. Po drodze odwiedzili Panamę, Galapagos, Polinezję Francuską, Wyspy Cooka, Tonga, Fiji, Vanuatu, Papuę Nową Gwineę i Palau. Pokonali 13 tysięcy mil morskich.

– Żeglowaliście łącznie 2,5 tys. godzin, odwiedzając wiele niezwykłych miejsc od Ameryki Południowej aż po południowo-wschodnią Azję. Przeszliśmy słynny Kanał Panamski, tropiliśmy iguany i gigantyczne żółwie na Galapagos. Przez 23 dni wypatrywaliśmy lądu w drodze na Markizy, koczowaliśmy w rajskich atolach Tuamotu, uczyliśmy się pływać polinezyjskim canoe

i otwierać kokosy, walczyliśmy z ogromnymi tuńczykami, silnymi wiatrami na wschodnim Pacyfiku i wielodniowymi ciżmami w jego zachodniej części – wylicza jednym tchem Dawid Hałoń, kapitan, organizator wyprawy i główny kuk.

Dawid podkreśla, że fotografie oddają jedynie namiastkę tego, co razem z Martą miał okazję zobaczyć i przeżyć. Najbardziej ujęła ich ogromna serdeczność ludzi, których spotykali na swojej drodze. Podróżnikowi trudno wskazać zakątek, który wywarł na nim największe wrażenie. Papua Nowa Gwinea olśniła go klimatem i zaczerpowała krajobrazami.



Załoga Mantry Ani po raz pierwszy dotarła na równik, N to S (okolice Galapagos)

– Zaglądaliśmy w krater czynnego wulkanu na Vanuatu, dotarliśmy w rzadko odwiedzane przez żeglarzy rejony Papui Nowej Gwinei, gdzie przez długie godziny prowadziliśmy handel wymienny z mieszkańcami i poznaliśmy ich niemal nietkniętą cywilizację życia, a także nurkowaliśmy z rekinami na Palau, zwiedzając jedno z najpiękniejszych raf świata – dodaje młody żeglarz.

Pomysłodawcą rejsu był Andrzej Armiński, projektant, producent i właściciel *Mantry Ani*, który użyczył jachtu nieodpłatnie. Jednostka ta już trzykrotnie pływała po Pacyfiku.

Kapitanem rejsu był Dawid Hałoń, sternik morski, mający na swoim koncie 31 tys. mil morskich. Natomiast Marta Makulec, żeglarz jachtowy, kształcąca się obecnie na aplikacji radcowskiej zapewniała organizację strony formalnej, była tłumaczem i – jak stwierdził Dawid – wesołym duchem rejsu.

Młodzi miłośnicy morza poznali się trzy lata temu podczas marcowego rejsu z Gdyni do Visby. Od tamtej pory przeżeglowali wspólnie 4118 godzin, pokonując 22 394 mile morskie.

Zapraszamy na blog dedykowany wystawie: [www.martadawid.wordpress.com](http://www.martadawid.wordpress.com).

Ewa Kuczkowska  
Dział Promocji

# 105 lat Związku Nauczycielstwa Polskiego

## Od korzeni po współczesność (1905–2010)

„...aby mierzyć drogę przyszłą, trzeba wiedzieć, skąd się wyszło..”

C. K. Norwid

ZNP, jako jedna z najstarszych organizacji związkowych na ziemiach polskich, jest dobrowolną, niezależną i samorządną organizacją zawodową pracowników oświaty, szkolnictwa wyższego i nauki oraz emerytów i rencistów. ZNP jest rzecznikiem ich uprawnień, a przede wszystkim broni zawodowych, ekonomicznych i społecznych interesów czynnych zawodowo, jak i byłych pracowników. Związek troszczy się o kształtowanie demokratycznego oblicza polskiego szkolnictwa, szerokiego do niego dostępu, wychowania w duchu tolerancji, poszanowania praw, wolności i godności osobistej.

Działalność organizacji zawodowych o charakterze narodowym na ziemiach polskich pod zaborami była zabroniona. Dopiero szeroka autonomia Galicji stwarzała ludności polskiej rozległe możliwości rozwoju własnej kultury i oświa-

ty, tworzenia towarzystw, stowarzyszeń itp. W tym samym okresie (II połowa XIX w.) Prusy, Niemcy i Rosja wzmogły swe antypolskie przedsięwzięcia i m.in. nie zezwalały na tworzenie organizacji zawodowych. Przyzwolenie takie nastąpiło dopiero po 1905 r. w Rosji i w 1918 r. w Niemczech. Nauczyciele Polacy we wszystkich trzech zaborach podejmowali próby organizowania się stosownie do swoich możliwości, w warunkach zaborczego ustawodawstwa. Jako sposób organizacji masowego protestu przeciw nauczaniu w języku rosyjskim, postanowiono zwołać zjazd nauczycieli ze wszystkich guberni Królestwa Polskiego. W dniu **1 października 1905 r.** odbył się on w szkole w **Pilaszkowie** k/Łowicza oraz podjął uchwałę o nauczaniu w szkołach w języku polskim. Uchwałę podpisało około tysiąca nauczycieli, którzy rozpoczęli w szkołach naukę w języku polskim.

Zjazd w Pilaszkowie powołał Związek Nauczycieli Ludowych, który działał nielegalnie i w następstwie licznych areszto-

wań po kilku tygodniach przestał istnieć. Jednak najbardziej aktywni nauczyciele wstąpili do utworzonego 9 grudnia 1905 r. w Warszawie „Polskiego Związku Nauczycielskiego” i „Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego”. Statut organizacji został zatwierdzony przez władze carskie dopiero w styczniu 1907 r. Z kolei grupa krakowska, w dniu 28 grudnia 1905 r. powołała Krajowy Związek Nauczycielstwa Ludowego w Galicji. Stąd można mówić, że Związek kształtował się tak, jak na to pozwalały warunki pod zaborami. Od czerwca 1917 r. rozpoczęło się wydawanie „Głosu Nauczycielskiego” jako comiesięcznego organu prasowego (obecnie wydawanego cotygodniowo). W lipcu 1930 r. odbył się zjazd połączony z Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych (ZPNP) istniejącego od 12 kwietnia 1919 r. i Związku Zawodowego Nauczycielstwa Polskich Szkół Średnich (ZZNPSŚ), utworzonego w lutym 1919 r., **tworząc Związek Nauczycielstwa Polskiego (ZNP)**. Nadszedł jednak tragiczny okres historii – napaść hitlerowskich Niemiec (1 września 1939 r.) i Związku Radzieckiego (17 września 1939 r.) na Polskę, która przerwała na 5,5 roku legalną i twórczą pracę ZNP dla szkół i nauczycieli. W końcu października 1939 r. postanowiono, że Związek pod okupacyjnym kryptonimem TON, czyli „Tajna Organizacja Nauczycielska”, prowadzić będzie konspiracyjną działalność w zakresie tajnego nauczania i pomocy nauczycielom, ofiarom wojny itp.

Powojenne dzieje ZNP to ponad 65 lat, które obfitowały w bardzo ważne wydarzenia w historii narodu polskiego, a w tym szkolnictwa i nauki, stanowiąc integralny składnik polskiej oświaty i kultury. W omawianym okresie uchwalona została ustawa z 1972 r. „Karta praw i obowiązków nauczyciela” (aktualna z późniejszymi zmianami). W połowie 1980 r., potęgowało się niezadowolenie społeczne wyrażone w strajkach i protestach robotniczych. W dniu 11 września 1980 r. pod hasłem odnowy życia związkowego, Zarząd Sekcji Nauki ogłosił się Komitetem Założycielskim Związku Zawodowego Pracowników Szkół Wyższych i Instytucji Naukowych. Obradująca VIII Krajowa Konferencja Sekcji Nauki (12-13 października 1980 r.) podjęła uchwałę o przekształceniu Sekcji we wspomniany Związek. Zaznaczono, że Związek ten wejdzie w skład ZNP na zasadzie Federacji - ZNP Nauka z ZNP



Na zdjęciu po lewej stronie autor (wiceprezes ZNP w UG 1994-2010, delegat 39. i 40. Krajowego Zjazdu ZNP), po prawej stronie Prezes ZNP w Politechnice Gdańskiej doc. dr inż. Tadeusz Umiński (1994-2010) obecnie wiceprezes, członek Zarządu Federacji i przedstawiciel ZNP w Radzie Głównej Szkolnictwa Wyższego (2000-2006), na wniosek której przyznano Mu medal Komisji Edukacji Narodowej, a w 2011 r. otrzymał złotą odznakę ZNP za 50-letnią przynależność i działalność związkową. Na kadencję 2010-2014 prezesem ZNP w PG został wybrany dr inż. Sławomir Makowski z Wydziału Mechanicznego. Miniatura ławeczki szkolnej znajduje się w Zarządzie ZNP w UG. Fot. Jerzy Szmytka

Oświata. Podział ZNP stał się faktem.

W czerwcu 1983 r. powstał Komitet Założycielski Federacji ZNP Szkół Wyższych i Nauki, w którym udział brali również członkowie Zarządu ZNP w Uniwersytecie Gdańskim – śp. doc. dr **Stanisław Mielczarski** i prof. **Zdzisław Kordel**, który przez szereg lat był reprezentantem Zarządu ZNP UG, w Radzie Federacji (podobnie jak dr inż. **Anicet Niedźwiecki** z PG). Federacja Związków Nauczycielstwa Polskiego Szkół Wyższych i Nauki, do której należało 69 uczelni państwowych, została zarejestrowana 9 października 1983 r.

W dniu 30 listopada 2004 r. odbył się XXXVIII Nadzwyczajny Krajowy Zjazd Delegatów ZNP, który dokonał zmian w statucie, dając podstawę do stworzenia jednolitej organizacji ZNP na Jubileusz 100-lecia ruchu związkowego. Zarząd ZNP na Uniwersytecie Gdańskim w dniu 24 stycznia 2005 r. jednogłośnie podjął uchwałę o przystąpieniu do jednolitej struktury związkowej, a Zarząd Główny ZNP uchwałą z dnia 22 marca 2005 r. postanowił włączyć do swojego Związku Zarządy Uczelniane ZNP będące dotychczas członkami FEDERACJI. Jednocześnie postanowił, że jednym z najważniejszych wydarzeń obchodów Jubileuszu 100-lecia ZNP będzie organizowany w dniach 2-3 czerwca 2005 r. *Kongres Pedago-*

*giczny* pod hasłem: „Edukacja polska w jednoczącej się Europie”, a jego dorobek będzie wydany w wersji książkowej.

W dniu 18-20 listopada 2010 r. odbył się 40. Krajowy Zjazd Delegatów ZNP, na którym wybrano nowe władze związkowe z dotychczasowym prezesem Zarządu Głównego **Sławomirem Broniarzem** na czele. W Zjeździe udział brało 15 delegatów wybranych przez Radę Szkolnictwa Wyższego i Nauki ZNP (w tym niżej podpisany), z których pięciu weszło w skład Zarządu Głównego ZNP, na kadencję 2010-2014 r. Jednym z głównych celów na obecną kadencję jest obrona statusu prawnego i materialnego pracowników oświaty, szkolnictwa wyższego i nauki, emerytów i rencistów; kontynuowanie działań na rzecz ochrony miejsc pracy, nabytych uprawnień i możliwości rozwoju zawodowego, a także podnoszenie skuteczności działania związku oraz umacnianie pozycji ZNP na arenie międzynarodowej. Zjazd dokonał też zmian w statucie związku.

Głównym gościem honorowym Zjazdu był **premier rządu Donald Tusk**, który w swoim wystąpieniu powiedział m.in., że: „ZNP jest twardym, ale odpowiedzialnym i godnym zaufania partnerem” i że „nauczycielskie podwyżki należą do rządowych priorytetów”. Po słowach „trzy-

macie się Waszego związku” otrzymał owacje na stojąco. Od prezesa ZG ZNP premier otrzymał drobny upominek – miniaturę ławeczki szkolnej.

Ławka szkolna, jako jedyny taki pomnik, pojawia się w XIX w. wraz z powszechną szkołą odzwierciedlającą ówczesne popularne poglądy pedagogiczne. Pomnik ławki szkolnej został zaprojektowany przez **rzeźbiarza Wojciecha Gryniowicza**, absolwenta ASP (1975 r.) w Gdańsku. Odświeżenie pomnika i tablicy dokonała prezydent m. st. Warszawy **Hanna Gronkiewicz-Waltz**.

Przed osiemdziesięciu laty wmurowano kamień węgielny pod Dom Nauczyciela na warszawskim Powiślu. Odświeżona tablica upamiętnia architekta **Teodora Burszego** (Bursche) i inż. **Antoniego Kowalskiego**, autorów projektu Domu Nauczycielskiego. Umieszczona **przed gmachem ZNP ławka szkolna** przypomina o nauczycielkach i nauczycielach, którzy organizację budowali i o naszych własnych szkolnych ławkach. Usiądźmy na chwilę... i powspominajmy.

*Jerzy Szymtka*

*Członek Komisji Rewizyjnej Rady Szkol. Wyższ. i Nauki ZNP w Warszawie (2010-2014)*

## Zabytkowe przyrządy naukowe oraz inne unikalne przyrządy znajdujące się na Wydziale Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej

### Część II. Unikalne przyrządy wykorzystywane podczas demonstracji wykładowych z dynamiki bryły sztywnej

#### Wprowadzenie

Nieodzowną częścią wykładów z fizyki są eksperymenty pokazowe. Są one często niezwykle efektowne i na długo pozostają w pamięci studentów. Jeden z moich znajomych, który jest obecnie profesorem w Sztokholmie, opowiadał po latach, jakie wrażenie zrobił na nim eksperyment pokazowy przeprowadzony podczas wykładu przez prof. Piekareg. W eksperymencie tym rurka szklana wykonana ze szkła sodowego i włączona w obwód prądu razem z żarówką i podgrzana do odpowiedniej temperatury prze-

wodziła prąd elektryczny tak, że żarówka zaczęła świecić jasnym blaskiem.

Czasem zdarza się że eksperyment „nie wyjdzie”, co staje się przyczyną uciechy studentów i zakłopotania wykładowcy. Ale, jak mówi stare powiedzenie: jak coś nie działa – to fizyka, jak coś śmierdzi – to chemia, jak coś się rusza – to biologia.

W zbiorach naszej „Pokazówki” tą nazwą określa się pomieszczenia, gdzie przygotowywane są eksperymenty pokazowe do wykładów, zgromadzone są liczne przyrządy, które mogą ułatwić zro-

zumienie trudnych, a nawet paradoksalnych zjawisk.

Do często pokazywanych, zaskakujących eksperymentów należą między innymi eksperymenty z dynamiki bryły sztywnej (precesja koła rowerowego, siły giroskopowe czy bączki japońskie).

Zbiór przyrządów do eksperymentów pokazowych z fizyki zgromadzony w pomieszczeniach „Pokazówki” jest naprawdę imponujący. Pieczętowanie przechowywane są tam przyrządy pamiętające początki Technische Hochschule. Niektóre z nich są ciągle używane. Charak-



Rys. 1. Nils Bohr i Wolfgang Pauli obserwują ruch bączka japońskiego

teryzują się one zadziwiającą funkcjonalnością, estetyką i trwałością. Zbiory „Pokazówki” są cały czas uzupełniane poprzez zakup lub samodzielne wykonywanie zestawów eksperymentalnych przez pracowników naszego wydziału.

#### Unikalne przyrządy wykorzystywane podczas demonstracji wykładowych z dynamiki bryły sztywnej

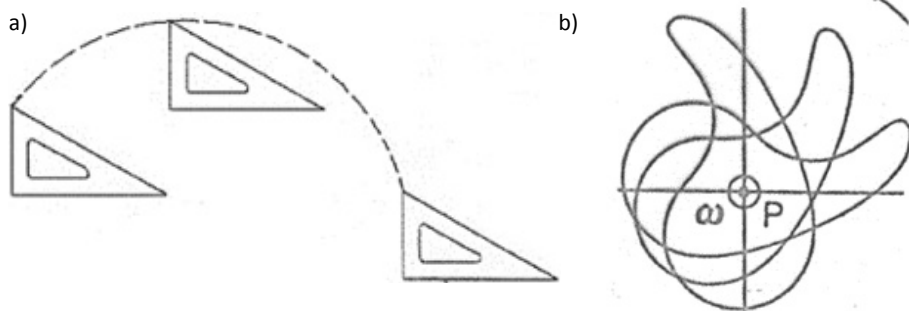
Dynamika bryły sztywnej kryje w sobie liczne paradoksy i może zaskoczyć nawet ludzi obeznanych z fizyką. Na rys.1 widzimy jak Nils Bohr i Wolfgang Pauli obserwują ruch bączka japońskiego. Bączek taki, jak pokazano na bocznym rysunku, wprawiony w ruch obrotowy obraca się początkowo główką w dół, a następnie samorzutnie podnosi się i zaczyna wirować na nóżce. Po minach noblistów wiadać, że eksperyment ten zainteresował

ich, zdumiał i rozbawił, podobnie zresztą jak każdego, kto po raz pierwszy zobaczy taki eksperyment. <http://www.e20.physik.tu-muenchen.de/~cucke>

#### O dynamice bryły sztywnej słów kilka

Bryła sztywna jest to ciało rozciągle, które można traktować jako zbiór punktów materialnych, których odległości nie ulegają zmianie, pod wpływem działania sił.

Wszystkie ruchy, które bryła sztywna może wykonywać, można podzielić na ruchy postępowe i obrotowe. Ruch postępowy bryły sztywnej jest to ruch, w którym wszystkie punkty bryły doznają przesunięć równych, równoległych. Wektory prędkości i przyspieszeń wszystkich punktów są równe, równoległe, a zwroty zgodne.



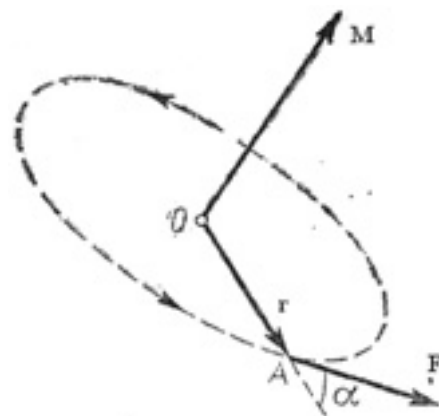
Rys. 2. a) przykład ruchu postępowego. Wszystkie punkty bryły doznają przesunięć równych równoległych. b) Przykład ruchu obrotowego bryły sztywnej wokół osi obrotu. Wszystkie punkty poruszają się po koncentrycznych łukach okręgów o wspólnym środku.

W ruchu obrotowym bryły sztywnej, który zachodzi wokół jakiejś osi, wszystkie punkty bryły poruszają się po koncentrycznych łukach okręgu o wspólnym środku (rys. 2.b). Ich prędkości kątowe  $\omega$  są równe, a prędkości liniowe  $v$  zależne są od odległości od osi obrotu  $r$  zgodnie z relacją:  $v = \omega \cdot r$ . Aby bryła zaczęła poruszać się ruchem obrotowym, musi na nią zadziałać moment siły. Moment siły  $M$  jest to wielkość zależna zarówno od wartości siły  $F$ , odległości punktu jej przyłożenia od osi obrotu  $r$  oraz kąta  $\alpha$ , jaki tworzy kierunek siły z kierunkiem odcinka  $r$ . Możemy to wyrazić wzorem:  $M = F \cdot r \cdot \sin\alpha$ . Moment siły jest wektorem prostopadłym do płaszczyzny obrotu bryły, a zwrot jego jest określony regułą śruby prawej. Można go wyrazić przy pomocy iloczynu wektorowego: wektora  $\vec{r}$  skierowanego od osi obrotu bryły, do punktu przyłożenia siły i wektora siły  $\vec{F}$ :

$$\vec{M} = \vec{r} \times \vec{F}$$

Zależność ta została przedstawiona na rys. 3.

Drugą wielkością, mającą decydujący wpływ na ruch obrotowy bryły sztywnej jest jej moment bezwładności  $I$ . Zależy on od masy i rozmieszczenia jej wewnątrz bryły. Im masa rozmieszczona jest dalej od osi obrotu, tym moment



Rys. 3 Moment siły jest wektorem prostopadłym do płaszczyzny obrotu bryły i określony wzorem:  $\vec{M} = \vec{r} \times \vec{F}$

bezwładności bryły jest większy.

Moment bezwładności  $I$  bryły względem danej osi obrotu definiujemy jako sumę iloczynów mas poszczególnych punktów bryły i kwadratów ich odległości od osi obrotu.

$$I = m_1 \cdot r_1^2 + m_2 \cdot r_2^2 + m_3 \cdot r_3^2 + \dots$$

$$+ m_n \cdot r_n^2 = \sum_{i=1}^n m_i \cdot r_i^2$$

Między wielkościami fizycznymi, charakteryzującymi ruch postępowy bryły sztywnej, które są nam intuicyjnie bliskie, a wielkościami wprowadzonymi do opisu ruchu obrotowego bryły sztywnej występują duże analogie. Tak np. w ruchu postępowym do opisanego ciała o masie  $m$  poruszającego się z prędkością  $\vec{v}$  wprowadza się wielkość wektorową zwaną pędem  $\vec{p}$  określoną równaniem:

$$\vec{p} = m \cdot \vec{v}$$

Natomiast analogiczną wielkością w ruchu obrotowym jest wielkość zwaną momentem pędu albo krętem  $\vec{L}$ . Moment pędu jest wektorem skierowanym prostopadle do płaszczyzny obrotu bryły i zdefiniowanym wzorem:

$$\vec{L} = I \cdot \vec{\omega}$$

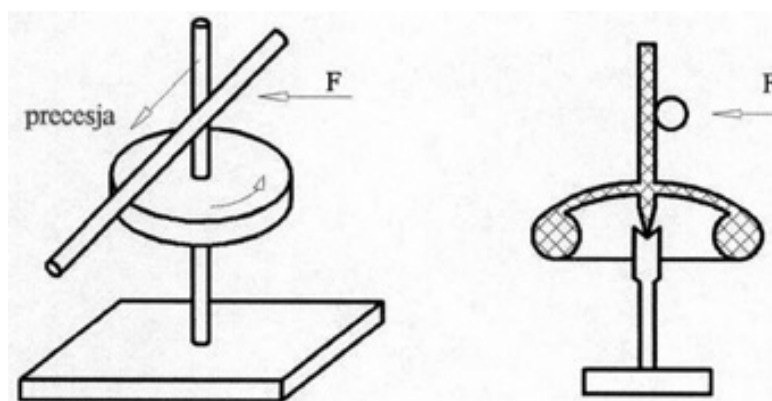
Porównanie wielkości fizycznych i wyrażań opisujących ruch postępowy i ruch obrotowy bryły sztywnej

**BAKI I GIROSKOPY**

Podstawowe równanie dynamiki bryły sztywnej:

$$\vec{M} = \frac{\Delta \vec{L}}{\Delta t} = 0$$

mówiące że gdy moment sił zewnętrznych  $M$  działających na bryłę sztywną równa się zero, to kręt bryły  $L$  równy ilo-



Rys. 4.a) i b). Przyłożenie siły zewnętrznej  $F$  do wirującego bąka powoduje, że oś jego przesunie się nie w kierunku siły, lecz w kierunku prostopadłym do niej.

Źródło: J.Liwo, B. Porala „Materiały pomocnicze z fizyki” II Mechanika

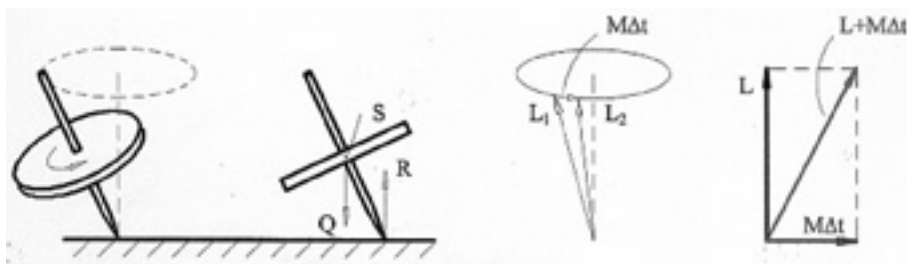


Rys. 5. Zdjęcia bąka przedstawionego na rys. 4b

Fot. Krzysztof Krzempek

Tabela 1.

Ruch postępowy		Ruch obrotowy	
droga liniowa	$s$	droga kątowna	$\varphi$
prędkość liniowa	$v = \frac{\Delta s}{\Delta t}$	prędkość kątowna	$\omega = \frac{\Delta \varphi}{\Delta t}$
przyśpieszenie liniowe	$a = \frac{\Delta v}{\Delta t}$	przyśpieszenie kątowne	$\varepsilon = \frac{\Delta \omega}{\Delta t}$
masa	$m$	moment bezwładności	$I$
pęd	$\vec{p} = m \cdot \vec{v}$	moment pędu	$\vec{L} = I \cdot \vec{\omega}$
siła	$\vec{F}$	moment siły	$\vec{M}$
<b>II zasada dynamiki</b>	$\vec{F} = m \cdot \vec{a} = m \cdot \frac{\Delta \vec{v}}{\Delta t} = \frac{\Delta(m \cdot \vec{v})}{\Delta t} = \frac{\Delta \vec{p}}{\Delta t}$	<b>II zasada dynamiki</b>	$\vec{M} = I \cdot \vec{\varepsilon} = I \cdot \frac{\Delta \vec{\omega}}{\Delta t} = \frac{\Delta(I \cdot \vec{\omega})}{\Delta t} = \frac{\Delta \vec{L}}{\Delta t}$
<b>prawo zachowania pędu</b> gdy: $\vec{F} = 0$ , to $\vec{p} = const$ Gdy suma sił zewnętrznych działających na układ ciał równa jest zero, to pęd całkowity układu jest stały.		<b>prawo zachowania momentu pędu</b> gdy: $\vec{M} = 0$ , to $\vec{L} = const$ Gdy suma momentów sił zewnętrznych działających na układ ciał równa jest zero, to całkowity moment pędu układu jest stały.	
<b>energia kinetyczna</b>	$E_k = \frac{m \cdot v^2}{2}$	<b>energia kinetyczna</b>	$E_k = \frac{I \cdot \omega^2}{2}$



Rys. 6. Pod wpływem momentu siły ciężkości oś bąka porusza się po powierzchni poboczniczy stożka. W każdym punkcie do wektora momentu pędu bąka w chwili  $t$ ,  $\vec{L}_1 = \vec{L}(t)$  dodaje się wektor przyrostu momentu pędu  $\Delta\vec{L} = \vec{M} \cdot \Delta t$ , dając wektor momentu pędu w chwili późniejszej,  $t + \Delta t$ ,  $\vec{L}_2 = \vec{L}(t + \Delta t)$ .

Zaczerpnięto z J. Liwo, B. Porala, „Materiały pomocnicze z fizyki” II Mechanika.

czynowi momentu bezwładności  $I$  i prędkości kątowej  $\omega$  jest wielkością stałą:

$\vec{L} = I \cdot \vec{\omega} = \text{const}$  można zaprezentować przy pomocy specjalnego bąka pokazanego na rys. 4b. Środek masy tego bąka znajduje się w punkcie podparcia. W związku z tym, zarówno nieruchomy, jak i wirujący bąk ustawiony pod dowolnym kątem do pionu będzie trwał w tej pozycji. Gdy do niewirującego bąka przyłożymy siłę, to jego oś przesunie się zgodnie z oczekiwaniami w kierunku działania siły.

Jeżeli jednak wprawimy bąk w ruch obrotowy dookoła jego własnej osi, to wtedy pod działaniem siły oś bąka przesunie się nie w kierunku działania siły, lecz w kierunku prostopadłym do niej. Wynika to z omówionego powyżej związku między momentem siły, a krętem. Zależność tą możemy wyrazić wzorem:

$$\vec{M} = \frac{\Delta\vec{L}}{\Delta t} \rightarrow \Delta\vec{L} = \vec{M} \cdot \Delta t.$$



Rys. 7. Bąk wykonujący ruch precesyjny umieszczony na smukłej podstawie.

Fot. Krzysztof Krzempek

Z wzoru tego wynika że kierunek zmiany krętu  $\Delta\vec{L}$  ma kierunek i zwrot momentu siły, który jak wiadomo jest prostopadły do kierunku działania siły.

Kręt po czasie  $\Delta t$ :  $\vec{L}(t + \Delta t) = \vec{L}(t) + \Delta\vec{L}$ . W przypadku zwykłego bąka zachodzi podobna zależność, lecz wtedy, oprócz momentu siły, występuje dodatkowo stały moment siły ciężkości, który zaciemnia nieco opis tego efektu. Właśnie ta wektorowa zależność między momentem siły a krętem jest przyczyną takich efektów jak ruch precesyjny bąka czy występowanie sił giroskopowych. Niezrównoważony moment sił działający na wirującego bąka, np. moment siły ciężkości, powoduje ruch precesyjny bąka, który polega na poruszaniu się osi bąka po poboczniczy stożka (rys.6).

Na rys.7 pokazany jest bąk umieszczony na smukłej podstawie podkreślającej jego niezwykłą stabilność. Wykonując ruch precesyjny, bąk nie spada, gdy jednak nie kręci się, to na skutek momentu siły ciężkości, natychmiast się przewraca.

Giroskopem nazywamy bąk, którego oś może obracać się dookoła dwóch innych prostopadłych osi. Jest to tzw. zawieszenie Cardana. Jedną z wersji giroskopu, zwana wagą giroskopową pokazana jest na rys. 8. Przy pomocy tego urządzenia można w sposób bardzo poglądowy wyjaśnić zarówno efekt precesji, jak i efekt giroskopowy, które to efekty są względem siebie odwrotne. W urządzeniu tym wirujący bączek zamocowany jest na jednym końcu dźwigni, a na drugim końcu znajduje się przesuwany ciężarek. Gdy dźwignia jest w równowadze, nie obserwuje się żadnego efektu. Jeżeli jednak zaburzymy równowagę układu przez dołączenie dodatkowego ciężarka lub tylko przez nieznaczne przesunięcie ciężarka,

wtedy niezrównoważony moment sił będzie powodował ruch obrotowy dźwigni wokół osi pionowej czyli ruch precesyjny bąka.

Efekt giroskopowy wystąpi wtedy, gdy zrównoważoną dźwignię będziemy obracać w płaszczyźnie poziomej, czyli gdy wirujący bączek będzie doznawał wymuszonego obrotu. Pojawi się wtedy para sił zwanych siłami giroskopowymi starająca się ustawić oś bączka w kierunku osi wymuszonego obrotu. Ponieważ konstruk-



Rys. 8. Waga giroskopowa

Fot. Krzysztof Krzempek



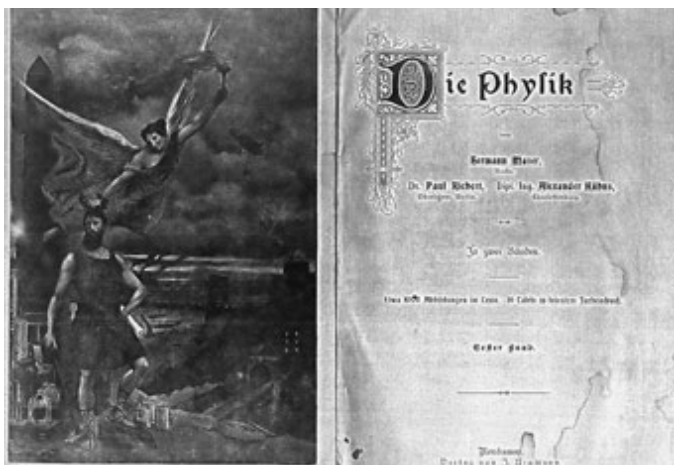
Rys. 9. Wahadło giroskopowe

Fot. Jerzy Kulas

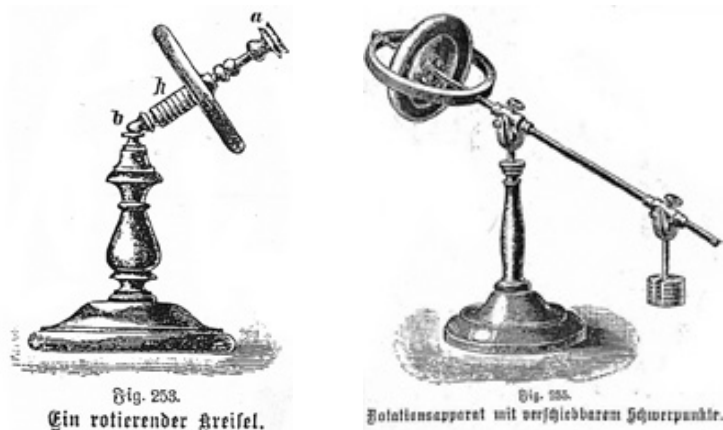
cja wagi giroskopowej umożliwiła ruch w tym kierunku, więc dźwignia wraz z bączkiem będzie poruszała się w płaszczyźnie wertykalnej i będzie starała się ustawić w kierunku osi wymuszonego obrotu.

Efekt giroskopowy odpowiedzialny jest również za niezwykle zachowanie tzw. wahadła giroskopowego pokazanego na rys. 9. Gdy bączek wahadła nie wiruje, wahadło to zachowuje się jak zwykłe wahadło fizyczne. Natomiast, gdy





Rys. 10. Podręcznik „Die Physik” autorstwa H. Masera, P. Richerta i A. Kuhnsa z końca XIX wieku.



Rys. 11. Rysunki rotującego bąka oraz wagi giroskopowej pochodzące z pokazanego powyżej podręcznika *Die Physik* autorstwa H. Masera i innych.

bączek wahadła wprowadzimy w ruch obrotowy to, wracając ku położeniu równowagi bączek, a wraz z nim dzwigenka, na której jest zamocowany, dozna działania sił giroskopowych i zostanie odchyłony w kierunku prostopadłym do pierwotnego ruchu.

Przeglądając podręcznik „Mechanika Ogólna” Arkadiusza Piekary, stwierdzimy, że na zamieszczonych w nim zdjęciach, pokazane są przyrządy znajdujące się w naszych zbiorach. Nie jest to przypadek. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych prof. Piekara był kierownikiem I katedry fizyki i, pracując tu, przygotowywał ten podręcznik.

Rysunki omawianych w pracy przyrządów można znaleźć też w podręczniku „Die Physik” autorstwa H. Masera, P. Richerta i A. Kuhnsa z końca XIX wieku (rys. 10). Przedstawione są one na rys. 11.

W kolejnych artykułach przedstawione zostaną unikalne przyrządy wykorzystywane podczas demonstracji wykładowych z innych działów fizyki.

Andrzej Kuczkowski  
Wydział Fizyki Technicznej  
i Matematyki Stosowanej

## Cztery algorytmy, które wstrząsnęły światem.

### Część III: Sprzęt czy oprogramowanie

W trzeciej i ostatniej części cyklu poruszymy problem przyjaznego rysowania grafów czyli rysunków, które pojawiają się na ekranach każdego bodaj komputera oraz zaprezentujemy algorytmy dla szybkiego mnożenia macierzy, a więc problemu który pojawia się bodaj w każdej nauce inżynierskiej. Nasze rozważania zakończymy ilustracją postępu, jaki dokonał się w dziedzinie sprzętu i oprogramowania.

#### 1. Problem spłaszczania grafu

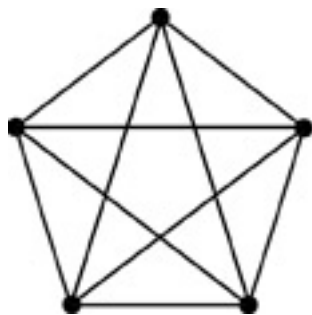
Pierwszym problemem, który wybraлиśmy do szerszego omówienia, jest tzw. problem spłaszczania grafu, czyli rysowania grafu na płaszczyźnie (np. ekranu monitora). Pod pojęciem grafu rozumiemy tutaj strukturę złożoną z wierzchoł-

ków (punktów) i krawędzi (linii) jak na rysunkach 1 i 2. Jest kilka powodów, dla których naszą analizę zaczynamy od tego zagadnienia algorytmicznego. Po pierwsze, grafy są podstawową strukturą danych w informatyce (również w chemii, biologii itd.), często pojawiającą się jako ilustracja relacji zachodzących między obiektami. Po drugie, postęp w dziedzinie testowania planarności grafu dobrze ilustruje postęp, jaki dokonał się w informatyce na przestrzeni ostatnich dekad. Po trzecie, pierwszy poważny wynik w tej dziedzinie związany jest z nazwiskiem polskiego uczonego Kazimierza Kuratowskiego.

Ogólnie, istnieją dwa zasadnicze problemy dotyczące komputerowego reprezentowania grafów:

- graficzna reprezentacja grafów na ekranie komputera,
- cyfrowa reprezentacja grafów w pamięci komputera.

Problem pierwszy sprowadza się do zagadnienia umieszczania grafów na płaszczyźnie. Wymaga on przyjęcia pewnej estetyki, tzn. kryterium elegancji rysunku. Kryteria takie mają charakter heurystyczny, gdyż dla jednego użytkownika może to być brak przecięć krawędzi, a dla innego ich prostoliniowość. Dobór estetyk jest przedmiotem osobistych preferencji, tradycji i kultury. Jak wiadomo, całkowite wyeliminowanie przecięć jest możliwe jedynie wtedy, gdy graf jest planarny, czyli daje się narysować na płaszczyźnie bez przecinania krawędzi.



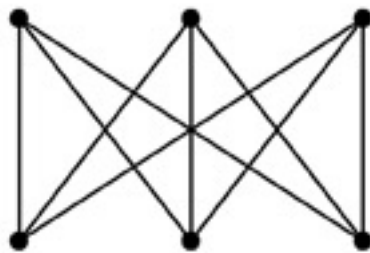
Rys. 1. Grafy Kuratowskiego  $K_5$  i  $K_{3,3}$  (oznaczone też żartobliwie  $K_5$ azimierz  $K_{3,3}$ uratowski). Są to najmniejsze grafy nieplanarne.

Na początku XX wieku matematyków interesowała odpowiedź na pytanie: jakie są warunki konieczne i wystarczające do tego, aby graf był planarny. Problem ten w roku 1930 rozwiązał Kuratowski, udowadniając, że graf jest planarny wtedy i tylko wtedy, gdy nie zawiera podgrafu homeomorficznego z  $K_5$  i  $K_{3,3}$  (patrz rys. 1).

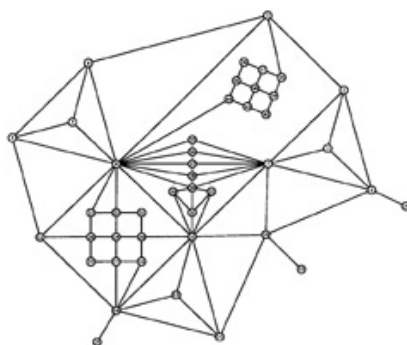
Przez wiele lat twierdzenie Kuratowskiego było najczęściej cytowanym wynikiem w teorii grafów. Jest to o tyle ważne, że wynik ten był przywoływany jako twierdzenie Kuratowskiego-Pontriagina, zwłaszcza w literaturze rosyjskiej. To drugie nazwisko wzięło się stąd, że po wysłaniu swej pracy do druku, Kuratowski dowiedział się, że do podobnego wyniku doszedł również matematyk rosyjski. Dlatego też umieścił notkę o tym w swym artykule. Dalsze badania spuścizny Pontriagina nie wskazywały jednak na to, by zajmował się on problemem spłaszczenia grafu. Nieuprawnione wiązanie Pontriagina z oryginalnym wynikiem Kuratowskiego bulwersuje matematyków do dzisiaj.

Oczywiście, prawie 100 lat temu Kuratowski nie zajmował się algorytmami. Tym niemniej, z jego konstruktywnego dowodu można wywieść pewien algorytm testowania planarności grafu o złożoności  $n^6$ . Obecnie, w efekcie pracy Johna Hopcrofta i Roberta Tarjana z roku 1974, potrafimy zaprogramować komputery, tak by rysowały grafy planarne w sposób wydobywający wszystkie symetrie w nich zawarte w czasie wprost proporcjonalnym do ich rozmiaru, tj. w czasie liniowym (patrz rys. 2). W praktyce oznacza to, że taki rysunek otrzymujemy prawie natychmiast.

Na zakończenie tych rozważań odnotujmy jako ciekawostkę fakt, że od roku 1994 odbywają się ogólnoswiatowe zawody w automatycznym rysowaniu grafów. Odbywają się one zwykle w pięciu



zmieniających się z roku na rok kategoriach. W pierwszej połowie roku ogłaszane są w Internecie grafy w postaci zaktualizowanej, w drugiej zaś, po nadejściu rozwiązań, w ramach konferencji *Graph Drawing*, kilkuosobowe jury typuje zwycięzców (są nimi twórcy programów komputerowych), kierując się subiektywnym odczuciem piękna. Dla przykładu, w roku 1994 pierwsze miejsce zajął obraz pokazany na rysunku 2.



Rys. 2. Zwycięzca z roku 1994 w kategorii grafów planarnych

## 2. Szybkie mnożenie macierzy

Ostatnim problemem, który wybraliśmy do szerszego zaprezentowania, jest mnożenie macierzy. Wybór ten, podobnie jak wcześniejsze, podyktowany został licznymi zastosowaniami algebry liniowej we wszystkich chyba dziedzinach nauk ścisłych i ekonomicznych. W szczególności każdy postęp w dziedzinie szybkiego mnożenia macierzy oznacza automatycznie postęp w szybkim rozwiązywaniu układu równań liniowych, odwracaniu macierzy, potęgowaniu macierzy, obliczaniu wyznacznika itp.

Gdy musimy wymnożyć dwie macierze  $A$  i  $B$  rozmiaru  $n \times n$ , wszyscy wiemy, jak to zrobić. Po prostu stosujemy wzór

$$c_{ij} = \sum_{k=1}^n a_k b_k$$

dla obliczenia elementu stojącego na przecięciu  $i$ -tego wiersza i  $j$ -tej kolumny macierzy wynikowej  $C$ . Łatwo zaobserwować, że aby pomnożyć dwie macierze kwadratowe musimy wykonać  $n^3$  działań. Jeśli  $n$  jest potęgą liczby 2, można to też uczynić rekurencyjnie, mianowicie

$$\begin{bmatrix} A_1 & A_2 \\ A_2 & A_2 \end{bmatrix} \cdot \begin{bmatrix} B_1 & B_2 \\ B_2 & B_2 \end{bmatrix} = \begin{bmatrix} C_1 & C_2 \\ C_2 & C_2 \end{bmatrix}$$

gdzie

$$\begin{aligned} C_{11} &= A_{11} \cdot B_{11} + A_{12} \cdot B_{21} \\ C_{12} &= A_{11} \cdot B_{12} + A_{12} \cdot B_{22} \\ C_{21} &= A_{21} \cdot B_{11} + A_{22} \cdot B_{21} \\ C_{22} &= A_{21} \cdot B_{12} + A_{22} \cdot B_{22} \end{aligned}$$

czyli w wyniku 8 mnożeń i 4 dodawań podmacierzy o rozmiarach  $n/2 \times n/2$ . Jednakże takie podejście nie zmniejsza złożoności obliczeniowej mnożenia macierzy. Niespodziewanie, w roku 1969 matematyk niemiecki Volker Strassen podał metodę mnożenia macierzy  $2 \times 2$  za pomocą jedynie 7 mnożeń. Polegała ona na uprzednim obliczeniu 7 podmacierzy pomocniczych, mianowicie

$$\begin{aligned} P_1 &= A_{11} \cdot (B_{12} - B_{22}) \\ P_2 &= (A_{11} + A_{12}) \cdot B_{22} \\ P_3 &= (A_{21} + A_{22}) \cdot B_{11} \\ P_4 &= A_{22} \cdot (B_{21} - B_{11}) \\ P_5 &= (A_{11} + A_{22}) \cdot (B_{11} + B_{22}) \\ P_6 &= (A_{12} - A_{22}) \cdot (B_{21} + B_{22}) \\ P_7 &= (A_{11} - A_{21}) \cdot (B_{11} + B_{12}) \end{aligned}$$

aby następnie przystąpić do budowania macierzy wynikowej według wzoru

$$\begin{bmatrix} C_1 & C_2 \\ C_2 & C_2 \end{bmatrix} = \begin{bmatrix} P_4 + P_5 + P_6 - P_2 & P_1 + P_2 \\ P_3 + P_4 & P_1 + P_5 - P_3 - P_7 \end{bmatrix}$$

Zatem metoda Strassena wymaga 7 mnożeń i 18 dodawań/odejmowań. Asymptotycznie, złożoność obliczeniowa metody Strassena jest rzędu  $n^{2.81}$ . Dzisiaj znamy wiele sposobów mnożenia macierzy  $2 \times 2$  za pomocą 7 mnożeń i różnej liczby dodawań/odejmowań i nie znamy żadnej metody wymagającej 6 mnożeń. Co więcej, wiadomo, że żadna taka metoda nie istnieje.

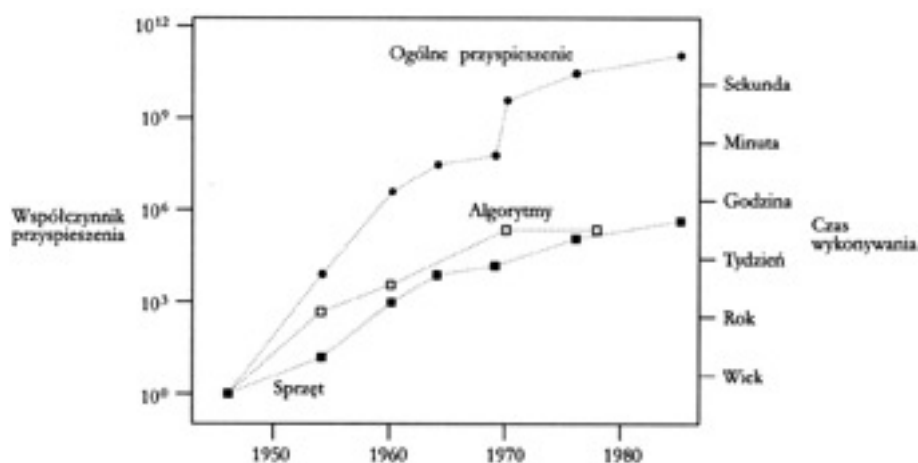
Pomysł Strassena zainspirował informatyków do poszukiwania jeszcze bardziej wydajnych algorytmów. Rekord pobity został jednakże dopiero w roku 1978, kiedy to Wiktor Pan z USA opublikował artykuł pod znamienym tytułem „Algorytm Strassena nie jest optymalny”, który był parafrazą tytułu oryginalnego artykułu Strassena. Jego algorytm miał

złożoność rzędu  $n^{2.80}$ . W tym momencie rozpoczął się 12-letni okres żywiłowego rozwoju algorytmów mnożenia macierzy, polegający na łączeniu rozmaitych podejść do problemu. Postęp ten, który był udziałem wielu badaczy, doprowadził do obniżenia wykładnika potęgi do poziomu poniżej 2,5. Ostatnie słowo, jak dotychczas, w dziedzinie szybkiego mnożenia macierzy powiedzieli uczeni amerykańscy Don Coppersmith i Shumel Winograd, którzy w roku 1990 opublikowali algorytm wymagający jedynie  $n^{2.376}$  działań. Niestety, wynik ten jest czysto teoretyczny, gdyż przewaga tej metody ujawnia się dopiero przy macierzach zbyt dużych jak na możliwości współczesnych komputerów.

Jaka jest zatem złożoność obliczeniowa problemu mnożenia macierzy? Nie wiemy. Jest ona z dołu szacowana w oczywisty sposób liczbą  $2n^2$ , ponieważ tyle jest elementów macierzy  $A$  i  $B$ . Ostat-

nio pokazano, że oszacowanie to można podnieść do  $n^2 \log n$  przy pewnych założeniach dodatkowych. Jest więc ogromna luka pomiędzy tym oszacowaniem a złożonością algorytmu Coppersmitha i Winograda. Czy możemy zatem szybciej mnożyć macierze? Tak, jeśli spełniają one pewne założenia dodatkowe, np. są zerowyjedynekowe lub są rozrzedzone (zawierają dużo zer).

Na zakończenie tych rozważań zauważmy, że jeżeli wymiary macierzy  $A$  i  $B$  nie są potęgami liczby 2, to możemy je rozszerzyć do wymiarów najmniejszej potęgi liczby 2, uzupełniając je zerowymi wierszami lub kolumnami. Jeśli zaś takie posunięcie nie jest opłacalne z uwagi na niewielkie rozmiary macierzy, to macierze i podmacierze możemy dzielić na ćwiartki dopóty, dopóki ich wymiary są liczbami parzystymi, a następnie zastoso-



Rys. 3. Ilustracja postępu w dziedzinie sprzętu i oprogramowania.

### 3. Uwagi końcowe

Faktem jest, że w miarę rozwoju komputerów i postępów algorytmiki, potrafimy rozwiązywać coraz więcej trudnych problemów obliczeniowych. Czytelnik może zadać pytanie, jaki jest w tym udział sprzętu, a jaki oprogramowania? Aby porównać przyspieszenie sprzętu i oprogramowania, rozważmy rozwiązanie gładkiego problemu równania różniczkowego Poissona dla  $n = 64$ , pokazane na rys. 3. Abstrahujemy od tego, na czym polega ten problem, gdyż nie jest to tutaj istotne. Dolna krzywa na tym wykresie ilustruje ulepszenia sprzętu na podstawie czasu wykonywania algorytmu w 1945 roku przy użyciu różnego rodzaju maszyn. Na krzywej środkowej jest zaznaczony czas wykonywania różnych algorytmów za pomocą sprzętu z 1947 roku. Górna krzywa odpowiada łącznemu przyspieszeniu.

Widzimy, że przyspieszenie algorytmiczne wynosi ćwierć miliona razy w okresie 30 lat, zaś przyspieszenie sprzętu wynosi pół miliona w okresie 40 lat. Każde z tych przyspieszeń samo w sobie zmniejsza czas obliczeń ze stuleci do godzin. Łącznie zwielfokrotniają się tak, iż czas wykonywania odpowiedniego programu jest krótszy niż sekunda. Mówiąc ogólnie, najlepszym sposobem przyspieszania pracy komputerów jest obarczanie ich mniejszą liczbą działań do wykonania.

Marek Kubale  
Wydział Elektroniki, Telekomunikacji  
i Informatyki

## Wycieczka do rezerwatu przyrody „Zamkowa Góra”

**R**ezerwat przyrody „Zamkowa Góra” jest położony około 20 km na zachód od Gdańska, w pobliżu stolicy Kaszub – Kartuz (patrz mapka). Kiedy pierwszy raz odwiedziłem ten urokliwy zakątek Kaszubskiego Parku Krajobrazowego, kompletnie osłupiałem (osłupiały, czyli zbaraniały Borsuk..., hm – musiało to wyglądać interesująco!). Otóż zobaczyłem nareszcie skupienie starych, dorodnych, przepięknych buków, z których niektóre okazy osiągnęły wiek prawie 300 lat. W Lasach Oliwskich,

które najczęściej wizytuję, drzewa tego gatunku nim się naprawdę „zestarzeją”, są bezwzględnie usuwane i zastępowane przez młode pokolenie – wiadomo, jest to las gospodarczy, intensywnie eksploatowany mimo jego położenia na terenie Gdańska oraz Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego. Ten stan mojego zaskoczenia nie trwał zbyt długo, bowiem zastąpiła go przeogromna ciekawość: co też oryginalnego tu rośnie. Podświadomie wyczuwałem, że penetracja rezerwatu może spr-

wić niejedną przyrodniczą niespodziankę.

Rezerwat „Zamkowa Góra” zajmuje powierzchnię prawie 9 ha na zboczach i wierzchołkach moreny czołowej, która wznosi się na wysokość ponad 280 m n.p.m. W drzewostanach dominuje buk pospolity tworzący dwa zbiorowiska leśne: kwaśną buczynę niżową (*Luzulo pilosae-Fagetum*) oraz żyzną buczynę niżową (*Galio odorati-Fagetum*). Wyjaśnienie dla osób niezorientowanych w fitosocjologii. Otóż nazwa pierwszego zbiorowiska wywodzi się od typowej dla niego rośliny (edyfikatora) – kosmatki owłosionej (*Luzula pilosa*), zaś nazwa drugiego zbiorowiska nawiązuje do rosnącej w nim przytulii wonnej (*Galium odoratum*); w starszych opracowaniach gatunek ten występował



Położenie rezerwatu przyrody „Zamkowa Góra” (Kaszubski Park Krajobrazowy)

pod nazwą marzanka wonna (*Asperula odorata*). Oczywiście człon drugi w obu nazwach zbiorowisk wywodzi się od łacińskiej nazwy panującego buka zwyczajnego – *Fagus sylvatica*. W drzewostanach jako domieszka występują dąb szypułkowy oraz sosna zwyczajna.

Z ustawionej przez Nadleśnictwo Kartuszy tablicy informacyjnej można dowiedzieć się o obecności kilku interesujących roślin, spośród 365 gatunków flory odnotowanych tutaj przez botaników. Warto zatem wspomnieć o wymienianej już przytulii wonnej, kostrzewie leśnej (*Festuca altissima*), perlówce jednokwiatowej (*Melica uniflora*), paproci zachyłce oszczepowatej (*Phegopteris connectilis*), chronionym częściowo bluszczu pospolitym (*Hedera helix*) oraz żywcu cebulkowym (*Dentaria bulbosa*).

Jednak największym przyrodniczym bogactwem rezerwatu są powalone, murszejące drzewa oraz ich stojące tzw. złomy. Stanowią one podłoża rozwoju szeregu cennych gatunków grzybów wielkoowocnikowych, śluzowców, owadów drewno- i próchnożernych. Razem z moimi towarzyszami wycieczki – Mirką i Mirkiem Wantochami-Rekowskimi – sporządziliśmy listę napotkanych gatunków grzybów wielkoowocnikowych. Były to także saproksylobionty (gatunki występujące na martwym drewnie). Wstępne badania – przeprowadzone 6-krotnie – wykazały obecność 89 gatunków macromycetes. Wśród znalezionych grzybów dwa gatunki znajdują się pod ochroną ścisłą: **soplówka bukowa** (*Hericium coralloides*) oraz **szyszkowiec łuskowaty** (*Strobilomyces strobilaceus*). Kto zobaczył

w pełni rozwinięty owocnik soplówki, ten na pewno zapamięta ów widok na całe życie – to niezwykle „koronkowe dzieło” natury! Prawdziwe чудо! Widać to na zamieszczonym zdjęciu. Soplówka bukowa jest grzybem pojawiającym się przede wszystkim na drewnie buka pospolitego, zwykle w parkach narodowych i rezerwach przyrody. Sporadycznie można ją napotkać także w lasach gospodarczych, w których pozostawiono sporo tzw. posuszu. Gatunek został wpisany na czerwona listę makrogrzybów i umieszczony w kategorii „narażony” – V (vulnerable). Drugi wymieniony gatunek grzyba – szyszkowiec łuskowaty, współżyjący głównie z bukiem (mikoryza), ma wygląd dość ponury, ro-



Czyreń bukowy (*Phellinus nigricans*)  
Fot. Marcin Wilga



Soplówka bukowa (*Hericium coralloides*)  
Fot. Marcin Wilga

biąc wrażenie jakby był „obszarpany”. I on też znalazł się na wspomnianej liście, w kategorii „rzadki” – R (rare).

Inną rzadkością jest znaleziony tuż poza rezerwatem **czyreń bukowy** (*Phellinus nigricans*), rosnący na bukowej ściętej kłodzie. Gatunek ten podawany jest m.in. z polskich gór: Gorców, Tatr i Bieszczadów. Według najnowszych poglądów, na drewnie buka występuje czyreń jabłoniowo-olszowy *P. alni*. Największym zaskoczeniem było jednak napotkanie **kruchaweczki plamistej** (*Psathyrella maculata*). Ten bardzo rzadki grzyb do tej pory miał tylko jedno krajowe notowanie w Puszczy Białowieskiej i nie został wymieniony w wykazie z 2003 r., obejmującym grzyby podstawkowe (Basidiomycota) występujące na obszarze Polski.

Trudnym do zauważenia był przedstawiciel grzybów workowych (Ascomycota), rosnący na opadłej bukowej gałązce – **Capitotricha bicolor**. Owocniki prezentują się przepięknie przy dużym powiększeniu, co widać na fotografii; w naturze mają tylko około 2-3 mm średnicy.

Ponieważ we wstępie wspomniałem o śluzowcach, poniżej dla porządku wymienię kilka gatunków znalezionych na zmurzałym drewnie; są to m.in. **rulik grojniasty** (*Lycogala epidendrum*), **kędziorki – różnokształtny** (*Trichia varia*) i **mylny** (*T. decipiens*) oraz **wykwit gładkościenny** (*Fuligo leviderma*).

Na koniec wyjaśnienie, skąd wzięła się nazwa tego cennego obiektu. Otóż według lokalnej legendy, na szczycie wzniesienia stał kiedyś zamek, który zapadł się pod ziemię za sprawą złych mocy. Natomiast naukowcy odkryli tu stanowisko archeologiczne z okresu wczesnego średniowiecza. Czyli w każdej legendzie może tkwić odrobina prawdy.

\*\*\*

Nasze badania grzybów wielkoowocnikowych w rezerwacie przyrody „Zamkowa Góra” są prowadzone za wiedzą nowo powołanej Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Gdańsku. Aby otrzymać pozwolenie, musieliśmy złożyć referencje otrzymane od dr Anny Kujawy, profesjonalnego mikologa (naszego opiekuna) oraz uiścić opłatę w wysokości 82 złotych. Podsumowaniem badań jest publikacja o tych organizmach w „Przeglądzie Przyrodniczym”, będącym recenzowanym kwartalnikiem naukowym wydawanym przez Klub Przyrodników.

Marcin S. Wilga – „Borsuk”  
Wydział Mechaniczny



## Estetyka niekontrolowana czyli kontrowersje i nowe odczytania

**W**szystkie elementy niniejszego komentarza zbudowane są z przekonania autorki, iż Estetyka stanowi integralną dyscyplinę projektanckiej teorii XXI wieku!

Teorie i manifesty architektów i artystów stanowią swoiste „forpocztę”, torując artystycznej praktyce drogę; są nie tylko wcześniejsze, ale często bardziej radykalne – i to wydaje się bezdyskusyjne...

Suzanne Stephens, badaczka teorii estetycznych współczesności, zwraca uwagę na niezdrowe zjawisko izolacji treściowej języka estetyków wynikającej z używanego przez krytyków języka. Dzieje się tak dlatego, że na razie jeszcze krytycyzm teoretyczny jest domeną naukowców, którzy śledzą filozoficzne kwestie i odnoszą je do architektury, używając abstrakcyjnego języka – treść jest trudno dostępna dla odbiorców. Z tego bierze się niemożliwość odczytania stanu wiedzy o roli teorii w teorii estetycznej...

Wydaje się obecnie, że panujący powszechnie pogląd o wstecznej roli estetycznych teorii – opiera się na nieporozumieniu!!!

W przeszłości Estetyka, jako element filozofii, odgrywała nieraz rolę konserwatywną, dlatego że usiłowała ustanowić obowiązujące sztukę zasady i normy.

Z takich właśnie doświadczeń dalszej i bliższej przeszłości wywodzi się nieufność wobec wszelkich teorii estetycznych.

Studia nad historią sztuki czy historią estetyki wskazują na pewną prawidłowość: stagnacji towarzyszy konfrontacja, powstawanie norm i przepisów (np. akademizm francuski, pierwowzór akademizmu rozumianego jako instytucjonalny, apodyktyczny – jest wspólnym dziełem teoretyków i artystów).

Nowopowstające kierunki artystyczne nie są w stanie obywać się bez teorii także w okresie swego powstawania. W takim przypadku teorie stanowią forpocztę, torując artystycznej praktyce drogę.

Wiodąca rola teorii wobec kielkujących formacji artystycznych manifestuje się niezależnie od historycznej epoki, stylu i dziedziny sztuki. Dotyczy to także architektury nowoczesnej i jej nowatorów – dla przykładu dyrektywy nowatorów architektury nowoczesnej z ubiegłego wieku – arch. L. Sullivana i A. Loosa były wcześniejsze i bardziej radykalne niż ich architektoniczne realizacje!

Dziś – niestety – estetycy sami ograniczają zakres własnego działania, ponieważ utrzymują, że „ze sztuki wynika coś dla teorii” nie bezpośrednio, a pośrednio... Czekają więc na „pomocną dłoń” krytyka sztuki na odczytanie przesłania, jakie niesie nowopowstałe dzieło sztuki! Z twórczości awangardy można dopiero próbować łowić elementy elektryzujące – magiczne, wywołujące odbiór, ale dopóki nie opiszą, zbadają i odnajdą go naukowcy estetycy – to zjawisko nieopisane – nie istnieje. A więc kreacja to dzieło wspólne – artyści – odczytującego „specjalisty”. Jest to droga prowadząca do nowych rozbieżności i fałszywych prawd. Artysta ma prawo być świadomym elementem, z których buduje nową całość, a próbuje się mu wmówić, że jest on tylko medium intuicji bez intelektu...

Tak więc mamy sytuację wynikającą w prosty sposób z niekorzystnego splotu mijających się intencji autorów i interpretatorów w sztuce, w tym w sztuce architektury oczywiście także.

Obecnie doszliśmy do tego, że pogląd o opozycji między twórczością a teorią

jest rozpowszechniany przez samych estetyków i artyści się na to bezgłośnie zgadzają; np. S. Lem, mimo iż w jednej osobie prezentował zarazem twórcę i teoretyka, głosząc, iż te dwie dziedziny uprawia jakby na zupełnie odrębnych niezależnych od siebie płaszczyznach.

Powstaje więc niepokojące pytanie: czy istnieje możliwość uprawiania estetyki przydatnej kształceniu artystycznemu i twórczej praktyce?

Współcześni artyści widzą w estetyce „policjanta twórczości”, a tradycyjny scjentyzm odmawia estetyce jako takiej, podobnie jak i innym dyscyplinom aksjologicznym, statusu naukowego.

Twórcy zakładają, że pomiędzy twórczością a estetyką teoretyczną zachodzi zasadnicza opozycja: konstrukcje teoretyczne nie inspirują twórczości i nie mają z nią żadnych punktów stykowych. Sztuka poszukuje i tworzy wartości nowe, estetyka przetwarza je w nieznosny katechizm. Twórczość jest nowatorska, teoria zachowawcza(?) – a tymczasem... to estetycy sami ograniczają zakres własnego działania, zgadzając się z tym niebezpiecznym poglądem, że „z każdej sztuki wynika coś dla teorii”, a nie odwrotnie.

Najwyższą dokładnością obiektywnych mierników wykazuje się niewątpliwie estetyka informatywna. Wszakże porządkowanie poszczególnych dzieł sztuki, np. ze względu na rosnący porządek, symetrię, prostotę, jasność itp., dające się oczywiście z dużą dokładnością przeprowadzić, nie pozostaje w żadnej korelacji z narastaniem estetycznych wartości.

Potrzeba takiego systemu występuje najwyraźniej w sztuce nowej, ale częściowo także w sztuce dawnej, gdzie bezwładne i niesprawne pojęcie stylu wyraźnie utrudnia pogłębianie analiz. Kategorie są bardziej elastyczne; czasem funkcjonują jako charakterystyki stylu, kiedy indziej dotyczą czegoś, co ujawnia się w wielu epokach stylowych, to znów ograniczają się tylko do kierunków i szkół wewnątrz

poszczególnych stylów. Kategorie można urabiać w zależności od potrzeb; ich denotacje i konotacje są różnorodne, ale zawsze obejmują zespół ściśle powiązanych cech: ideowych, programowych, treściowych bądź formalnych.

Poszukiwany system umożliwia wyodrębnianie poszczególnych kierunków twórczych, niezależnie od ścisłych przedziałów organizacyjnych, terytorialnych, historycznych.

Estetyka i jej przedstawiciele nie przyjęli obiekcji filozofii analitycznej – estetyka po prostu rozwija się dalej, rozwija swoją precyzję języka i kulturę logiczną; ale nie zamierza ograniczyć się do analizy pojęć i sposobów ich użytkowania.

Stosowanie wobec estetyki wymagań takich jak do nauk przyrodniczych, lub matematycznych „jest nieporozumieniem”.

Krytyka estetyki przeprowadzona z pozycji filozofii analitycznej nie doprowadziła (...) do obumarcia estetyki, ani do trwałego zwycięstwa minimalizmu poznawczego (...) ani do obumarcia estetyki, ani do rezygnacji z naszych prób tworzenia teorii sztuki (w latach 1970–80).

Profesor Bohdan Dziemidok z Uniwersytetu Gdańskiego, znakomity znawca tematu, erudyta, subtelny krytyk opisał sytuację kontrowersji w estetyce współczesnej już w l. 90-tych ub. wieku w swoich znakomych esejach zawartych m.in. w zbiorze „Główne kontrowersje estetyki współczesnej”.

Zmierzched estetyki został spowodowany rozpadem głównego przedmiotu jej zainteresowań – czyli Sztuki.

Od 50 lat bez mała, to znaczy od lat 60-tych XX wieku przedstawiciele estetyków „co pewien czas” porządkują zarzuty i zastrzeżenia wobec estetyki; ale bronią jednak przekonania o potrzebie i sensie uprawiania dyscypliny naukowej w zmodyfikowanej postaci.

Sama zaś estetyka krytykowana jest za tworzenie abstrakcyjnych reguł nie uwzględniających faktu, że sztuka jest „Syndromem dynamicznym” oraz za nieuwzględnienie faktu, że i sama sztuka i sposób jej odbioru są produktami procesu historycznego lub socjologicznego

Twierdzenie uprzedniego stulecia wyrażone przez słynnego Johna Ruskina, że istniejące dotychczasowe style mogą w pełni zadowolić twórców i odbiorców – istnieje jako klasyczna anegdota w historii estetyki współczesnej.

Architektura jest dziś olbrzymim ekranem, na którym rozpościera się projekcja

wielu możliwości.

Skąd wziął się zanik dobrego smaku?! Uważa się powszechnie, że winny jest modernizm. Dążenie do nadmiernego podporządkowania wszystkiego: funkcji, ergonomii, technologii – właśnie porządkowi. Z tej nadmiernej prostoty, ubóstwa form zrodziła się powszechna tęsknota do dekoracji (domy z wieżyczkami, basztami, kutymi bramami i gdzie tylko się da, parę łuków). W tym jednak jest jakieś niejasne pragnienie piękna. Tęsknota za zdobieniem, zapelnianiem pustych przestrzeni była w każdej epoce. W naszej cywilizacji przestrzeń musiała być zdobiona. Wracamy więc do ozdabiania na oślep, dobierając z przeszłości i teraźniejszości to, co nam się podoba!

Środki, które są wykorzystywane do tego, by wyróżnić się spośród pozostałej części środowiska projektowego, zaczynają przybierać formy nie dające sklasyfikować się w jakichkolwiek ramach stylowych. Dzieje się tak, ponieważ łączą one w sobie dużą ilość wyrazistych, ale jednocześnie sprzecznych zabiegów, które w efekcie dają wrażenie „specyficzności” danego projektu.

Odd Nerdrum zaliczył do *campu* również prace Jeffa Koonsa, gdyż, jak twierdzi, CAMP pojawia się wtedy, gdy sam artysta śmieje się pierwszy, a po nim inni. Dla Nerdruma kicz jest śmiertelnie poważny, za przykład podaje swoje obrazy. Fenomen kiczu polega jednak na możliwości tworzenia asocjacji z różnymi przesłaniami. Przykładowo architektura *campu*, która przypomina bardziej malarstwo Fernando Botero niż Odda Nerdruma jest żartobliwa i ironiczna, zaś architektura w systemach totalitarnych lub architektura sakralna jest patetyczna i symboliczna.

Kicz może być także pozbawiony przesłania, wtedy celem jest stworzenie aury przepychu i próżności, używając modnych określeń: *chic, cosy, sophisticated*. Hologramy o dekoracyjnej teksturze, organicznych, opiekuńczych formach i w optymistycznych kolorach tworzą Karim Rashid oraz Fabio Novembre. Status kultu osiągnęły salony wystawowe włoskiego producenta szklanej mozaiki Bisazza w Nowym Jorku i w Berlinie oraz Shu Cafe w Mediolanie i Bar Lodi w Lodi.

Natomiast spokrewniony z nimi *trash* jest krytyczny, prowokujący, atakuje *staccatem* bodźców optyczno-akustycznych. Wspólne są dla tych trzech pojęć: emfaza, namiętna ekspresja, przejawienie, uogólniając przesadną chęć stymulacji

zmysłów i dążenie do uproszczania treści. Apoteozą *trashu* są filmy Johna Watersa, niezależne komiksy Spaina Rodrigueza.

W latach sześćdziesiątych kult kiczu, *campu* i *trashu* był wyrazem protestu intelektualnych elit i liberalnych mniejszości przeciwko estetycznym ograniczeniom, społecznym normom, dyskryminacji. Obecnie, spopularyzowany i skomercjalizowany *trash*, pozbawiony został nawet tego przesłania. Kojarzony jest on z architekturą rzadko.

Liczne dyskusje spowodowały, że w zeszłym roku słowo „kitsch” wybrane zostało przez brytyjskich lingwistów jako jedno z dziesięciu, które najtrudniej jest przetłumaczyć. Pomimo tego, że w angielskim przekładzie zachowany został pierwotny sens

Przypuszczalnie pochodzi od niemieckich słów *kitschen, verkitschen* (nie stosowanych obecnie). *Kitschen* dosłownie oznacza „smarować, ślizgać się”, w mowie potocznej „zmiatać brud z ulicy”, zaś *verkitschen* oznacza „sprzedawać po niskiej cenie”.

Nazwa kicz pojawiła się w latach 60-tych XIX wieku w Niemczech (*der Kitsch*) dla określenia taniej, kiepskiej produkcji malarskiej. W ciągu kilkadziesiąt lat jej zakres znaczeniowy znacznie się rozszerzył, obejmując wszystkie dziedziny, powiedzmy, artystycznej twórczości. Jej synonimami są: tandeta, szmira, miernota.

Susan Sontag w słynnym esej „Notes on camp” nazwała *campem* samoświadomy kicz.

Patrz tekst Kingi Bauman „O kiczu, campie i architekturze” A%B 5/2005, s. 32-40.

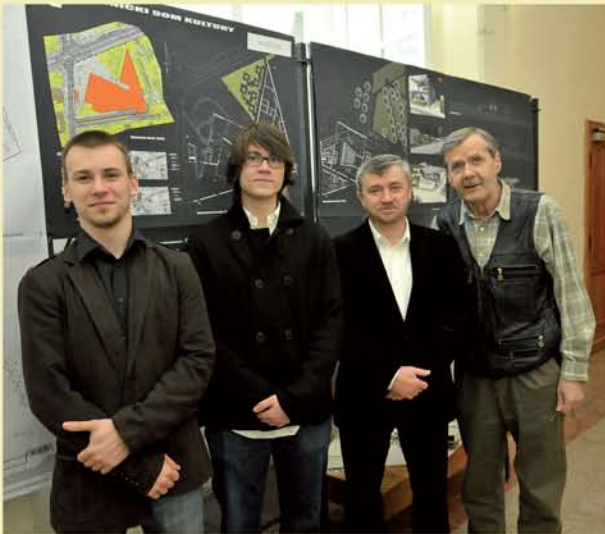
Krystyna Pokrzywnicka  
Wydział Architektury



Rys. Krystyna Pokrzywnicka



Konkurs na opracowanie koncepcji budowy Centrum Kultury w Chojnicach czytaj na str. 43



Jachtem przez Pacyfik

czytaj na str. 43

Wystawa malarstwa Erwina Elstera  
w Pałacu Opatów  
5 grudzień 2010 r. - 28 luty 2011 r.

